

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP, TOM
DRUGI

Henryk Sienkiewicz

Potop, tom drugi

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23550770

Potop Tom drugi:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Rozdział I	4
Rozdział II	28
Rozdział III	51
Rozdział IV	62
Rozdział V	91
Rozdział VI	105
Rozdział VII	144
Rozdział VIII	161
Rozdział IX	178
Rozdział X	201
Rozdział XI	219
Конец ознакомительного фрагмента.	225

Henryk Sienkiewicz

Potop Tom drugi

Rozdział I

Wierny Soroka wioził swego pułkownika przez lasy głębokie, sam nie wiedząc, dokąd jechać, co począć, gdzie się obrócić.

Kmicic nie tylko był ranny, ale i ogłuszony wystrzałem. Soroka od czasu do czasu maczał szmatę w kubie wiszącym przy koniu i obmywał mu twarz; chwilami zatrzymywał się dla poczerpnięcia świeżej wody przy strumieniach i jeziorkach leśnych, ale ani woda, ani postoje, ani ruch konia nie zdołały zrazu wrócić panu Andrzejowi przytomności – i leżał jak martwy, aż żołnierze jadący razem, a mniej doświadczeni w rzeczach ran od Soroki, poczęli się troskać, czy żyje.

– Żyje – odpowiadał Soroka – za trzy dni tak będzie na koniu siedział jak każdy z nas.

Jakoż w godzinę później Kmicic otworzył oczy i z ust jego wydobyło się jedno tylko słowo:

– Pić!

Soroka przytknął blaszankę z czystą wodą do jego warg, lecz pokazało się, że otwarcie ust sprawia panu Andrzejowi ból nieznośny – i nie mógł pić. Ale przytomności już nie stracił; jednakże o nic nie pytał, jak gdyby nic nie pamiętał; oczy miał

szeroko otwarte i patrzył bezmyślnie na głębie leśne, na szmaty błękitnego nieba, widne nad głowami między gęstwina, i na swoich towarzyszów¹; patrzył tak, jak człowiek zbudzony ze snu lub otrzeźwiony z upicia, i pozwolił, nie mówiąc ani słowa, opatrywać się Soroce, nie jęczał przy rozwiązywaniu bandażów – owszem, zimna woda, którą wachmistrz obmywał ranę, zdawała się sprawiać mu przyjemność, bo czasem uśmiechał się oczyma.

A Soroka pocieszał go:

– Jutro, panie pułkowniku, dur przejdzie. Da Bóg, że się uchronim.

Jakoż pod wieczór odurzenie poczęło istotnie przechodzić, bo przed samym zachodem słońca Kmicic spojrzał przytomniej i nagle spytał:

– Co tu taki szum?

– Jaki szum? Nie ma żadnego – odpowiedział Soroka.

I widocznie szumiało tylko w głowie pana Andrzeja, bo wieczór był pogodny. Zachodzące słońce, przenikając skośnymi promieniami w gęstwina, przesycalo złotymi blaskami mrok leśny i bramowało czerwone pnie sosen. Wiatr nie wiał – i tylko tu i owdzie z leszczyny, brzoź i grabów spływały liście na ziemię albo zwierz pierzchliwy czynił lekki szelest, pomykając w głębinsy boru przed jezdnyymi.

Wieczór był chłodny, jednakże gorączka poczęła widocznie chwytać pana Andrzeja, bo po kilkakroć powtórzył:

– Mości księżę! między nami na śmierć i życie!

¹ towarzyszów – dziś popr. forma B. Im: towarzyszy. [przypis edytorski]

Ściemniło się wreszcie zupełnie i Soroka myślał już o noclegu, ale że weszli w mokry bór i błoto poczęło chlupotać pod kopytami, jechali więc dalej, aby dobrać się do wysokich i suchych części lasu.

Jechali godzinę i drugą, nie mogąc przebrać się przez bagno. Tymczasem uczyniło się znów widniej, bo zeszedł księżyc w pełni. Nagle Soroka jadący na przedzie zeskoczył z kulbaki i począł pilno rozpatrywać grunt leśny.

– Konie tędy szły – rzekł – widać ślady na błocie.

– Kto mógł tędy przejeżdżać, kiedy tu żadnej drogi nie ma? – rzekł jeden z żołnierzy podtrzymujących pana Kmicica.

– Ale ślady są – i to kupa cała! Ot, tam, między sosnami, widać jasno jak na dłoni.

– Może bydło chodziło.

– Nie może być. Nie pora leśnych pastwisk, widać wyraźnie kopyta, jużci, jacyś ludzie musieli tędy przejeżdżać. Dobrze by było choćby budę leśniczą znaleźć.

– To jedźmy śladem.

– Jazda!

Soroka wskoczył znowu na konia i ruszyli. Ślady kopyt w torfiastym gruncie ciągle były wyraźne, a niektóre, o ile przy świetle księżycy można było miarkować, wydawały się zupełnie świeże. Jednakże konie zapadały do kolan i wyżej. Już obawiali się żołnierze, czy przebrną, czy głębsze jeszcze topiele nie odkryją się przed nimi, gdy po upływie pół godziny do nozdrzy ich doszedł zapach dymu i żywicy.

– Smolarnia tu musi być! – rzekł Soroka.

– A ot! tam skry widać! – rzekł żołnierz.

I rzeczywiście, w dali ukazała się smuga czerwonego, przesyconego płomieniem dymu, około której skakały iskry tlejącego pod ziemią ogniska.

Zbliżywszy się, ujrzeni żołnierze chatę, studnię i dużą szopę, zbitą z bierwion sosnowych. Konie, zmęczone drogą, poczęły rzeć – liczne rżenia odpowiedziały im spod szopy, a jednocześnie przed jezdnyimi stanęła jakaś postać ubrana w kozuch przewrócony wełną do góry.

– A siła² koni? – spytał człowiek w kozuchu.

– Chłopie! Czyja to smolarnia? – rzekł Soroka.

– Coście wy za jedni? Skądęście się tu wzięli? – pytał znowu smolarz głosem, w którym widoczny był przestrach i zdziwienie.

– Nie bój się! – odpowiedział Soroka – nie zbóje!

– Jedźcie w swoją drogę, nic tu po was!

– Zamknij pysk i do chaty prowadź, póki prosim. A nie widzisz, chamie, że rannego wieziem!

– Coście za jedni?

– Pilnuj, abym ci z rusznicy nie odpowiedział. Lepszy od ciebie, parobku! Prowadź do chaty, a nie, to cię we własnej smole ugotuję.

– Jeden się przed wami nie obronię, ale będzie nas więcej. Gardła wy tu połóżcie!

– Będzie i nas więcej, prowadź!

² *siła* (daw.) – ile; wiele, dużo. [przypis edytorski]

– To i chodźcie, nie moja sprawa.

– Co masz jeść dać, to daj – i gorzałki. Pana wieziemy, który zapłaci.

– Byle stąd żyw wyjechał.

Tak rozmawiając, weszli do chaty, w której na kominie palił się ogień, a z garnków postawionych na trzonie³ rozchodził się zapach duszonego mięsiwa. Izba była dość przestronna. Soroka zaraz na wstępie zauważył, iż pod ścianami stało sześć tapczanów okrytych obficie baraniami skórami.

– To tu jakaś kompanija mieszka – mruknął do towarzyszków⁴.
– Podsypać rusznice i czuj duch! Tego chama pilnować, by nie umknął. Niechże dzisiejszej nocy kompanija śpi na dworze, bo my z izby nie ustąpi.

– Panowie nie przyjadą dziś – rzekł smolarz.

– To i lepiej, bo nie będziem się o kwaterę spierali, a jutro sobie pojedziem – odparł Soroka – tymczasem wykiń⁵ mięsiwo na misę, bośmy głodni, i koniom owsa nie żałuj.

– A skąd by tu owsa wziąć przy smolarni, wielmożny panie żołnierzu?

– Słyszeliśmy konie pod szopą, to musi być i owies; smołą ich nie żywisz.

– To nie moje konie.

– Czy twoje, czy nie twoje, jeść muszą jako i nasze. Żywo,

³ *trzon* – palenisko. [przypis edytorski]

⁴ *towarzyszków* – dziś popr. forma G. lm: towarzyszy. [przypis edytorski]

⁵ *wykiń* (z ukr.) – wyrzuć. [przypis edytorski]

chłopie! żywo! jeśli ci skóra miła.

Smolarz nie odrzekł nic. A tymczasem żołnierze złożyli śpiącego pana Andrzeja na tapczanie – po czym sami zasiedli do wieczerzy i jedli chciwie duszone mięsiwo wraz z bigosem, którego obszerny sagan znalazł się na kominie. Były także i jagły, a w komorze, przy izbie, znalazł Soroka spory gąsiorek gorzałki.

Jednakże sam z lekka się tylko zakropił i żołnierzom pić nie dał, bo postanowił mieć się przez noc na baczności. Ta opróżniona chata z tapczanami na sześciu mężów i z szopą, w której rżało stado koni, wydała mu się dziwną i podejrzaną. Sądził po prostu, że to jest schronisko zbójckie, tym bardziej że w tej samej komorze, z której wyniósł gąsiorek, odkrył sporo oręża pozawieszanego na ścianach i beczkę prochu oraz rozmaite rupiecie, widocznie w dworach szlacheckich porabowane. Na wypadek gdyby nieobecni mieszkańcy tej chaty wrócili, nie można było spodziewać się od nich nie tylko gościnności, ale nawet miłosierdzia; zamierzył więc Soroka zająć zbrojną ręką chatę i trzymać się w niej przemocą lub drogą układów.

Było to konieczne i ze względu na zdrowie Kmicica, dla którego podróż mogła stać się zgubną, i ze względu na wspólne wszystkich bezpieczeństwo. Soroka był to żołnierz kuty i bity, któremu jedno tylko uczucie obcym było, to jest uczucie trwogi. A jednak teraz, na wspomnienie księcia Bogusława, strach go brał. Zostając z dawnych lat w służbie Kmicica, wierzył on ślepo nie tylko w męstwo, ale i w szczęście młodego pana; widział niejednokrotnie jego czyny przechodzące zuchwalstwem

miarę wszelką i graniczące prawie z szaleństwem, które jednak udawały się i uchodziły płazem. Odbył z Kmicicem wszystkie „podchody” pod Chowańskiego⁶, brał udział we wszystkich zabijatykach, napadach, zajazdach, porwaniach i doszedł do przekonania, że młody pan wszystko może, wszystko potrafi, z każdej toni się wyratuje i każdego, kogo zechce, pograży. Kmicic tedy był dla niego uosobieniem największej potęgi i szczęścia – a owóż widocznie teraz trafił swój na swego – nie! widocznie pan Kmicic trafił na lepszego od siebie... Jak to? Jeden mąż, który był już w rękę Kmicica, porwany, bezbronny, zdołał wydostać się z jego rąk i mało tego: obalić samego Kmicica, pogromić jego żołnierzy i przerazić ich tak, że zbiegli, bojąc się jego powrotu? Był to dziw nad dziwy i Soroka głowę tracił myśląc o tym – wszystkiego się bowiem na tym świecie spodziewał, tylko nie tego, by znalazł się ktoś taki, kto by po panu Kmicicu przejechał.

– Zali⁷ skończyło się już nasze szczęście? – mruczał do siebie, rozglądając się ze zdumieniem dokoła.

Więc choć dawniej, bywało, szedł z zamkniętymi oczyma za panem Kmicicem na kwatery Chowańskiego, otoczone ośmdziesiątysięczną armią, teraz, na wspomnienie tego

⁶ *Chowański, Iwan Andriejewicz* (zm. 1682) – rosyjski wojskowy, bojar i wojewoda, jeden z dowódców w wojnie polsko-rosyjskiej (1654–1667), o której Sienkiewicz nie mógł w 1884 r. pisać wprost ze względu na cenzurę carską; kariera Chowańskiego zaniepokoiła w końcu dwór carski do tego stopnia, że został ogłoszony buntownikiem i ścięty wraz z synem, co stało się powodem buntu wojskowego, a w XIX w. tematem opery Modesta Musorgskiego *Chowańszczyzna*. [przypis edytorski]

⁷ *zali* (daw.) – czy, czyżby. [przypis edytorski]

długowłosego księcia z panieńskimi oczyma i różową twarzą, ogarniał go zabobonny przestach. I sam nie wiedział, co czynić. Przerażała go myśl, że jutro lub pojutrze trzeba będzie zjechać na bite trakty, na których może ich spotkać sam straszliwy książę lub jego pogoń. Dlatego to właśnie zjechał z drogi w głębokie lasy – a obecnie pragnął zostać w onej leśnej chacie, póki by się nie zmyliły i nie znużyły pogonie.

Lecz że i to schronisko, z innych powodów, nie wydawało mu się bezpiecznym, chciał wiedzieć, czego się trzymać, i w tym celu kazał żołnierzom strażować przy drzwiach i oknach chaty, a sam rzekł do smolarza:

- Weź, chłopie, latarnię i chodź ze mną.
- Chyba łuczywem wielmożnemu panu zaświecę, bo nie masz latarni.
- To świeć łuczywem; spalisz szopę i konie, wszystko mi jedno!

Na takie *dictum*⁸, latarnia znalazła się zaraz w komorze, Soroka kazał chłopu iść naprzód, sam zaś szedł za nim z pistoletem w garści.

- Kto tu mieszka w tej chacie? – pytał po drodze.
- Panowie mieszkają.
- Jak ich zowią?
- Tego mi nie wolno powiedzieć.
- Widzi mi się, chłopie, że weźmiesz w łeb!
- Mój jegomość – odpowiedział smolarz – jeślibym zełgał

⁸ *dictum* (łac.) – zdanie, wyrażenie, żart, rozkaz. [przypis edytorski]

jakie przezwisko, to też musiałbyś się jegomość kontentować.

– Prawda jest! A siła tych panów?

– Jest stary pan i dwóch paniczów, i dwóch czeladzi.

– Jakże to, szlachta?

– Pewnie, że szlachta.

– I tu mieszkają?

– Czasem tu, a czasem Bóg wie gdzie!

– A te konie skąd?

– Panowie naprowadzają, a skąd, Bóg wie!

– Rzeknij prawdę: nie rozbijają twoi panowie na gościńcu?

– Czy ja, mój jegomość, wiem? Widzi mi się, że konie biorą, a komu, to nie moja głowa.

– A co z końmi robią?

– Czasem wezmą sztuk dziesięć, dwanaście, ile jest, i popędzą – a dokąd, to też nie wiem.

Tak rozmawiając, doszli do szopy, z której słyhać było parskanie koni, i weszli do środka.

– Świeć! – rzekł Soroka.

Chłop podjął latarnię w górę i począł oświecać konie stojące szeregiem przy ścianie. Soroka opatrywał jednego po drugim okiem znawcy i głową kręcił, językiem młaskał i mruczał:

– Nieboszczyk pan Zend rad by był... Są polskie, moskiewskie... a ten wałach niemiec... i ona⁹ klacz także... Zaczne konie. A co im dajecie?

– Żeby nie zełgać, mój jegomość, tom tu dwie polanki owsem

⁹ ona (daw.) – ta. [przypis edytorski]

obsiał jeszcze z wiosny.

– To twoi panowie od wiosny konie sprowadzają?

– Nie, ale mi czeladnika z rozkazem przysłali.

– Toś ty ich?

– Ja byłem ich, nim na wojnę poszli.

– Na jaką wojnę?

– Czy ja wiem, mój jegomość. Poszli daleko, jeszcze zeszłego roku, a wrócili latem.

– A czyj teraz jesteś?

– To królewskie lasy.

– Kto cię tu osadził na smolarni?

– Borowy królewski, panów krewny, który z nimi też konie prowadzał, ale jak raz z nimi pojechał, tak i więcej nie wrócił.

– A goście jacy tu u panów nie bywali?

– Tu nikt nie trafi, bo bagna naokoło i tylko jedno przejście; dziwno mi to, mój jegomość, żeście trafili, bo kto nie trafi, tego i bagno wciągnie.

Soroka chciał zrazu odpowiedzieć, że i te lasy, i to przejście zna dobrze, ale po chwili namysłu postanowił lepiej zamilczeć, a natomiast spytał:

– A duże to bory?

Chłop nie zrozumiał pytania.

– Jak to?

– Daleko idą?

– Oj! kto je tam przeszedł: jedne się kończą, drugie zaczynają, a Bóg tam wie, gdzie ich nie ma. Ja tam nie był.

– Dobrze! – rzekł Soroka.

To rzekłszy, kazał chłopu wrócić i sam zawrócił do chaty.

Po drodze rozmyślał, co mu czynić przystoi, i wahał się. Z jednej strony przychodziła mu ochota, korzystając z nieobecności mieszkańców chaty, brać konie jak swoje i z rabunkiem umykać. Łup był cenny i konie bardzo przypadły do serca staremu żołnierzowi, ale po chwili zwalczył pokusę. Wziąć łatwo, jeno co dalej czynić? Bagna naokoło, jedno wyjście – jak do niego trafić? Przypadek raz posłużył, ale może nie posłużyć drugi raz. Iść śladem kopyt na nic, boć pewnie mieszkańcy mieli tyle rozumu, że poczynili umyślnie śladowe drogi fałszywe i zdradne, wiodące wprost do topieli. Soroka znał dobrze proceder ludzi, którzy konie kradną lub łupem biorą.

Myślał więc i rozważał, nagle uderzył się pięścią w głowę:

– Kiep ze mnie! – mruknął – toż wezmę chłopą na postronek i każę się wyprowadzić na gościniec.

Nagle wstrząsnął się, wymówiwszy ostatni wyraz.

– Na gościniec? A tam ten książę i pogoń...

„Piętnaście koni trzeba stracić! – rzekł sobie w duchu stary wyga z takim żalem, jakby te konie od małego wyhodował. – Nie może być inaczej, tylko skończyło się nasze szczęście. Trzeba siedzieć w chacie, póki pan Kmicic nie wyzdrowieje, siedzieć z wolą mieszkańców albo bez woli, a co potem będzie, to już pułkownika głowa.”

Tak rozmyślając, wrócił do chaty. Czujni żołnierze stali przy drzwiach i choć widzieli z dala latarkę migocącą w ciemności,

też samą, z którą Soroka i smolarz wyszli, przecie kazali im się opowiedzieć, kto są, zanim puścili ich do chaty. Soroka dał ordynans¹⁰, by strażujący zmienili się o północy, sam zaś rzucił się na tapczan obok Kmicica.

W chacie uczyniło się cicho, jeno świerszcze rozpoczęły zwykłą muzykę, w przyległej komórcie myszy chrobotwały w nagromadzonych tam rupieciach, od czasu do czasu zaś chory budził się i marzył widocznie gorączkowo, bo do uszu Soroki dolatywały bezładne jego słowa:

– Miłościwy królu, odpuść... Tamci zdrajcy... Wszystkie ich sekreta powiem... Rzeczpospolita sukno czerwone... Dobrze, mam cię, mości księżę... Trzymaj!... Miłościwy królu!... Tędy, bo tam zdrada!

Soroka podnosił się na tapczanie i słuchał, lecz chory, zakrzyknąwszy raz i drugi, zasypiał, a potem znów budził się i wołał:

– Oleńka! Oleńka, nie gniewaj się!...

Dopiero koło północy uspokoił się zupełnie i zasnął na dobre. Soroka też począł drzemać, ale wnet zbudziło go ciche pukanie do drzwi chaty.

Czujny żołnierz otworzył oczy natychmiast i zerwawszy się na równe nogi, wyszedł z chaty.

– A co tam?

– Panie wachmistrzu, smolarz uciekł.

– Do stu diabłów! wnet on nam tu zbójów naprowadzi. A kto

¹⁰ *ordynans* (z łac.) – rozkaz. [przypis edytorski]

jego pilnował?

– Biłous.

– Poszedłem z nim konie nasze poić – rzekł, tłumacząc się, Biłous. – Kazałem mu wiadro ciągnąć, a sam szkapy trzymałem...

– I co? w studnię skoczył?

– Nie, panie wachmistrzu, jeno między pnie, co ich wedle studni siła leży naciętych, i w karczowe doły. Puściłem konie, bo choćby się rozbiegły, to tu są drugie, i skoczyłem za nim, alem w pierwszym dole utknął. Noc, ciemno, jucha miejsce zna, tak i pomknął... Żeby go mór trafił!

– Naprowadzi on nam tu diabłów, naprowadzi... Żeby go pioruny zatrasały!...

Wachmistrz uciał, a po chwili rzekł:

– Nie będziemy się kładli, trzeba czuwać do rana: lada chwila kupa nadejść może.

I dając przykład innym, sam zasiadł na progu chaty z muszkietem w rękę, żołnierze zaś siedli koło niego, gwarząc między sobą z cicha, to podśpiewując półgłosem, to nasłuchując, czy wśród nocnych odgłosów boru nie dojdzie ich tętent i parskanie zbliżających się koni.

Noc była pogodna i księżycowa, ale hałaśliwa. W głębinach leśnych wrzało życie. Była to pora bekowiska¹¹, więc puszcza brzmiała naokół groźnymi rykami jeleni. Odgłosy owe, krótkie,

¹¹ bekowisko – rykowisko, pora godowa, kiedy jelenie walczą o samice. [przypis edytorski]

chrapliwe, pełne gniewu i zaciekłości, rozlegały się naokoło, we wszystkich częściach lasu, w głębiach i bliżej, czasem tuż, tuż, jakby o sto kroków za chatą.

– Jeśli oni nadejdą, to też będą porykiwać, by nas zmylić – rzekł Biłous.

– E! tej nocy nie nadejdą. Nim chłop do nich zdąży, to i dzień będzie! – odrzekł inny żołnierz.

– Po dniu, panie wachmistrzu, zdałoby się chatę przetrząść i pod ścianami pokopać, bo jeśli zbóje tu mieszkają, to i skarby muszą być.

– Najlepsze skarby w onej stajni – odparł Soroka, wskazując ręką na szopę.

– A pobierzem?

– Głupiecie! tu wyjścia nie ma, jeno bagna wkoło.

– A przecieśmy przyjechali.

– Bóg nas przeprowadził. Żywa dusza tu nie przyjdzie ani nie wyjdzie, jeśli drogi nie zna.

– Po dniu znajdziem.

– Nie znajdziem, bo umyślnie nakluczono i ślady są mylne. Nie trzeba było chłopca puszczać.

– Wiadomo, że gościniec o dzień drogi – rzekł Biłous – i w tamtej stronie...

Tu wskazał palcem na wschodnią część lasu.

– Będziem jechać, póki nie przejedziem – ot co!

– To myślisz, żeś już pan, jak będziesz na trakcie? Lepsza ci tu kula rozbójnika niż tam stryczek.

- Jak to, ojczy? – rzekł Biłous.
- Bo tam już pewno nas szukają.
- Kto, ojczy?
- Książę.

Tu Soroka umilkł nagle, a za nim umilkli i inni, jakby zdjęci przestraciem.

– Oj! – rzekł wreszcie Biłous. – Tu źle i tam źle; kruty ne werty¹²!

– Nagnali nas jak siromachów¹³ w sieci; tu zbójce, a tam książę!
– rzekł inny żołnierz.

– Niech ich tam piorun zapali! Wolę mieć sprawę ze zbójcem niż z charakternikiem¹⁴ – odpowiedział Biłous – bo że ten książę niesamowity, to niesamowity. Zawratyński to przecie z niedźwiedziem wpół się brał, a on mu szablę wydarł jako dziecku. Nie może inaczej być, tylko go zaczarował, bo i to jeszcze widziałem, że jak się potem na Witkowskiego rzucił, to w oczach urósł jak sosna. Żeby nie to, nie byłby ja jego żywego puścił.

– I tak kiep z ciebie, żeś na niego nie skoczył.

– Co miałem robić, panie wachmistrzu? Myślałem tak: siedzi na najlepszym koniu, więc jak zechce, to ucieknie – a natrze, to się nie obronię, boć z charakternikiem nieludzka moc. W oczach

¹² *kruty ne werty* (z ukr.) – dosł. kręć nie wierć; jak się nie obrócić. [przypis edytorski]

¹³ *siromacha* (z daw. ukr.) – wilk. [przypis edytorski]

¹⁴ *charakternik* (z ukr.) – czarownik. [przypis edytorski]

ci zginię albo kurzawą się zakręci...

– Prawda jest – rzekł Soroka – że gdym do niego strzelał, to go jakoby mgłą zasulo... i chybiłem... Z konia każdemu się chybić trafi, gdy się szkapa kręci, ale z ziemi to mi się od dziesięciu lat nie zdarzyło.

– Co tu gadać! – rzekł Biłous – lepiej policzyć: Lubieniec, Witkowski, Zawratyński, nasz pułkownik – i wszystkich jeden mąż obalił, i to broni nie mający, takich ludzi, z których każdy z czterema nieraz rady sobie dawał. Bez diabelskiej pomocy nie mógłby on tego dokazać.

– Polećmy dusze Bogu, bo jeśli on niesamowity, to mu diabeł i tu drogę pokaże.

– A i bez tego długie on ma ręce, jako pan taki...

– Cicho no! – rzekł nagle Soroka – coś tu po liściach szeleszcze.

Żołnierze umilkli i nadstawili uszu. W pobliżu istotnie dały się słyszeć jakieś ciężkie kroki, pod którymi opadłe liście szeleściły bardzo wyraźnie.

– Konie słyszać – szepnął Soroka.

Lecz kroki poczęły oddalać się od chaty, a wkrótce potem rozległo się groźne i chrapliwe beczenie jelenia.

– To jelenie! Byk się łaniom oznajmia albo drugiego rogala straszy.

– W całym lesie gody, jakoby się diabeł żenił.

Umilkli znowu i poczęli drzemać, jeno wachmistrz podnosił czasem głowę i nasłuchiwał przez chwilę, po czym głowa opadała

mu zaraz na piersi. Tak zeszła godzina i druga, aż na koniec sosny najbliższe z czarnych uczyniły się szare, a wierzchołki bieleły coraz bardziej, jakoby je kto roztopionym srebrem namaścił. Ryki jelenie umilkły i cisza zupełna zapanowała w głębiach leśnych. Z wolna brzask począł przechodzić w świtanie, białe i blade światło jeło wsiąkać w siebie różowe i złote blaski, na koniec nastał dzień zupełny i oświecił znużone twarze żołnierzy śpiących twardym snem pod chatą.

Wtem drzwi się otwarły, Kmicic ukazał się w progu i zawołał:

– Soroka! bywaj!

Żołnierze zerwali się na równe nogi.

– Dla Boga, to wasza miłość na nogach? – rzekł Soroka.

– A wy pospaliście się jak woły; można by wam łby poucinać i za płot powyrzucać, nimby się który rozbudził.

– Czuwaliśmy do rana, panie pułkowniku, zasnęliśmy dopiero o dniu białym.

Kmicic rozejrzał się dokoła.

– Gdzie jesteście?

– W lesie, panie pułkowniku.

– To i ja widzę. Ale co to za chałupa?

– Tego my sami nie wiemy.

– Chodź za mną! – rzekł pan Andrzej.

I cofnął się do wnętrza chaty. Soroka podążył za nim.

– Słuchaj – rzekł Kmicic, siadłszy na tapczanie – wszakże to księżę do mnie strzelił?

– Tak jest.

– A co się z nim stało?

– Uszedł.

Nastąpiła chwila milczenia.

– To źle! – rzekł Kmicic – bardzo źle! Lepiej było go położyć niż żywego puszczać.

– My tak i chcieli, ale...

– Ale co?

Soroka opowiedział pokrótce, co się stało. Kmicic słuchał nad podziw spokojnie, jeno oczy poczęły mu gorzeć, a w końcu rzekł:

– Tedy on górą, ale się jeszcze spotkamy. Czemuś zjechał z gościńca?

– Bałem się pogoni.

– To i słusznie, bo pewno była. Za mało nas teraz na Bogusławową potęgę... diablo za mało!... Przy tym on do Prus ruszył, tam nie możemy go ścigać, trzeba czekać...

Soroka odetchnął. Pan Kmicic widocznie nie obawiał się znów tak bardzo księcia Bogusława, skoro o pościgu mówił. Ta ufność udzieliła się od razu staremu żołnierzowi przywykłemu myśleć głową swego pułkownika i czuć jego sercem.

Tymczasem pan Andrzej zamyślił się głęboko, nagle ocknął się i jął szukać czegoś koło siebie rękoma.

– A gdzie to moje listy? – spytał.

– Jakie listy?

– Którym miał przy sobie... W pasie były zatknięte; gdzie pas? – pytał gorączkowo pan Andrzej.

– Pas ja sam odpiąłem z waszej miłości, żeby waszej miłości

lepiej było dychać; ot, tam leży.

– Dawaj!

Soroka podał skórzany pas podszyty irchą, w której były ściągane na sznurki kieszenie. Kmicic rozciągnął je i wydobył pośpiesznie papiery.

– To glejty do komendantów szwedzkich, a gdzie listy? – rzekł pełnym niepokoju głosem.

– Jakie listy? – powtórzył Soroka.

– Do kroćset piorunów! listy hetmana do króla szwedzkiego, do pana Lubomirskiego¹⁵ i te wszystkie, które miałem...

– Jeżeli w pasie ich nie ma, to nigdzie nie ma. Musiały zginąć w czasie jazdy.

– Na koń i szukać! – krzyknął straszliwym głosem Kmicic.

Lecz zanim zdumiony Soroka zdołał opuścić izbę, pan Andrzej zatoczył się na tapczan, jakby mu sił zbrakło, i porwawszy się rękoma za głowę, począł powtarzać jęczącym głosem:

– Aj!... moje listy, moje listy!...

Tymczasem żołnierze odjechali, prócz jednego, któremu Soroka rozkazał strażować przy chałupie. Kmicic pozostał sam w izbie i począł rozmyślać nad własnym położeniem, które nie było godne zazdrości. Bogusław uszedł. Nad panem Andrzejem zawisła straszliwa i nieunikniona zemsta potężnych

¹⁵ *Lubomirski, Jerzy Sebastian herbu Szreniawa bez Krzyża* (1616–1667) – marszałek wielki koronny, później hetman polny koronny i starosta spiski; w latach 60. przywódca rokoszu, który ograniczył absolutystyczne dążenia Jana Kazimierza; zmarł na wygnaniu. [przypis edytorski]

Radziwiłłów. I nie tylko nad nim, ale nad wszystkimi, których kochał, a krótko mówiąc, nad Oleńką. Wiedział to Kmicic, że ksiązę Janusz nie zawaha się uderzyć go tam, gdzie będzie go mógł zranić najboleśniej, to jest wyrzucić zemstę na osobie Billewiczówny. A wszakże Oleńka była w Kiejdanach, na łasce i niełasce straszliwego magnata, którego serce nie znało miłosierdzia. Im więcej Kmicic rozmyślał nad swym położeniem, tym jaśniej dochodził do przekonania, że było ono po prostu straszne. Po porwaniu Bogusława Radziwiłłowie będą go mieli za zdrajcę; stronnicy Jana Kazimierza, ludzie sapieżyńscy i konfederaci zbuntowani na Podlasiu mają go także za zdrajcę, za potępioną duszę radziwiłłowską. Wśród licznych obozów, stronnictw i obcych wojsk zalegających w tej chwili pola Rzeczypospolitej nie było ani jednego obozu, ani jednej partii, ani jednego wojska, które by go nie poczytywało za największego i najzaciętszego wroga. Wszakże istnieje nagroda wyznaczona przez Chowańskiego¹⁶ za jego głowę, a teraz wyznaczają ją Radziwiłłowie, Szwedzi – a kto wie, czy już nie wyznaczili i stronnicy nieszczęsnego Jana Kazimierza. „O! tom piwa nawarzył, a teraz pić muszę!” – myślał Kmicic. Porywając księcia Bogusława, porwał go dlatego, by rzucić go pod nogi konfederatów, przekonać ich niezbitcie, że z Radziwiłłami zrywa, i wykupić się między nich, zdobyć sobie prawo walczenia za króla i ojczyznę. Z drugiej strony, Bogusław

¹⁶ *Chowański, Iwan Andriejewicz* (zm. 1682) – rosyjski wojskowy, bojar i wojewoda, jeden z dowódców w wojnie polsko-rosyjskiej (1654–1667). [przypis edytorski]

w jego rękę był zakładnikiem bezpieczeństwa Oleńki. Lecz teraz, gdy Bogusław pogromił Kmicica i uszedł, nie tylko znikło bezpieczeństwo Oleńki, ale i dowód, że pan Kmicic szczerze porzucił radziwiłłowską służbę. Wszakże otwarta mu droga do konfederatów i jeśli trafi na oddział Wołodyjowskiego i jego przyjaciół pułkowników, może darują mu życie, ale czy za towarzysza przyjmą, czy mu uwierzą, czy nie pomyślą, że przybył na przeszpiegi albo dlatego, by ducha psuć i ludzi do Radziwiłłów przeciągać? Tu wspomniał, że ciąży na nim krew konfederacka, wspomniał, że on to pierwszy zbił zbuntowanych Węgrów i dragonów w Kiejdanach, że rozpraszał zbuntowane chorągwie lub zmuszał je do poddania, że rozstrzeliwał opornych oficerów i wycinał żołnierzy, że szanćzykami otoczył i umocnił Kiejdany, a przez to Radziwiłłowi tryumf na Żmudzi zapewnił... „Jakże mi tam iść? – pomyślał sobie. – Toż by im zaraza miłszym była gościem niż moja osoba!... Z Bogusławem na arkanie przy siodle – można by, ale z gębą tylko i z gołymi rękoma!...”

Gdyby miał choć owe listy, to choćby się nimi do konfederatów nie wykupił, miałyby przynajmniej przez nie księcia Janusza w rękę, boć owe listy mogły podkopać kredyt hetmana nawet u Szwedów... Więc za ich cenę można by było Oleńkę uratować...

Lecz zły duch jakiś sprawił, że i listy zginęły.

Kmicic, gdy wszystko myślą ogarnął, porwał się raz drugi za głowę.

– Zdrajcam dla Radziwiłłów, zdrajca dla Oleńki, zdrajca

dla konfederatów, zdrajca dla króla!... Zgubiłem sławę, cześć, siebie, Oleńkę!...

Rana w twarzy paliła go jeszcze, ale w duszy piekł go żar stokroć boleśniejszy. Bo na dobitkę wszystkiego, cierpiała w nim i miłość własna rycerska. Był przecie przez Bogusława sromotnie pobity. Niczym były owe cięgi, które mu w Lubiczu sprawił pan Wołodyjowski. Tam pokonał go mąż zbrojny, którego na parol wyzwał, tu jeniec bezbronny, którego miał w rękę.

Z każdą chwilą rosło w Kmicicu poznanie, w jak straszne i haniebne popadł terminy. Im dłużej w nie patrzył, tym jaśniej ich okropność widział i coraz nowe czarne kąty spostrzegał, z których wyglądały: hańba, sromota, zguba dla niego samego, dla Oleńki, krzywda dla ojczyzny – aż w końcu ogarnął go przestach i zdumienie.

– Zali ja to wszystko uczyniłem? – pytał sam siebie.

I włosy powstały mu na głowie.

– Nie może być! Chyba mnie jeszcze *febris*¹⁷ trzęsie! – zakrzyknął. – Matko Boża, nie może być!...

– Ślepy! głupi warchole! – rzekło mu sumienie – nie było ci to przy królu i ojczyźnie stanąć, nie było ci posłuchać Oleńki!

I porwał go żal jak wichur. Hej! żeby tak sobie mógł powiedzieć: Szwedzi przeciw ojczyźnie, ja na nich; Radziwiłł przeciw królowi – ja na niego! Dopieroż byłoby mu w duszy jasno i przejrzysto! Dopieroż by kupę zebrał zabijaków spod ciemnej gwiazdy i hasał z nimi jak Cygan na jarmarku, i

¹⁷ *febris* (łac.) – gorączka, dreszcze. [przypis edytorski]

podchodził Szwedów, i po brzuchach im przejeżdżał z czystym sercem, z czystym sumieniem, dopieroż by w sławie, jako w słońcu, stanął kiedyś przed Oleńką i rzekł:

– Już ja nie banit¹⁸, ale *defensor patriae*¹⁹, miłujże mnie, jako ja ciebie miłuję!

A dziś co?

Lecz harda dusza, przywykła sobie folgować, nie chciała zrazu całkiem przyznać się do winy: Radziwiłłowie to tak go pograżyli, Radziwiłłowie do zguby przywiedli, okryli niesławą, związali ręce, zbawili czci i kochania.

Tu zgrzytnął pan Kmicic zębami, wyciągnął ręce ku Żmudzi, na której Janusz, hetman, siedział jak wilk na trupie – i począł wołać przyduszonym wściekłością głosem:

– Pomsty! pomsty!

Nagle rzucił się w desperacji na kolana w pośrodku izby i począł mówić:

– Ślubuję Ci, Chryste Panie, tych zdrajców gnębić, zajeżdzać! ... prawem, ogniem i mieczem ścigać, póki mi pary w gębie, tchu w gardzieli i żywota na świecie! Tak mi, Królu Nazareński, dopomóż! Amen!

Aż mu jakiś głos wewnętrzny rzekł w tej chwili: – Ojczyźnie służ, zemsta na potem!...

Oczy pana Andrzeja płonęły gorączką, wargi miał spiekłe i drżał cały jak we febrze; rękoma wymachiwał i gadając ze

¹⁸ *banit* – dziś: banita, skazany na wygnanie. [przypis edytorski]

¹⁹ *defensor patriae* (łac.) – obrońca ojczyzny. [przypis edytorski]

sobą głośno, chodził, a raczej biegał po izbie, potraçał nogami tapczany, aż wreszcie rzucił się jeszcze raz na kolana.

– Natchnijże mnie, Chryste, co mam czynić, abym zaś nie oszalał!

Wtem doszedł go huk wystrzału, który echo leśne odrzucało od sosny do sosny, aż przyniosło jakoby grzmot do chaty.

Kmicic zerwał się i chwyciwszy szablę, wypadł przed sień.

– Co tam? – spytał żołnierza stojącego u proga.

– Wystrzał, panie pułkowniku!

– Gdzie Soroka?

– Pojechał listów szukać.

– W której stronie strzelono?

Żołnierz ukazał wschodnią część lasu, zarośniętą gęstymi chaszczami.

– Tam!

W tej chwili dał się słyszeć tętent niewidzialnych jeszcze koni,

– Pilnuj! – krzyknął Kmicic.

Lecz z zarośli ukazał się Soroka, pędzący co koń wyskoczy, a za nim drugi żołnierz.

Obaj dobiegli do chaty i zeskoczywszy z koni, wymierzili spoza nich, jakby spoza szańców, muszkiety ku zaroślom.

– Co tam? – spytał Kmicic.

– Kupa idzie! – odparł Soroka.

Rozdział II

Nastała cisza, ale wkrótce w przyległych chaszcach zaczęło coś łopotać, jakoby dziki szły, jednakże łopot ów im był bliższy, tym stawał się wolniejszy. Potem znów nastała cisza.

– Ilu ich tam jest? – spytał Kmicic.

– Będzie ze sześciu, a może i ośmiu, bom ich też nie mógł dobrze zliczyć – odparł Soroka.

– To dobra nasza! Nie zdzierzą nam!

– Nie zdzierzą, panie pułkowniku, ale trzeba nam żywcem którego wziąć i przypiec, by drogę pokazał.

– Będzie na to czas. Pilnuj!

Zaledwie Kmicic wymówił „pilnuj!” – gdy smuga białego dymu wykwitła z zarośli i rzekłbyś: ptactwo zaszumiało po pobliskiej trawie, o jakie trzydzieści kroków od chaty.

– Hufnalami²⁰ z garłacza²¹ strzelono! – rzekł Kmicic – jeśli muszkietów nie mają, to nic nam nie uczynią, bo z garłaczy od zarośli nie doniesie.

Soroka, trzymając jedną dłonią muszkiet oparty o kulbakę²² stojącego przed nim konia, drugą dłoń zwinął w kształcie trąbki koło ust i począł krzyczeć:

²⁰ *hufnal* – duży gwóźdź o kwadratowym przekroju. [przypis edytorski]

²¹ *garłacz* – broń palna, ładowana od przodu, o rozszerzanej lufie, rozmiaru pośredniego pomiędzy pistoletem a karabinkiem. [przypis edytorski]

²² *kulbaka* – wysokie siodło. [przypis edytorski]

– A pokaż no się który z chaszców, wnet się nogami nakryjesz!

Nastała chwila ciszy, po czym w zaroślach rozległ się groźny głos:

– Coście za jedni?

– Lepsi od tych, co po traktach grasują.

– Jakim prawem naszliście naszą siedzibę?

– Zbój o prawo pyta! Naucz was kat prawa, idźcie do kata!

– Wykurzymy was stąd jak jaźwców²³!

– A chodź! Patrz jeno, byś się tym dymem sam nie zadławił!

Głos w zaroślach zamilkł, widocznie napastnicy poczęli się naradzać, tymczasem Soroka szepnął do Kmicica:

– Trzeba tu będzie którego zwabić i związać; będziem mieć i zakładnika, i przewodnika.

– Ba! – rzekł Kmicic – jeżeli który przyjdzie, to na parol²⁴.

– Ze zbójami godzi się i na parol nie zważać.

– Lepiej nie dać! – rzekł Kmicic.

Wtem pytania nowe zabrzmiały od strony zarośli:

– Czego tu chcecie?

Tu sam Kmicic zabrał głos:

– Jakeśmy przyjechali, tak byśmy i pojechali, gdybyś politykę²⁵, kpie, znał i od garłacza nie zaczynał.

– Nie osiedzisz się tu, wieczorem przyjdzie nas sto koni!

²³ *jaźwiec* – borsuk. [przypis edytorski]

²⁴ *na parol* – pod słowem honoru. [przypis edytorski]

²⁵ *polityka* (z łac.) – tu: uprzejmość, dobre obyczaje. [przypis edytorski]

– Przed wieczorem przyjdzie dwieście dragonów, a bagna cię nie obronią; bo są tam tacy, którzy przejadą, jako i myśmy przejechali.

– Toście wy żołnierze?

– Jużci, nie zbóje.

– A spod jakiej chorągwi?

– A cóżeś to, hetman? Nie tobie się będziem sprawiali.

– Po staremu wilcy tu was ogryzą.

– A was kruki zdziobią.

– Gadajcie, czego chcecie, do stu diabłów! Po coście do naszej chaty wleźli?

– A chodź no sam! Nie będziesz z chaszców gardła darł. Bliżej! bliżej!

– Na parol?

– Parol dla rycerstwa, nie dla zbójów. Chcesz – wierz, nie chcesz – nie wierz!

– We dwóch można-li?

– Można!

Po chwili z zarośli, odległych na sto kroków, wynurzyło się dwóch ludzi wysokich i pleczystych. Jeden, nieco pochylony, musiał być człkiem wiekowym, drugi szedł prosto, jeno szyję wyciągał ciekawie ku chacie; obaj mieli na sobie półkożuszki oszyte szarym suknem, jakie nosiła pomniejsza szlachta, wysokie jałowicze buty i kapuzy²⁶ futrzane, naciśnięte na oczy.

– Kiej diabeł! – mruknął Kmicic, przypatrując się pilnie

²⁶ kapuza (z łac. *caput*: głowa) – futrzana czapka-uszanka. [przypis edytorski]

dwom mężom.

– Panie pułkowniku – zawołał Soroka – cud chyba, ale to nasi ludzie!

Tamci tymczasem zbliżyli się o kilka kroków, ale nie mogli rozpoznać stojących przy chacie, bo ich zakrywały konie.

Nagle Kmicic wysunął się naprzód.

Wszelako nadchodzący nie poznali go, bo twarz miał obwiązaną, wstrzymali się jednak i poczęli mierzyć go ciekawie i niespokojnie oczyma.

– A gdzie drugi syn, panie Kiemlicz? – spytał pan Andrzej – czy aby nie poległ?

– Kto to? jak to? co? kto mówi? co? – rzekł stary dziwnym, jakby przestraszonym głosem.

I stanął nieruchomie, otworzywszy szeroko usta i oczy: wtem syn, który jako młodszy, miał wzrok bystrzejszy, zerwał nagle czapkę z głowy.

– O dla Boga! Jezu!... Ociec, to pan pułkownik! – zakrzyknął.

– Jezu! o słodki Jezu! – zawtórował stary – to pan Kmicic!!

I obaj stanęli w nieruchomej postawie, w jakiej podkomendni witają swych naczelników, a na twarzach ich malowały się równocześnie przestach i zdumienie.

– Ha! tacy synowie! – rzekł, uśmiechając się, pan Andrzej – to z garłacza mnie witacie?

Tu stary zerwał się i począł krzyczeć:

– A bywajcie tu wszyscy! Bywajcie!

Z zarośli ukazało się jeszcze kilku ludzi, między którymi

drugi syn starego i smolarz; wszyscy biegli na złamanie karku z gotowymi broniąmi, nie wiedzieli bowiem, co zaszło, lecz stary znów zakrzyknął:

– Do kolan, szelmy! do kolan! To pan Kmicic! Który tam kiep strzelił? Dawaj go sam!

– Sameś ociec strzelił – rzekł młody Kiemlicz.

– Łżesz! Łżesz jak pies! Panie pułkowniku, kto mógł wiedzieć, że to wasza miłość w naszej sadybie! Dla Boga, oczom jeszcze nie wierzę!

– Jam jest, we własnej osobie! – rzekł Kmicic, wyciągając doń rękę.

– O Jezu! – odpowiedział stary – taki gość w boru! Oczom nie wierzę! Czym my tu waszą miłość przyjmujemy? Żeby my się spodziewali, żeby my wiedzieli!

Tu zwrócił się do synów:

– Ruszże się tam który, bałwanie, do lochu, miodu wynieść!

– Daj ociec klucz od kłódki! – rzekł jeden z synów.

Stary począł szukać w pasie, a jednocześnie spoglądał podejrzliwie na syna.

– Klucz od kłódki? Ale! Znają cię, cyganie; więcej sam wypijesz, niż tu przyniesiesz. Co? sam pójde; klucza od kłódki mu się chce! Idźcie jeno pnie odwalić, a otworzę i wyniosę ja sam!

– To, widzę, loszek pod pniami masz ukryty, panie Kiemlicz? – rzekł Kmicic.

– Albo to można co utrzymać z takimi zbójami! –

odpowiedział stary, wskazując na synów. – Ojca by zjedli. Jeszczeście tu?! Idźcie pnie odwalić. Tak to słuchacie tego, który was spłodził?

Młodzi kopnęli się żywo za chatę, ku kupom naciętych pni.

– Po staremu, jak widzę, z synami w niezgodzie? – pytał Kmicic.

– Kto by z nimi był w zgodzie... Bić to umieją, zdobyć brać umieją, ale jak przyjdzie z ojcem się dzielić, to z gardła im muszę moją część wydzierać... Taka mi pociecha! A chłopcy jak tury! Proszę waszą miłość do chaty, bo tu chłód kasa. Dla Boga! Taki gość, taki gość! Toż my pod komendą waszej miłości więcej zdobyć wzięli niż przez ten cały rok... Chudzizna teraz! bieda! Złe czasy i coraz gorsze, a i starość nie radość!... Proszę do chaty, w niskie progi. Dla Boga! kto by się tu waszej miłości spodziewał!...

Stary Kiemlicz mówił dziwnie prędkim i narzekającym głosem, a mówiąc, rzucał szybkie i niespokojne spojrzenia na wszystkie strony. Był to starzec kościsty i ogromny, z twarzą wiecznie skrzywioną i tetryczną. Oczy miał kose²⁷, również jak i jego dwaj synowie, brwi krzaczaste i także wąsy, pod którymi sterczała wysunięta niezmiernie naprzód dolna warga, która gdy mówił, zachodziła mu aż pod nos, jak u ludzi nie mających zębów. Zgrzybiałość jego twarzy dziwne czyniła przeciwieństwo z czerstwością jego postaci, zdradzającej niezwykle siłę i zwawość. Ruchy miał szybkie, jakby go sprężyna poruszała;

²⁷ kosy – skośny a. zezowaty. [przypis edytorski]

głowę ciągle obracał, starając się objąć oczyma wszystko, co go otaczało, zarówno ludzi i rzeczy. Dla Kmicica z każdą chwilą stawał się uniższy, w miarę jak odzywała się w nim służbistość dla dawnego wodza, bojaźń, a może admiracja albo i przywiązanie.

Kmicic znał Kiemliczów dobrze, albowiem ojciec i dwaj synowie służyli pod nim za owych czasów, gdy na Białej Rusi prowadził na własną rękę wojnę z Chowańskim²⁸. Byli to żołnierze mężni i równie okrutni jak mężni. Syn Kosma nosił czas jakiś chorągiew w Kmicicowej kupie, ale wkrótce zrzekł się tej zaszczytnej szarży, bo mu przeszkadzała łup brać. Między kosterami²⁹ i hulajduszami, z jakich składała się Kmicicowa partia, którzy we dnie przepijali i tracili to, co nocą zdobyli krwawo na nieprzyjacielu, Kiemliczowie odznaczali się wielką chciwością. Gromadzili skrzętnie łup i kryli się po lasach. Brali szczególnie łapczywie konie, które sprzedawali później po dworach i miasteczkach. Ojciec bił się nie gorzej od synów bliźniaków, ale po każdej bitwie wydzierał im najznamienitszą część łupu, rozwodząc przy tym skargi i żale, że go krzywdzą, grożąc przekleństwem ojcowskim, jęcząc i narzekając. Synowie warczeli na niego, ale dość głupowaci z natury, pozwolili się tyranizować. Mimo ustawicznych kłótni i swarów, w bitwie stawał jeden za drugiego zaciekle, nie

²⁸ Chowański, Iwan Andriejewicz (zm. 1682) – rosyjski wojskowy, bojar i wojewoda, jeden z dowódców w wojnie polsko-rosyjskiej (1654–1667). [przypis edytorski]

²⁹ kostera – ryzykant, hazardzista, szuler. [przypis edytorski]

szczędząc krwi. Towarzysze nie lubili ich, ale obawiano się ich powszechnie, w zajściach bowiem bywali straszni. Nawet oficerowie unikali z nimi zaczepki. Jeden tylko Kmicic wzbudzał w nich strach nieopisany, a po Kmicicu pan Ranicki, któremu gdy twarz w gniewie pocętkowała się plamami, wówczas drżeli przed nim. Czcił też w obydwóch ród wysoki, bo Kmicicowie z dawnych czasów górowali w Orszańskim, a w Ranickim płynęła krew senatorska.

W partii mówiono, że zebrali wielkie skarby, ale nikt dobrze nie wiedział, czy było w tym coś prawdy. Pewnego dnia wysłał ich Kmicic z kilku czeladzi i tabunem zdobycznym koni – od tej pory znikli. Kmicic rozumiał, że polegli, żołnierze mówili, że uszli z końmi, gdyż to była za wielka dla ich serc pokusa. Teraz, gdy ich pan Andrzej ujrzał zdrowych, gdy w szopie podle chaty rżały jakieś konie, a radość i uniżoność starego mieszała się z niespokojnością, pomyślał pan Andrzej, że żołnierze mieli słuszość.

Toteż gdy weszli do chaty, siadł na tapczanie i wzięwszy się w boki, począł patrzeć prosto w oczy staremu, następnie spytał:

– Kiemlicz! a gdzie to moje konie?

– O Jezu! słodki Jezu! – jęknął stary. – *Zołtareńkowi*³⁰ ludzie zabrali, pobili nas, poranili, rozproszyli, gnali szesnaście mil, ledwieśmy z życiem uszli. O Matko Najświętsza! Jużemy ni

³⁰ *Zołtareńkowi* – wojska Iwana Zołotarenki (zm. 1655), hetmana kozackiego, stronnika Rosjan, szwagra Bohdana Chmielnickiego; Zołotarenko brał udział w zdobyciu Wilna (1654) i wielu innych miast, a zginął podczas oblężenia Bychowa. [przypis edytorski]

waszej miłości, ni partii nie mogli znaleźć. Przygnali nas aż tu, w te bory, na mizериę i głód, do tej chałupy, do tych bagien... Bóg łaskaw, że wasza mość żywie i zdrowy, choć widzę, ranny. Może by opatrzyć, ziół odciągających przyłożyć... A ci moi synalowie poszli pnie odwalać i zginęli. Co te szelmy tam robią? Gotowi drzwi wystawić i do miodu się dobrać. Głód tu i mizeria – więcej nic! Grzybami żyjemy, ale dla waszej miłości znajdzie się co wypić i przekąsić... Tamte konie porwali nam, zagrabili... Nie ma o czym mówić! I nas służby u waszej miłości zbawili; kawałka chleba na starość nie ma, chyba nas wasza cześć przytuli i na powrót do służby przyjmie.

– Może się i to zdarzyć – odrzekł Kmicic.

W tej chwili weszli dwaj synowie starego: Kosma i Damian, bliźniacy, chłopcy duże, niezgrabne, z ogromnymi głowami, porośniętymi całkiem niezmiernie gęstym i twardym jak szczecina włosem, nierównym, sterczącym koło uszu, tworzącym wichry i fantastyczne czuby na czaszkach. Wszedłszy, stanęli koło drzwi, bo w obecności Kmicica usiąść nie śmieli, i Damian rzekł:

– Loch odwalony.

– Dobrze – rzekł stary Kiemlicz – pójdę przynieść miodu.

Tu spojrzał na synów znacząco.

– A tamte konie Zołtareńkowi ludzie zabrali – rzekł z przyciskiem.

I wyszedł z izby.

Kmicic patrzył na dwóch budrysów stojących pode drzwiami, jakoby toporem z gruba z pni wyciosanych, nagle spytał:

– Co wy teraz robicie?

– Konie bierzem! – odrzekli jednocześnie bliźniacy.

– Komu?

– Komu popadnie.

– A najwięcej?

– Zołtareńkowym.

– To dobrze, nieprzyjaciołom wolno brać, ale jeżeli i swoim bierzecie, toście hultaje, nie szlachta. Co z tymi końmi czynicie?

– Ociec w Prusach sprzedają.

– A Szwedom zdarzało się wam odbierać? Bo to tu gdzieś niedaleko szwedzkie komendy? Podchodziliście Szwedów?

– Podchodzili.

– Toście na pojedynczych napadali albo na małe kupki! A gdy się bronili, cóż wy wówczas?

– Pralim.

– Aha! Praliście! Tedy macie swój rachunek u Zołtareńkowych i u Szwedów, i pewnie by wam na sucho nie ušlo, gdybyście im w ręce wpadli?

Kosma i Damian milczeli.

– Niebezpieczny prowadzicie proceder i godniejszy hultajów niż szlachty... Nie bez tego też musi być, żeby na was jakie wyroki z dawnych czasów nie ciążyły?

– Jakże nie! – odrzekli Kosma i Damian.

– Tak i myślałem. Z których wy stron?

– My tutejsi.

– Gdzie ojciec przedtem mieszkał?

– W Borowiczku.

– Jego była wioska?

– W kolokacji³¹ z Kopystyńskim.

– A co się z nim stało?

– Usieklim.

– I musieliście uchodzić przed prawem. Kuso z wami, Kiemlicze, i na gałęziach pokończycie! Kat wam poświęci, nie może inaczej być!

Wtem drzwi do izby skrzypnęły i wszedł stary, niosąc gąsior miodu i dwie szklanki. Wszedłszy, spojrzał niespokojnie na synów i na pana Kmicica, a potem rzekł:

– Idźcie loch zawalić.

Bliźniacy wyszli natychmiast, ojciec zaś nalał miód w jedną szklankę, drugą zaś zostawił próżną czekając, czy mu Kmicic pić ze sobą pozwoli.

Lecz Kmicic sam pić nie mógł, bo i mówił nawet z trudnością – tak mu rana dolegała. Widząc to, stary rzekł:

– Nie idzie miód na ranę, chybaby samą zalać, żeby się prędzej wypaliła. Wasza miłość pozwoli obejrzeć i opatrzyć, bo to ja się nie gorzej cyrulika znam na tym?

Kmicic zgodził się, więc Kiemlicz zdjął obwiązki i począł patrzeć pilnie.

– Skóra starta, nic to! Kula po wierzchu przeszła, ale przecie napuchło.

³¹ *kolokacja* (z łac. *collocatio*: umieszczenie, ustawienie) – tu: współwłasność.
[przypis edytorski]

– Toteż jeno dlatego dolega.

– Ale to i dwóch dni nie ma. Matko Najświętsza! Musiał ktoś okrutnie blisko do waszej miłości strzelić.

– A po czym miarkujesz?

– Bo się i wszystek proch nie zdążył spalić i ziarnka, jako czarnuszka, pod skórą siedzą. To waszej miłości już zostanie. Teraz jeno chleba z pajęczyną przyłożyć. Okrutnie blisko ktoś strzelił, dobrze, że waszej miłości nie zabił!

– Nie było mi jeszcze pisane. Zagniećże chleba z pajęczyną, panie Kiemlicz, i przyłóż co prędzej, bo mam z tobą pogadać, a szczęki bolą.

Stary spojrzał podejrzliwie na pułkownika, bo w sercu powstała mu obawa, aby ta rozmowa nie tyczyła się znów koni, wrzekomo przez Kozaków pobranych, jednakże zaraz zakrzętnął się; zagniół naprzód zwilżonego chleba, a gdy o pajęczynę nie było w chacie trudno, wnet opatrzył Kmicica.

– Dobrze mi teraz – rzekł pan Andrzej – siadaj, mości Kiemlicz.

– Według rozkazu pana pułkownika – odparł stary, siadając na brzeżku ławki i wyciągając niespokojnie swą siwą, szczeciniastą głowę ku Kmicicowi.

Lecz Kmicic, zamiast pytać lub rozmawiać, wziął głowę w ręce i zamyślił się głęboko. Po czym wstał i począł chodzić po izbie; chwilami zatrzymywał się przed Kiemliczem i patrzył na niego roztargnionym wzrokiem, widocznie coś rozważał, łamał się z myślami. Tymczasem upłynęło z pół godziny; stary kręcił

się coraz niespokojniej.

Nagle Kmicic zatrzymał się przed nim.

– Mości Kiemlicz – rzekł – gdzie tu najbliżiej stoją te chorągwie, które się przeciw księciu wojewodzie wileńskiemu zbuntowały?

Stary począł mrugać podejrzliwie oczyma.

– Czy wasza miłość chce do nich jechać?

– Jać nie proszę, byś pytał, jeno byś odpowiadał.

– Mówią, że w Szczuczynie jedna chorągiew stanie na kwaterach, ta, która ostatnio tędy ze Żmudzi przechodziła.

– Kto mówił?

– Sami ludzie spod chorągwi.

– Kto ją prowadził?

– Pan Wołodyjowski.

– To dobrze. Wołaj mi Soroki!

Stary wyszedł i po chwili wrócił z wachmistrzem.

– A listy znalazły się? – pytał Kmicic.

– Nie ma, panie pułkowniku – odpowiedział Soroka.

Kmicic strzepnął palcami.

– Ej, bieda! bieda! Możesz odejść, Soroka. Za te listy, żeście pogubili, warcicie wisieć. Możesz odejść. Mości Kiemlicz, masz tu na czym pisać?

– Bodaj, że się znajdzie – odparł stary.

– Choćby ze dwie karty i piór.

Stary zniknął we drzwiach komory, która widocznie była składem wszelkiego rodzaju rzeczy, ale szukał długo. Kmicic

tymczasem chodził po izbie i rozmawiał sam ze sobą.

– Czy listy są, czy ich nie ma (mówił), hetman nie wie, że zginęły, i będzie się bał, żebym ich nie opublikował. Mam go w rękę... chytróść na chytróść! Zagrozę mu, że wojewodzie witebskiemu pošlę. Tak jest! W Bogu nadzieja, że się tego zleknie.

Dalsze rozmyślania przerwał mu stary Kiemlicz, który wyszedłszy z komory, rzekł:

– Kart jest trzy, ale nie ma piór i inkaustu.

– Nie ma piór? A ptactwa tu jakowego nie ma w lesie? Choćby z rusznicy ustrzelić.

– Jest jastrząb przybity nad szopą.

– Dawaj skrzydło, ruszaj!

Kiemlicz pomknął co prędzej, bo w głosie Kmicica była niecierpliwość i jakoby gorączka. Po chwili wrócił ze skrzydłem jastrzębim. Kmicic chwycił je, wyrwał lotkę i począł ją temperować własnym pugińalem.

– Ujdzie! – rzekł, patrząc pod światło – ale łatwiej łby ludziom zacinąć niż pióra! A teraz trzeba inkaustu.

To rzekłszy, odwinął rękaw, zakłuł się silnie w rękę i umoczył pióro we krwi.

– Ruszaj sobie, mości Kiemlicz – rzekł – i ostaw mnie.

Stary wyszedł z izby, a pan Andrzej zaraz rozpoczął pisać.

„Wypowiadam służbę W. X. Mości, bo zdrajcom i zaprzańcom nie chcę dłużej służyć. A żem przysiągł na krucyfiksie, że W. X. Mości nie opuszczę, to mnie Bóg z tego

rozgrzeszy – choćby zaś i potępił, wolę gorzeć za błąd mój niżeli za jawną i rozmyślną zdradę ojczyzny i Pana mego. W. X. Mość wywiodłeś mnie w pole, żem był jako ślepy miecz w twoim ręku, do rozlewania krwi bratniej skory. Tedy na boski sąd W. X. Mość wzywam, aby nas rozsądzono, po czyjej stronie była zdrada, a po czyjej czysta intencja. Jeżeli się zaś spotkamy, wonczas, choć wy jesteście potężni i nie tylko prywatnego człeka, ale i całą Rzeczpospolitą na śmierć ukąsić możecie, a u mnie jeno szabla w garści, przecie się o swoje upomnę i ścigać W. X. Mość będę, do czego mój żal i moje zgryzoty siły mi dodadzą. A to już Wasza X. Mość wiesz, jeżeli nie z takich, co i bez chorągwi nadwornych, bez zamków i armaty zaszkodzić mogą. Póki mi tchu, poty pomsty nad wami, że ani dnia, ani godziny pewni być nie możecie. Tak to pewno ma być, jako to jest moja własna krew, którą piszę. Listy W. X. Mości mam, które W. X. Mość nie tylko u króla polskiego, ale i u Szwedów pograżyć mogą, bo w nich zdrada Rzeczypospolitej jawna, jako i to, że Szwedów też gotowicie odstąpić, byle im się noga posunęła. Choćbyście dwakroć byli potężniejsi – zguba wasza w moim ręku, bo podpisom i pieczęciom kaźden uwierzyć musi. Tedy W. X. Mości zapowiadam tak: jeśliby tam włos miał spaść z tych głów, które miłuję, a które w Kiejdanach ostały, owe listy i dokumenta do pana Sapiehy odsyłam, a kopie drukować każę i po kraju rozrzucę. Masz W. X. Mość wóz i przewóz: albo po wojnie, gdy spokój w Rzplitej³² nastanie, oddasz mi Billewiczów,

³² *Rzplitej* – Rzeczpospolitej; skrót stosowany w XVII w. [przypis edytorski]

a ja W. X. Mości listy, albo jeślibym złą nowinę usłyszał, zaraz pan Sapieha pokaże je Pontusowi. Chce się W. X. Mości korony, jeno nie wiem, czy wówczas będzie ją na co włożyć, gdy głowa od polskiego lub szwedzkiego topora upadnie. Lepiej, widzi mi się, zamianę uczynić – bo choć ja pomsty i potem nie zaniecham, ale już się jeno *privatim*³³ rozprawiać będziem. Bogu bym W. X. Mość polecił, gdyby nie to, że sam diabelskie *auxilia*³⁴ nad boskie przekładasz. – Kmicic.

P. S. Konfederatów W. X. Mość nie wytrujesz, bo będą tacy, co idąc z diabelskiej służby w boską, ostrzegą ich, by ni w Orlu, ni w Zabłudowie piwa nie pili”.

Tu zerwał się pan Kmicic i począł chodzić po izbie. Twarz mu pałała, bo go własny list jako ogień rozpałił. List ten był jakoby manifestem wojny z Radziwiłłami, ale przecie czuł pan Kmicic w sobie jakąś nadzwyczajną siłę i gotów był, choćby w tej chwili, stanąć oko w oko potężnemu rodowi, który trząsł całym krajem. On, prosty szlachcic, prosty rycerz, on, banita prawem ścigany, on, który znikąd nie spodziewał się pomocy, naraził się wszystkim tak, że wszędzie za nieprzyjaciela był poczytywany; on, niedawno zwyciężony, czuł w sobie teraz taką potęgę, iż widział już jakby proroczym okiem upokorzenie książąt Janusza i Bogusława i swoje zwycięstwo. Jak będzie prowadził wojnę, gdzie znajdzie sprzymierzeńców, w jaki sposób zwycięży, nie wiedział – co więcej: nie namyślał się nad tym. Wierzył tylko

³³ *privatim* (łac.) – prywatnie. [przypis edytorski]

³⁴ *auxilium* (łac.) – pomoc; tu B. lm *auxilia*. [przypis edytorski]

głęboko, że czyni to, co uczynić powinien, że słusność i sprawiedliwość, zatem i Bóg, będzie z nim. To napawało go ufnością bez miary i granic. Uczyniło mu się na duszy lżej znacznie. Otwierały się przed nim jakby całkiem jakieś nowe krainy. Siąść tylko na koń i jechać mu tam, a dojedzie do czci, sławy i do Oleńki.

– Przecie jej włos z głowy nie spadnie – powtarzał sobie z gorączkową jakąś radością – listy ją obronią... Będzie jej hetman strzegł jak oka w głowie... jak ja sam! O, tom sobie poradził! Robak ja lichy, a przecie się mego żądła ulękną.

Nagle przyszła mu taka myśl:

„A żeby i do niej napisać? Poślaniec, który powiezie list do hetmana, może i jej wręczyć kartę sekretnie. Jakże nie oznajmić jej, żem z Radziwiłłami zerwał i że innej idę szukać służby?”

Ta myśl trafiła mu wielce zrazu do serca. Zadawszy się na nowo w rękę, umoczył pióro i począł pisać: „Oleńko, już ja nie radziwiłłowski, bom wreszcie przejrzał...” Lecz nagle przerwał – pomyślał chwilę, a potem rzekł sam do siebie:

– Niechże uczynki, nie słowa, świadczą odtąd za mnie; nie będę pisał!

I podarł kartę.

Natomiast napisał na trzeciej krótki list do Wołodyjowskiego w następujących słowach:

„Mości pułkowniku! Niżej podpisany przyjaciel ostrzega, abyście się mieli na baczności, tak W. M. Pan, jak i inni pułkownicy. Były listy hetmańskie do X. Bogusława i

p. Harasimowicza, aby Waszmościów truć lub chłopom na kwaterach kazać mordować. Harasimowicza nie ma, bo z X. Bogusławem do Prus, do Tylży, wyjechał, ale podobne rozkazy mogą być i do innych ekonomów. Tych się Waszmościowie strzeżcie, więc nic od nich nie przyjmujcie i po nocach bez straży nie sypiajcie. Wiem to także pewno, że pan hetman pociągnie wkrótce z wojskiem na Waszmościów, czeka tylko na jazdę, której mu półtora tysiąca komunika³⁵ ma generał de la Gardie nadesłać. Tedy baczcie, aby was nie zaskoczył i pojedynczo nie znosił. A najlepiej poślijcie pewnych ludzi do pana wojewody witebskiego, aby osobą swą co najprędzej nadjechał i komendę nad wszystkimi objął. Życzliwy to radzi – wierzcie mu! Tymczasem kupy się trzymajcie, chorągiew od chorągwi niedaleko kwatery wybierając, abyście jedni drugim na pomoc iść mogli. Hetman mało ma jazdy, jeno trochę dragonów i Kmicicowych ludzi, ale niepewnych. Kmicica samego nie ma, któremu hetman jakąś inną funkcję obmyślił, bo podobno już mu nie ufa. Któren też nie jest taki zdrajca, jak powiadają, jeno uwiedziony. Bogu was polecam. – Babinicz.”

Pan Andrzej nie chciał kłaść pod listem własnego nazwiska, sądził bowiem, że ono w każdym musi wzbudzić wstręt, a zwłaszcza nieufność. „Jeżeli rozumieją (myślał sobie), że lepiej im będzie wymykać się przed hetmanem niż kupą mu zająć drogę, tedy, obaczywszy moje nazwisko, zaraz będą podejrzewali, że umyślnie w kupę ich chcę zebrać, aby hetman

³⁵ *komunik* – jeździec, kawalerzysta a. jazda, kawaleria. [przypis edytorski]

jednym zamachem mógł z nimi skończyć; pomyślał, że to nowa sztuka, a od jakiegoś Babinicza prędzej przyjmą przestrożę.”

Babiniczem zaś nazwał się pan Andrzej od miasteczka Babinicze, leżącego niedaleko Orszy, które od prastarych czasów do Kmiciców należało.

Napisawszy więc ów list, w którego końcu umieścił kilka nieśmiałych słów na własną obronę, doznał nowej w sercu pociechy na myśl, że oto już tym listem pierwszą oddaje usługę nie tylko panu Wołodyjowskiemu i jego przyjaciółom, ale wszystkim pułkownikom, którzy ojczyzny dla Radziwiłła nie chcieli porzucić. Czuł przy tym, że ta nić będzie się snuła dalej. Terminy, w które popadł, były istotnie ciężkie, niemal desperackie, ale przecie znalazła się jakaś rada, jakoweś wyjście, jakaś wąska ścieżka, która mogła na gościniec wyprowadzić.

Lecz teraz, gdy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Oleńka była zabezpieczona od zemsty księcia wojewody, a konfederaci od niespodziewanego napadu, zadał sobie pan Andrzej pytanie, co sam będzie czynił.

Zerwał ze zdrajcami, spalił za sobą mosty, chciał teraz służyć ojczyźnie, ponieść jej w ofierze siły, zdrowie, gardło – ale jak to uczynić? jak zacząć? do czego przyłożyć ręki?

I znów mu przyszło do głowy:

„Iść do konfederatów...”

Lecz jeśli nie przyjmą, jeśli zdrajcą ogłoszą i usieką albo co gorzej, sromotnie wypędzą?

– Wolejby³⁶ usiekli! – zakrzyknął pan Andrzej i spłonął ze wstydu i poczucia własnej sromoty. – Podobnoż to łatwiej ratować Oleńkę, łatwiej konfederatów niż sławę własną.

Tu dopiero rozpoczynały się prawdziwie desperackie terminy. I znów junacka dusza poczęła kipieć.

– Albo to nie mogę czynić, jakom przeciw Chowańskiemu³⁷ czynił? – rzekł do siebie. – Kupę zbiorę, będę Szwedów najeżdżał, palił, ścinał. Nie nowina mi to! Nikt im się nie oparł, ja się oprę, aż przyjdzie chwila, że jako Litwa pytała, tak cała Rzeczpospolita spyta: kto ów junak, który sam jeden śmie lwu w paszczę włożyć? Wtedy czapkę zdejmę i powiem: „Patrzcie, to ja, Kmicic!”

I taka porwała go chęć paląca do tej krwawej roboty, że już chciał wypaść z izby, kazać na koń siadać Kiemliczom, ich czeladzi, swoim i ruszać.

Lecz nim doszedł do drzwi, uczuł nagle, jakoby go coś pchnęło w piersi i odtrąciło od proga. Stał na środku izby i patrzył przed siebie zdumiony.

– Jakże to? Zali³⁸ tym win nie zmażę?

I wnet począł rozprawę z własnym sumieniem.

„A gdzie pokuta za winy? – pytało sumienie. – Tu trzeba czego innego!”

³⁶ *wolej* – lepiej; lepiej by było, żeby. [przypis edytorski]

³⁷ *Chowański, Iwan Andriejewicz* (zm. 1682) – rosyjski wojskowy, bojar i wojewoda, jeden z dowódców w wojnie polsko-rosyjskiej (1654–1667). [przypis edytorski]

³⁸ *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

„Czego?” – pytał Kmicic.

„Czymże możesz zgładzić winy, jeśli nie służbą jakowąś ciężką i niezmierną, a uczciwą i czystą jako łza?... Zali to służba zebrać kupę hultajów i buszować z nimi jako wichler po polu i puszczy? Zali nie dlatego jej pragniesz, że ci pachnie zabijatyka jako psu pieczeń? Taże to zabawa – nie służba, kulig – nie wojna, rozbój – nie ojczyzny obrona! A czyniłżeś tak przeciw Chowańskiemu i cóżeś wyjeździł? Łotrzykowie, co po lasach grasują, gotowi także napadać na komendy szwedzkie, a ty skąd weźmiesz innych ludzi? Szwedów naszarpiesz, ale i obywateli naszarpiesz, pomstę na nich ściągniesz i co wskórasz? Sianem się, kpie, chcesz wywinać od pracy i pokuty!”

Tak to mówiło w panu Kmicicu sumienie, a pan Kmicic widział, że ma słuszość, i złość go brała, i żal jakiś do własnego sumienia, że taką gorzką mówiło prawdę.

– Co ja pocznę? – rzekł wreszcie. – Kto mi poradzi, kto mnie wyratuje?

Tu kolana poczęły się giąć jakoś pod panem Andrzejem, aż wreszcie ukląkł przy tapczanie i począł się modlić głośno, i prosić z całej duszy i serca:

– Jezu Chryste, Panie miły – mówił – jakoś się na krzyżu nad łotrem ulitował, tak zlituj się i nade mną. Oto pragnę obmyć się z grzechów moich, nowy żywot rozpocząć i ojczyźnie poczciwie służyć, ale nie wiem jak, bom głupi. Służyłem tamtym zdrajcom, Panie, też nie tyle ze złości, ale jako właśnie z głupoty; oświeć mnie, natchnij, pociesz w desperacji mojej i ratuj w miłosierdziu

swoim, bo zginę...

Tu głos zadrgał panu Andrzejowi, począł się bić w piersz szeroką, aż grzmiało w izbie, i powtarzać:

– Bądź miłościw mnie grzesznemu! Bądź miłościw mnie grzesznemu! Bądź miłościw mnie grzesznemu!

Po czym złożywszy ręce i wyciągnąwszy je do góry, tak dalej mówił:

– A Ty, Panienko Najświętsza, przez heretyków w tej ojczyźnie insultowana³⁹, wstaw się za mną do Syna swego, zstąp ku ratunkowi memu, nie opuszczaj mnie w utrapieniu i biedzie mojej, abym Tobie mógł służyć, insulta⁴⁰ Twoje pomścić i w godzinę skonania mieć Cię za patronkę przy nieszczęsnej duszy mojej!

A gdy tak błagał pan Kmicic, łzy poczęły mu padać jak groch z oczu, na koniec spuścił głowę na tapczan i trwał w milczeniu, jakby czekając na skutek swej żarliwej modlitwy. Nastąpiła cisza w izbie i tylko mocny szum pobliskich sosen dochodził z zewnątrz.

Wtem zaskrzypiały wióry pod ciężkimi krokami za oknem i dwa głosy poczęły rozmawiać:

– A co myślicie, panie wachmistrzu, gdzie stąd pojedziem?

– Albo ja wiem?! – odparł Soroka. – Pojedziem, taj tylko! Może hen! do króla, którego pod szwedzką ręką jęczy.

– Zali to prawda, że go wszyscy opuścili?

– Ale go Pan Bóg nie opuścił.

³⁹ *insultować* (łac.) – znieważać, obrażać. [przypis edytorski]

⁴⁰ *insultum* (łac.) – zniewaga; tu B. lm *insulta*: zniewagi. [przypis edytorski]

Kmicic powstał nagle od tapczana, a twarz miał jasną i spokojną; szedł prosto ku drzwiom i otworzywszy drzwi od sieni, rzekł do żołnierzy:

– Konie mieć gotowe, w drogę czas!

Rozdział III

Wnet ruch uczynił się między żołnierzami, którzy radzi byli wyjechać z lasu na daleki świat, tym bardziej że bali się jeszcze pościgu ze strony Bogusława Radziwiłła, a stary Kiemlicz poszedł do chaty rozumując, że Kmicic będzie go potrzebował.

– Wasza miłość chce jechać? – rzekł wchodząc.

– Tak jest. Wyprowadzisz mnie z lasu. Znasz tu wszystkie pasy?

– Znam, ja tutejszy... A dokąd wasza miłość chce jechać?

– Do króla jegomości.

Stary cofnął się ze zdumieniem.

– Panno Mądra⁴¹! – zakrzyknął – do jakiego króla, wasza miłość?

– Jużci, nie do szwedzkiego.

Kiemlicz nie tylko nie ochłonął, ale począł się żegnać.

– To wasza miłość chyba nie wie, co ludzie powiadają, że król jegomość na Śląsk się schronił, bo go wszyscy opuścili. Kraków nawet w oblężeniu.

– Pojedziem na Śląsk.

– Ba, a jakże się przez Szwedów przedostać?

– Czy po szlachecku, czy po chłopsku, czy na kulbace, czy

⁴¹ *Panno Mądra* – jedno z określeń Matki Boskiej, występujące w litanii. [przypis edytorski]

piechotą, wszystko jedno, byle się przedostać!

– Toż to i czasu okrutnego trzeba...

– Mamy czasu dość... Ale rad bym jak najprędzej...

Kiemlicz przestał się dziwić. Stary zbyt był chytry, aby się nie domyślić, że jest jakiś szczególny i tajemniczy powód w tym przedsięwzięciu pana Kmicica, i zaraz tysiące przypuszczeń poczęło mu się cisnąć do głowy. Lecz że żołnierze Kmicicowi, którym pan Andrzej milczenie nakazał, nic nie rzekli ni staremu, ni synom o porwaniu księcia Bogusława, tedy najprawdopodobniejszym wydało mu się przypuszczenie, że to zapewne książę wojewoda wileński wysyła młodego pułkownika z jakąś misją do króla. Utwierdzało go w tym mniemaniu zwłaszcza to, że poczytywał Kmicica za gorliwego stronnika hetmańskiego i o jego zasługach względem hetmana wiedział, albowiem skonfederowane chorągwie rozniosły o nich wieść po całym województwie podlaskim, czyniąc Kmicicowi opinię okrutnika i zdrajcy.

„Hetman posyła zaufanego do króla – pomyślał stary – to znaczy, że się pewnie z nim godzić chce i Szwedów odstąpić. Musiały mu się już naprzykrzyć ich rządy... Po cóż inaczej by posyłał?...”

Stary Kiemlicz niedługo się silił nad rozwiązaniem tego pytania, bo chodziło mu zupełnie o co innego, a mianowicie o to, jaką by korzyść mógł dla siebie z takich terminów wyciągnąć. Oto, jeżeli przysłuży się Kmicicowi, przysłuży się zarazem hetmanowi i królowi, co nie będzie bez znacznej nagrody.

Łaska takich panów przyda się także, gdyby przyszło ze starych grzechów zdawać rachunek. Przy tym pewnie będzie wojna, kraj rozgorzeje, a wtedy łup sam wlezie w ręce. To wszystko uśmiechnęło się staremu, który i bez tego przywykł był słuchać Kmicica, a nie przestał się go bać jak ognia, żywiąc zarazem ku niemu pewien rodzaj afektu, jaki pan Andrzej umiał wzbudzać we wszystkich podkomendnych.

– Wasza miłość – rzekł – musi całą Rzeczpospolitą przejechać, by się do króla jegomości dostać. Nic to jeszcze komendy szwedzkie, bo miasta można omijać i lasami jechać... Ale gorsze to, że i po lasach, jako zwyczajnie w niespokojnym czasie, pełno kup swawolnych⁴², które podróżnych napastują, a wasza miłość ludzi ma mało...

– Pojedziesz ze mną, panie Kiemlicz, razem z synami i z ludźmi, których masz, to będzie nas więcej.

– Wasza miłość rozkaże, to i pojadę, ale jam człek ubogi. Jedna nędza u nas, więcej nic. Jakże mnie to onej chudoby⁴³ i dachu nad głową ustąpić?

– Co uczynisz, to się opłaci, a i dla was lepiej głowy stąd unieść, póki jeszcze na karkach siedzą.

– Wszyscy Święci Pańscy!... Co wasza miłość mówi?... co?... Jak to?... Co mnie niewinnemu tu grozi? Komu my w drogę wchodzim?...

⁴² *kupy swawolne* – oddziały nieprzyjacielskie, które odłączyły się od swojej armii.
[przypis edytorski]

⁴³ *chudoba* – niewielki majątek, inwentarz. [przypis edytorski]

Na to pan Andrzej:

– Znają was tu, hultaje! Mieliście kolokację z Kopystyńskim i usiekliście go, potem zbiegliście przed sądami i służyliście u mnie; potem uprowadziliście mi tabunek zdobyczny...

– Jako żywo! Panno Można⁴⁴! – zakrzyknął stary.

– Czekaj i milcz! Potem wróciliście do starego legowiska i poczęliście grasować w okolicy jako zbóje, konie i łup wszędy biorąc. Nie wypieraj się, bo ja nie twój sędzia, a sam najlepiej wiesz, jeżeli prawdę mówię... Bierzecie konie Zołtareńkowym⁴⁵, to dobrze, bierzecie Szwedom, to dobrze. Jak was złapią, to i ze skóry złupią, ale to ich rzecz.

– Godzi się to, godzi, bo nieprzyjaciołom tylko bierzem – rzekł stary.

– Nieprawda jest, bo i swoich napadacie, co mi już twoi synalowie wyznali, a to już prosty rozbój i szlacheckiemu imieniowi⁴⁶ zakała. Wstyd wam, hultaje!... Chłopami wam być, nie szlachtą!

Poczerwieniał na to stary wyga i rzekł:

– Wasza miłość krzywdzi nas, bo my, pamiętając na stan nasz, chłopskim procederem się nie bawim. My koni nocą z niczych

⁴⁴ *Panno Można* – jedno z określeń Matki Boskiej, występujące w litanii. [przypis edytorski]

⁴⁵ *Zołtareńkowi* – wojska Iwana Zołotarenki (zm. 1655), hetmana kozackiego, stronnika Rosjan, szwagra Bohdana Chmielnickiego; Zołotarenko brał udział w zdobyciu Wilna (1654) i wielu innych miast, a zginął podczas oblężenia Bychowa. [przypis edytorski]

⁴⁶ *imieniowi* – popr. forma C. lp: imieniu. [przypis edytorski]

stajen nie wyprowadzamy. Co innego z łąk stadko porwać albo zdobyć. To wolno i nie masz w tym ujmy w wojennych czasach dla szlachcica. Ale koń w stajni święta rzecz, i chyba Cygan, Żyd albo chłop go ukradnie, nie szlachcic! My tego, wasza miłość, nie czynim. Ale co wojna, to wojna!

– Choćby i dziesięć wojen było, w bitwie jeno możesz łup brać, a jeśli go na gościńcu szukasz, toś hultaj!

– Bóg świadkiem naszej niewinności.

– Aleście już tu piwa nawarzyli. Krótko mówiąc, lepiej wam stąd uchodzić, bo prędzej, później stryczek was nie minie. Pojedziecie ze mną; wierną służbą zmażecie winy i cześć odzyskacie. Biorę was do służby, a już tam i korzyść się znajdzie lepsza aniżeli z onych koni.

– Pojedziem z waszą miłością wszędy, przeprowadzim przez Szwedów i przez hultajów, bo prawdę waszej miłości rzecz, to nas tu źli ludzie okrutnie prześladują, a za co? za co?... Za nasze ubóstwo – nic! jak za ubóstwo... Może też Bóg zmiłuje się nad nami i poratuje nas w utrapieniu!

Tu stary Kiemlicz mimo woli zatarł ręce i błysnął oczyma.

„Od tych robót – pomyślał sobie – zagotuje się w kraju jak w kotle, a wtedy głupi nie skorzysta”.

Wtem Kmicic spojrział na niego bystro.

– Jeno nie próbuj mnie zdradzić! – rzekł groźnie – bo nie zdzierzysz, a ręka boska jedna zdoła cię wówczas wyratować!

– To się po nas nie pokazało – odrzekł ponuro Kiemlicz – i niech mnie Bóg potępi, jeśli mi taka myśl w głowie powstała.

– Wierzę – rzekł po krótkim milczeniu Kmicic – bo zdrada to jeszcze co innego jak hultajstwo i niejedyn hultaj przecie tego nie uczyni.

– Co wasza miłość teraz rozkaże? – zapytał Kiemlicz.

– Naprzód są dwa listy, potrzebujące prędkiej ekspedycji. Maszli ludzi roztropnych?

– Gdzie mają jechać?

– Jeden niech jedzie do księcia wojewody, ale nie potrzebuje samego widzieć. Niech jeno list odda w pierwszej książęcej chorągwi i wraca, nie czekając odpowiedzi.

– Smolarz pojedzie, to człek roztropny i bywały.

– Dobrze. Drugi list trzeba odwieźć ku Podlasiowi; pytać o chorągiew laudańską pana Wołodyjowskiego i samemu pułkownikowi w ręce oddać...

Stary począł mrugać chytrze i tak myślał:

„To, widzę, robota na wszystkie strony, kiedy już i z konfederatami się wachają; będzie ukrop! będzie!...”

Po czym rzekł głośno:

– Wasza miłość! Jeśli to nie tak pilne pismo, to może by, wyjechawszy z lasów, komu po drodze oddać. Siła⁴⁷ tu szlachty konfederatom sprzyja i każdy chętnie odwiezie, a nam się jeden więcej człowiek zostanie.

– Toś roztropnie wykalkulował – rzekł Kmicic – bo lepiej, żeby ten, co zawiezie list, nie wiedział, od kogo wiezie. A czy prędko wyjedziem z lasów?

⁴⁷ siła (daw.) – wiele, dużo. [przypis edytorski]

– Jak wasza miłość chce. Może jechać i dwie niedziele albo jutro wyjechać.

– Tedy potem o tym, a teraz słuchaj mnie pilno, Kiemlicz!

– Zważam wszystkim rozumem, wasza miłość.

– Ogłosili mnie – rzekł Kmicic – w całej Rzeczypospolitej za okrutnika i hetmańskiego zaprzedańca albo zgoła szwedzkiego. Gdyby król jegomość wiedział, ktom jest, mógłby mnie nie ufać i intencją moją wzgardzić, która jeżeli nie jest szczerą, Bóg widzi! Uważaj, Kiemlicz!

– Uważam, wasza miłość.

– Tedy nie nazywam się Kmicic, jeno Babinicz, rozumiesz? Nikt nie ma mego prawdziwego przezwiska wiedzieć. Gęby mi nie otworzyć, pary nie puścić. A będą pytać, skąd jestem, to powiesz, żeś się po drodze do mnie przyłączył i nie wiesz; natomiast rzekniesz: kto ciekaw, niech się samego pyta.

– Rozumiem, wasza miłość.

– Synom zapowiesz, czeladzi także. Choćby z nich pasy darto, nazywam się Babinicz. Gardłem mi za to odpowiadać!

– Tak i będzie, wasza miłość. Pójdę synom zapowiedzieć, bo tym szelmom trzeba łopatą w łeb kłaść. Taka mi z nich pociecha... Bóg pokarał za dawne grzechy... Ot, co... Pozwoli wasza miłość słowo jeszcze powiedzieć?

– Mów śmieie.

– Widzi mi się, lepiej będzie, jeżeli nie powiemy ni żołnierzom, ni czeladzi, dokąd jedziem.

– Tak ma i być.

– Dość niech wiedzą, że pan Babinicz, nie pan Kmicic, jedzie. A po drugie: chcąc w taką drogę jechać, lepiej by ukryć szarżę waszej miłości.

– Jak to?

– Bo Szwedzi glejty znaczniejszym ludziom dają, a kto nie ma glejtu, tego do komendanta prowadzą.

– Ja glejty do komend szwedzkich mam!

Zdziwienie błysnęło w chytrych oczach Kiemlicza, ale pomyślawszy chwilę, rzekł:

– Wasza miłość pozwoli jeszcze powiedzieć, co myślę?

– Byleś dobrze radził, a nie marudził, to mów, bo widzę, żeś człek obrotny.

– Jeżeli glejty są, to i lepiej, bo można w nagłym razie pokazać, ale jeżeli wasza miłość z taką robotą jedzie, która ma zostać tajemna, to lepiej glejtów nie pokazywać. Nie wiem ja, czy one wydane na imię Babinicza, czy na pana Kmicica, ale pokazać, to ślad zostanie i pościg łatwiejszy.

– Jak w sedno utrafiłeś! – zawołał Kmicic. – Wolę glejty zachować na inny czas, jeżeli można inaczej się przedostać!

– Można, wasza miłość, a to w przebraniu chłopskim albo chudopacholskim, co będzie łatwiej, bo u mnie tu jest trochę ochędostwa, jako to czapek i kożuchów szarych, takich właśnie, jak drobna szlachta nosi. Wziąwszy tabunek koni, można by pojechać z nimi niby po jarmarkach i przebierać się coraz głębiej, hen, aż pod Łowicz i Warszawę. Co ja, z przeproszeniem waszej miłości, nieraz już, jeszcze w spokojnych czasach

czyniłem, i tamte drogi znam. Jakoś pod tę porę przypada jarmark w Sobocie, na który z daleka się zjeżdżają. W Sobocie dowiemy się o innych miastach, gdzie jarmark – i byle dalej! byle dalej!... Szwedzi też mniej na chudopachołków zważają, bo się mrowie tego po wszystkich jarmarkach kręci. A spyta nas jaki komendant, to mu się i wytłumaczym, zaś mniejszym kupom można będzie, jeżeli Bóg i Najświętsza Panna pozwoli, po brzuchach przejechać...

– A jak nam konie zabiorą? – bo to rekwizycje w czasie wojny codzienna rzecz...

– Albo kupią, albo zabiorą. Jeśli kupią, tedy nie z końmi, ale niby po konie do Soboty pojedziem, a jeśli zabiorą, podniesiemy lament i ze skargą będziem jechali aż do Warszawy i Krakowa.

– Chytry masz rozum – rzekł Kmicic – i widzę, że mi się przydadcie. Choćby też Szwedzi te konie zabrali, to znajdzie się taki, który zapłaci.

– I tak ja miałem do Ełku, do Prus, z nimi jechać, to się dobrze składa, bo właśnie tamtędy droga nam wypadnie. Z Ełku pojedziem granicą, potem wyprostujem na Ostrołękę, a stamtąd puszcza aż pod Pułtusk i Warszawę.

– Gdzie to ona Sobota?

– Niedaleko Piątku, wasza miłość.

– Kpisz, Kiemlicz?

– Zaś bym śmiał – odrzekł stary, krzyżując ręce na piersiach i skłaniając głowę – jeno się tam tak dziwnie miasteczka nazywają. To za Łowiczem, wasza miłość, ale jeszcze kawał drogi.

– I jarmarki znaczne w onej Sobocie?

– Nie takie jak w Łowiczu, ale jest jeden w tej porze, na który nawet i z Prus konie pędzą, i luda siła się zjeżdża. Pewnie tego roku nie będzie gorzej, bo tam spokojnie Szwedzi wszędy panują i po miastach załogi mają. Choćby się kto chciał ruszyć, to i nie może.

– Tedy przyjmuję twój sposób!... – Pojedziemy z końmi, za które z góry ci zapłacę, ażebyś szkody nie miał.

– Dziękuję waszej miłości za poratowanie.

– Przygotuj jeno kozuchy, czapraki i szable proste, bo zaraz jedziem. A zapowiedz synalom i czeladzi, ktom jest, jak się nazywam i że z końmi jadę, a wyście do pomocy najęci. Ruszaj!

A gdy stary zwrócił się ku drzwiom, pan Andrzej rzekł jeszcze:

– I nie będzie mnie nikt nazywał miłością ni komendantem, ani pułkownikiem, jeno waszecią, a z nazwiska Babiniczem!

Kiemlicz wyszedł i w godzinę później siedzieli już wszyscy na koniach, gotowi ruszyć w daleką drogę.

Pan Kmicic, przybrany w szarą chudopacholską świtę, w takąż czapkę z wytartym barankiem i z przewiazaną twarzą, jakby po jakim karczemnym pojedynku, trudny był do poznania i wyglądał istotnie na szlachetkę włóczącego się z jarmarku na jarmark. Otaczali go ludzie podobnie przybrani, zbrojni w proste szabliska i długie baty do popędzania koni oraz arkany do chwytania rozbieganych.

Żołnierze poglądali ze zdziwieniem na swojego pułkownika,

czyniąc sobie po cichu różne o nim uwagi. Dziwno im było, że to już pan Babinicz, nie pan Kmicic, że go mają z waszecia traktować⁴⁸, a najbardziej ruszał na to ramionami i wąsami stary Soroka, który, patrząc jak w tęczę w groźnego pułkownika, mruczał do Biłousa:

– Chyba mi ów waszeć przez gardziel nie przejdzie. Niech mnie zabije, a ja taki po staremu oddam, co mu się należy!

– Jak rozkaz, to rozkaz! – odrzekł Biłous. – Ale się pułkownik zmienił okrutnie.

Nie wiedzieli żołnierze, że i dusza w panu Andrzeju zmieniła się tak samo jak i zewnętrzna postać.

– Ruszaj! – krzyknął nagle pan Babinicz.

Zaklaskały bicze, jeźdźcy otoczyli stadko koni, które zbiły się w kupę, i ruszono.

⁴⁸ z *waszecia go traktować* – zwracać się do niego: waszeć, jak do prostego szlachcica.
[przypis edytorski]

Rozdział IV

Idąc samą granicą między województwem trockim a Prusami, szli przez lasy obszerne i bezdroża, Kiemliczom tylko znajome, aż weszli do Prus i dotarli do Łęgu, czyli jak stary Kiemlicz nazywał, do Ełku, gdzie zasięgnęli nowin o rzeczach publicznych od bawiącej tam szlachty, która przed Szwedami pod moc elektorską się schroniła wraz z żonami, dziećmi i dobytkiem.

Łęg wyglądał jak obóz, a raczej można by rzec, że sejmik jakowyś się w nim odprawuje. Szlachta piła pod wiechami⁴⁹ piwo pruskie i rozprawiała, a coraz ktoś nowiny przywoził. Nie dopytując się o nic i tylko nadstawiając bacznie ucha, dowiedział się pan Babinicz, że Prusy Królewskie i możliwe w nich miasta stanowczo opowiedziały się po stronie Jana Kazimierza i już układ z elektorem zawarły, aby się wspólnie przeciw każdemu nieprzyjacielowi bronić. Mówiono jednak, że mimo układu znamienitsze miasta nie chciały przyjąć załóg elektorskich, bojąc się, aby ów przebiegły książę, raz usadowiwszy się w nich zbrojną ręką, nie chciał potem na zawsze ich zagarnąć, albo żeby w stanowczej chwili ze Szwedami się zdradziecko nie połączył, do czego wrodzona chytrość zdolnym go czyniła.

Szlachta szemrała na tę nieufność mieszczan, ale pan Andrzej,

⁴⁹ *pod wiechami* – tj. w karczmach, których znak rozpoznawczy stanowiła wiecha, czyli wieniec albo przyozdobione drzewko, umieszczone nad wejściem. [przypis edytorski]

znający praktyki radziwiłłowskie z elektorem, gryzł się tylko w język, by nie wypowiedzieć wszystkiego, co mu było wiadome. Powstrzymywała go od tego myśl, że niebezpiecznie było w Prusach elektorskich mówić głośno przeciw elektorowi, a po wtóre, że szaremu szlachetce, który na targ z końmi przyjechał, nie wypadało wdawać się w zawiłe materie polityczne, nad którymi najbieglejsi statyści⁵⁰ próżno głowy łamali.

Przedawszy więc parę koni, a dokupiwszy natomiast nowych, jechali dalej wzdłuż granicy pruskiej, ale już traktem wiodącym z Łęgu do Szczuczyna leżącego w samym kącie województwa mazowieckiego, między Prusami z jednej a województwem podlaskim z drugiej strony. Do Szczuczyna samego nie chciał jednak pan Andrzej jechać, a to z tej okazji, że dowiedział się, iż w mieście stoi kwaterą jedna chorągiew konfederacka, której pułkownikuje pan Wołodyjowski.

Widocznie pan Wołodyjowski musiał iść mniej więcej tą samą drogą, którą jechał teraz Kmicic, i zatrzymał się w Szczuczynie bądź dla krótkiego odpoczynku przed samą granicą podlaską, bądź na czasowe kwatery, w których łatwiej musiało być o żywność dla ludzi i koni niż w mocno już wypłukanym Podlasiu.

Ale pan Kmicic nie chciał napotkać teraz słynnego pułkownika, albowiem sądził, że nie mając innych dowodów, prócz słów, nie zdoła go przekonać o swym nawróceniu

⁵⁰ *statysta* (daw.) – polityk, mąż stanu, strateg (dziś: osoba niebędąca aktorem, a występująca w filmie lub sztuce teatralnej w roli podrzędnej). [przypis edytorski]

i szczerości intencji. Wskutek tego w dwóch milach od Szczuczyna kazał skrócić w stronę Wąsoszy, ku zachodowi. Co do listu, który miał dla pana Wołodyjowskiego, postanowił przesłać go przez pierwszą pewną okazję.

Tymczasem, nie dojeżdżając Wąsoszy, zatrzymali się w przydrożnej karczmie, „Pokrzyk” zwanej, i roztasowali się na nocleg, który obiecywał się być wygodny, bo w karczmie prócz karczmarza Prusaka nie było nikogo z gości.

Lecz zaledwie Kmicic z trzema Kiemliczami i Soroką zasiedli do wieczerzy, gdy z zewnątrz dał się słyszeć hurkot kół i tętent koni.

Że słońce jeszcze nie zaszło, Kmicic wyszedł przed karczmę popatrzeć, kto przyjeżdża, bo był ciekaw, czy nie jakiś podjazd szwedzki, ale zamiast Szwedów ujrzał brykę, za nią dwa wozy i ludzi zbrojnych około wozów.

Na pierwszy rzut oka łatwo było poznać, że to jakiś personat⁵¹ nadjeżdża. Bryka była zaprzężona w cztery konie, dobre, pruskie, o grubych kościach i malikowatych grzbietach, foryś⁵² siedział na jednym z lejcowych, trzymając dwa psy piękne na smyczy; na koźle woźnica, a obok hajduczek przybrany z węgierska, na tylnym zaś siedzeniu sam pan wsparty pod boki, z wilczurą bez rękawów, spinaną na rzęsiste złożone guzy.

Z tyłu szło dwa wozy, dobrze pakowne, a przy każdym po czterech czeladzi zbrojnych w szable i bandolety.

⁵¹ *personat* (z łac.) – ważna osobistość. [przypis edytorski]

⁵² *foryś* – konny pachołek, pomocnik stangreta. [przypis edytorski]

Sam pan był to człowiek bardzo jeszcze młody, choć personat, lat ledwie dwudziestu kilku. Twarz miał pucołowatą, czerwoną, a i na całej osobie znać było, że sobie na jadło nie żałował.

Gdy bryka stanęła, hajduczek skoczył rękę podawać, a pan ujrawszy Kmicica stojącego w progu, kiwnął rękawicą i zawołał:

– A bywaj no, przyjacielu!

Kmicic, zamiast się zbliżyć, cofnął się do karczmy, bo go nagle złość wzięła. Nie przywykł jeszcze ani do szarej świty, ani do tego, by nań kiwano rękawicą. Wróciwszy tedy, siadł za stołem i wziął się znowu do jadła. Nieznajomy pan wszedł w ślad za nim.

Wszedłszy, przymrużył oczy, bo w izbie mroczno było, gdyż tylko na kominie palił się niewielki ogień.

– A czemu to nikt nie wychodzi, gdy zajeżdżam? – rzekł nieznajomy pan.

– Bo karczmarz poszedł do komory – odparł Kmicic – a my podróżni jako i wasza mość.

– Dziękuję za konfidencję⁵³. A co za podróżny?

– Szlachcic z końmi jadący.

– A kompania takż szlachta?

– Chudopachołcy, ale szlachta.

– Tedy czołem, czołem, mopankowie. Dokąd Bóg prowadzi?

– Z jarmarku na jarmark, byle tabunku zbyć.

– Jeżeli tu nocujecie, to jutro po dniu obejrzę, może i ja co wybiorę. A tymczasem pozwólcie, mopankowie, przysiąść się do

⁵³ *konfidencja* (z łac.) – zaufanie, zwierzenie. [przypis edytorski]

stołu.

Nieznajomy pan pytał wprawdzie, czy mu się przysiąść pozwoli, ale takim tonem, jakby był tego zupełnie pewien, jakoż nie omylił się, bo młody koniucha odrzekł grzecznie:

– Prosim bardzo wdzięcznie waszą mość, choć i nie mamy na co prosić, bo jeno grochem z kielbasą możemy częstować.

– Mam ja w puzdrach lepsze od tego specjały – odparł nie bez pewnej pychy młody panek – ale u mnie żołnierskie podniebienie, i groch z kielbasą, byle dobrze podlany, nad wszystko przekładam.

To rzekłszy (a mówił bardzo powoli, chociaż spoglądał bystro i roztropnie), zasiadł na ławie, gdy zaś Kmicic usunął mu się tak, aby uczynić wygodne miejsce, dodał łaskawie:

– Proszę, proszę, nie inkomoduj⁵⁴ się waćpan. W drodze się na godność nie uważa, a chociaż mnie też łokciem trącisz, to mi korona z głowy nie spadnie.

Kmicic, który właśnie przysuwał nieznajomemu miskę z grochem, a który jako się rzekło, nie przywykł jeszcze do podobnego traktowania, byłby niezawodnie rozbił ją na głowie nadętego młodzika, gdyby nie to, że było coś w tej nadętości takiego, co bawiło pana Andrzeja, więc nie tylko że zaraz wewnętrzny impet powściągnął, ale się uśmiechnął i rzekł:

– Takie to teraz czasy, wasza mość, że i z najwyższych głów korony spadają: *exemplum* nasz król Jan Kazimierz, który

⁵⁴ *inkomodować* (z łac. *incommodum*: niedogodność) – narażać na niewygody.
[przypis edytorski]

wedle prawa dwie powinien nosić, a nie ma żadnej, chyba jedną cierniową...

Na to nieznajomy spojrzał bystro na Kmicica, po czym westchnął i rzekł:

– Takie teraz czasy, że lepiej o tym nie mówić, chyba z konfidentami⁵⁵.

Po chwili zaś dodał:

– Aleś to roztropnie waćpan wywiódł. Musiałeś gdzieś po dworach przy politycznych ludziach służywać, bo mowa edukację wyższą, niż jest waćpanowa kondycja, pokazuje.

– Ocierając się między ludźmi, słyszało się to i owo, alem nie służywał.

– Skądże to rodem, proszę?

– Z zaścianka, z województwa trockiego.

– Nic to, że z zaścianka, byle szlachcic, bo to grunt. A co tam słyszać na Litwie?

– Po staremu, zdrajców nie brak.

– Zdrajców? mówisz waćpan. A cóż to, proszę, za zdrajcy?

– Ci, którzy króla i Rzeczypospolitej odstąpili.

– A jak się ma księżę wojewoda wileński?

– Chory, mówią: dech mu zatyka.

– Daj mu Boże zdrowie, zacny to pan!

– Dla Szwedów zacny, bo im wrota na rozcież otworzył.

⁵⁵ *konfident* (z łac., przestarz.) – tu: zaufany przyjaciel, ktoś, na kim można polegać (dziś: donosiciel). [przypis edytorski]

– To waćpan, widzę, nie jego partyzant⁵⁶?

Kmicic spostrzegł, że nieznajomy, wciąż niby dobrodusznie wypytując, bada go.

– Co mnie tam! – odrzekł – niech o tym inni myślą... Mnie strach, by mi Szwedzi koni w rekwizycję nie zabrali.

– To trzeba je było na miejscu zbyć. Ot, i na Podlasiu stoją podobno te chorągwie, które się przeciw hetmanowi zbuntowały, a które pewnie nie mają koni do zbytku?

– Tego ja nie wiem, bom między nimi nie bywał, chociaż jakiś przejezdny pan dał mi list do jednego z ich pułkowników, abym go przy okazji oddał.

– Jakże to ów przejezdny pan mógł dać waćpanu list, skoro na Podlasie nie jedziesz?

– Bo w Szczuczynie stoi jedna konfederacka chorągiew, więc ów jegomość rzekł mi tak: albo sam oddasz, albo okazję znajdziesz, wedle Szczuczyna przejeżdżając.

– A to się dobrze składa, bo ja do Szczuczyna jadę.

– Wasza mość także przed Szwedami ucieka?

Nieznajomy zamiast odpowiedzieć popatrzył na Kmicica i spytał flegmatycznie:

– Czemu to waćpan mówisz: **także**, skoro sam nie tylko nie uciekasz, ale między nich jedziesz i konie im będziesz sprzedawał, jeśli ci ich siłą nie zabiorą?

Na to Kmicic ruszył ramionami.

– Mówilem: **także**, bom w Łęgu widział wiele szlachty, którzy

⁵⁶ *partyzant* (daw., z fr.) – stronnik, zwolennik. [przypis edytorski]

się przed nimi chronili, a co do mnie, niechby im się wszyscy przysługiwali, ile ja mam chęci im służyć, to tak myślę, żeby tu długo miejsca nie zagrzali...

– I nie boisz się tego mówić? – pytał nieznajomy.

– Nie boję się, bom też niepłochliwy, a po drugie, jegomość do Szczuczyna jedziesz, a w tamtej stronie wszyscy głośno mówią, co myślą, daj zaś Boże, by jak najprędzej od gadania do roboty przyszło.

– Widzę, że bystry z waszeci człowiek nad kondycję! – powtórzył nieznajomy. – Ale kiedy tak Szwedów nie kochasz, czemu od onych chorągwi, które się przeciw hetmanowi zbuntowały, odchodzisz? Zali⁵⁷ to one zbuntowały się dla zatrzymanego żołdu albo dla swywoli? Nie! jeno że hetmanowi i Szwedom nie chciały służyć. Lepiej by było tym żołnierzom, niebożętom, pod hetmanem zostać, a przecie woleli narazić się na miano buntowników, na głód, niewywczasy i przeliczne zgubne terminy niż przeciw królowi czynić. Że tam przyjdzie między nimi i Szwedami do wojny, to pewno, a może by już i przyszło, gdyby nie to, że Szwedzi jeszcze do tego kąta nie zależli... Poczekaj, zależą, trafią tu, a wówczas zobaczysz waszeć!

– Tak i ja myślę, że tu się najprędzej wojna rozpocznie! – rzekł Kmicic.

– Ba, jeżeli tak myślisz, a masz szczery ku Szwedom dyzgust⁵⁸

⁵⁷ *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

⁵⁸ *dyzgust* (z łac.) – niechęć, wstręt. [przypis edytorski]

(co ci i z oczu patrzy, że prawdę mówisz, bo ja się na tym znam), to czemu tedy do tych zacnych żołnierzów nie przystaniesz? Alboż to nie pora, alboż im nie potrzeba rąk i szabel? Niemało to tam zacnych służy, którzy woleli swojego pana nad cudzego, i coraz ich więcej będzie. Jedziesz waszeć z tych stron, w których Szwedów jeszcze wcale nie zaznali, ale ci, co ich zaznali, rzewnymi łzami płaczą. W Wielkopolsce, choć się im dobrowolnie poddała, już palce szlachcie w kurki od muszkietów wkręcają a rabują, a rekwizycje czynią, co mogą, zabierają... W tutejszym województwie nie lepszy ich proceder. Jenerał Szeimbok wydał manifest, by każdy spokojnie w domu siedział, to go uszanują i jego dobro. Ale gdzie tam! Jenerał swoje, a komendanci pomniejsi swoje, tak że nikt jutra niepewien ani tego, co od fortuny ma. Każdy chce się cieszyć z tego, co posiadał, aby zaś w spokoju używał i aby mu dobrze było. A tu przyjedzie pierwszy lepszy przybłęda i „daj!”. Nie dasz, to ci winę znajdą, aby z majątności cię wyzuć, albo winy nie szukając, szyję utną. Niejeden się już łzami rzewnymi zalewa, dawnego pana wspomniawszy, a wszyscy w opresji ciągle ku onym konfederatom spoglądają, czy od nich jakowy ratunek dla ojczyzny i obywatelów⁵⁹ nie przyjdzie...

– Wasza mość – rzekł Kmicic – widzę, nie lepiej Szwedom ode mnie życzy?

Nieznajomy pan obejrzał się jakby z pewnym strachem wokoło, ale wprędce uspokoił się i tak dalej mówił:

⁵⁹ *obywatelów* – dziś popr. forma D. lm: *obywateli*. [przypis edytorski]

– Życzę im, żeby ich mór wytłukł, i tego przed waszcią nie ukrywam, gdyż widzi mi się, żeś poczciwy, a choćbyś i nie był poczciwy, to mnie nie zwiążesz i Szwedom nie odwieziesz, bo się nie dam, mając zbrojną czeladź i szablę przy boku.

– Możesz wasza mość być pewien, że tego nie uczynię, owszem: po sercu mi waścina fantazja. Już i to mi się podoba, żeś waszmość nie wahał się substancji⁶⁰ zostawić, na której nieprzyjaciół mścić się nie omieszka. Bardzo się chwali taka życzliwość ku ojczyźnie.

Kmicic mimo woli począł mówić tonem protekcyjnym, jak zwierzchnik do podwładnego, nie zastanowiwszy się, że takie słowa mogły się dziwnie wydawać w ustach szlachetki-koniuchy, ale widocznie i młody pan nie zwrócił na to uwagi, bo począł tylko chytrze mrugać oczyma i odrzekł:

– Albo ja głupi? U mnie pierwsza reguła, żeby moje nie przepadło, bo co Pan Bóg dał, to trzeba szanować. Siedziałem cicho do sprzętów i omłotów⁶¹. Dopieroż, jakem całą krescencję⁶² do Prus sprzedał i inwentarze, i wszelki statek⁶³, tak pomyślałem sobie: czas w drogę! Niechże się teraz na mnie mszczą, niech mi zabierają, co im do smaku przypadnie.

– Zawsze zostawię wasza mość ziemię i budynki.

⁶⁰ *substancja* (daw., z łac.) – majątek, dobra materialne. [przypis edytorski]

⁶¹ *do sprzętów i omłotów* – do czasu zwiezienia plonów i wymłócenia zboża. [przypis edytorski]

⁶² *krescencja* (z łac.) – plon, urodzaj. [przypis edytorski]

⁶³ *statek* a. *statki* – sprzęt domowy, naczynia, narzędzia. [przypis edytorski]

– Ba, kiedy ja starostwo wąsockie dzierżawą trzymam od wojewody mazowieckiego, a właśnie mi się kontrakt skończył. Jeszcze ostatniej raty nie zapłacił i nie zapłacę, bo jako słyszę, i pan wojewoda mazowiecki ze Szwedem trzyma. Niechże mu za to rata przepadnie, a mnie się gotowy grosz przyda.

Kmicic począł się śmiać.

– Bodajże waszmości! Widzę, żeś nie tylko mężny kawaler, ale i roztropny!

– Jakże? – odrzekł nieznajomy. – Roztropność to grunt! Ale nie o roztropności z waćpanem mówiłem... Czemu to, czując krzywdy ojczyzny i pana miłościwego, nie pójdziesz do onych zacnych żołnierzów na Podlasie i pod znak się nie zaciągniesz? I Bogu się przysłużysz, i samemu może się poszczęścić, bo to już niejednemu się przytrafiło, że z chudopachołka na pana z wojny wyszedł. Widać po waści, żeś człek śmiały i rezolutny, a gdy ci urodzenie nie staje na przeszkodzie, możesz wrędcę do jakiej takiej fortuny dojść, jeśli Bóg łupu przysporzy. Byle nie trwonić tego, co tu i owdzie w ręce wpadnie, to i mieszek napęcznieje. Nie wiem, czyli masz jakową zagrodę, czyli nie masz, ale mógłbyś mieć: z mieszkem o dzierżawę nietrudno, a z dzierżawy, przy pomocy boskiej, i do dziedzictwa niedaleko. A tak, zaczawszy od pachołka, możesz towarzyszem⁶⁴ umrzeć albo na jakim urzędzie ziemskim, byleś się pracy nie lenił, bo kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

⁶⁴ towarzysz – rycerz, szlachcic, służący w wojsku z własnym wyposażeniem i poczem. [przypis edytorski]

Kmicic wąsy gryzł, bo go pusty śmiech brał; więc twarz mu drgała, a zarazem i krzywił się, bo od czasu do czasu od przyschniętej rany boleści go brały.

Nieznajomy mówił dalej:

– Przyjąć cię tam przyjmą, bo ludzi potrzebują, a zresztą udałeś mi się waćpan i biorę cię pod opiekę, przy której i promocji możesz być pewien.

Tu młodzieńczyk podniósł z dumą puciołowatą twarz i począł ręką po wąsikach się gładzić; wreszcie rzekł:

– Chceszli być moim rękodajnym⁶⁵? Szablę będziesz za mną nosił i nad czeladzią miał dozór.

Kmicic nie wytrzymał i parsknął szczerym, wesołym śmiechem, aż mu wszystkie zęby zabłyśły.

– Czego się wasze śmiejesz? – pytał nieznajomy, marszcząc brwi.

– To z ochoty do tej służby.

Lecz młody personat obraził się na dobre i rzekł:

– Głupi, kto waćpana tych manier nauczył, i bacz, z kim mówisz, abyś w konfidencji miary nie przebrał.

– Wasza mość wybaczy – rzekł wesoło Kmicic – bo właśnie nie wiem, przed kim stoję.

Młody pan wziął się w boki:

– Jestem pan Rzędzian z Wąsoszy – rzekł z dumą.

Kmicic otwierał już usta, ażeby powiedzieć swoje przybrane

⁶⁵ *rękodajny* – dworzanin, którego zadaniem było podawać rękę pani czy panu przy wysiadaniu z powozu, wstawaniu itp. [przypis edytorski]

nazwisko, gdy wtem Biłous wszedł spieszenie do izby.

– Panie komeń...

Tu urwał żołnierz, powstrzymany groźnym wzrokiem Kmicica, zmieszał się, zaciął i wreszcie wykrztusił z wysileniem:

– Proszę waszmości, ludzie jacyś jadą.

– Skąd?

– Od Szczuczyna.

Teraz pan Kmicic stropił się nieco, ale pokrywając prędko pomieszenie, odparł:

– A mieć się na baczności. Duża kupa idzie?

– Będzie z dziesięć koni.

– Bandoleciki mieć gotowe. Ruszaj!

Po czym, gdy żołnierz wyszedł, zwrócił się do pana Rzędziana z Wąsoszy i rzekł:

– Czy aby nie Szwedzi?

– Przecie ku nim waćpan idziesz – odparł pan Rzędzian, który od niejakiego czasu poglądał ze zdziwieniem na młodego szlachcica – więc prędzej, później musisz ich spotkać.

– Wolałbym też Szwedów aniżeli jakowych hultajów, których wszędy pełno... Kto jedzie z końmi, musi zbrojno jechać i mieć się na baczności, bo okrutnie to łasa rzecz.

– Jeżeli prawda, że w Szczuczynie stoi pan Wołodyjowski – odparł Rzędzian – to pewnie jego podjazd. Nim się zakwaterują, chcą się przekonać, czyli kraj bezpieczny, bo ze Szwedami o miedzę trudno by spokojnie usiedzieć.

Usłyszawszy to, pan Andrzej zakręcił się po izbie i usiadł w

najciemniejszym jej kącie, gdzie okap komina rzucał gruby cień na róg stołu, a tymczasem sprzed sieni doszedł tętent i parskanie koni i po chwili kilku ludzi weszło do izby.

Idący na czele, chłop olbrzymi, stukał drewnianą nogą w luźne deski, którymi izba była wyłożona. Kmicic spojrzał nań i serce zabiło mu w piersiach.

Był to Józwa Butrym, zwany Beznogim.

– A gdzie gospodarz? – spytał, stanąwszy na środku izby.

– Jestem! – odrzekł karczmarz – do usług waszmości.

– Dla koni obrok!

– Nie ma u mnie obroków, chyba ci panowie użyczą.

To rzekłszy, karczmarz wskazał na Rzędziana i koniuchów.

– Czyi to ludzie? – spytał Rzędzian.

– A ktoś waćpan sam?

– Starosta z Wąsoszy.

Rzędziana, jako dzierżawcę starostwa, zwali zwykle własni jego ludzie starostą i on się sam tak nazywał w ważniejszych okazjach.

Ale Józwa Butrym zmieszał się widząc, z jak wysoką osobą ma do czynienia, więc zdjął czapkę i rzekł łagodnym tonem:

– Czołem, wielmożny panie... Po ciemku nie można godności rozeznąć.

– Czyi ludzie? – powtórzył Rzędzian, biorąc się w boki.

– Laudańscy, z chorągwi dawniej billewiczowskiej, a dziś pana Wołodyjowskiego.

– Dla Boga! to pan Wołodyjowski jest w Szczuczynie?

– Osobą swoją i z innymi pułkownikami, którzy ze Żmudzi przyszli.

– Bogu chwała, Bogu chwała! – powtórzył uradowany pan starosta. – A jacyż to pułkownicy są z panem Wołodyjowskim?

– Był pan Mirski – mówił Butrym – ale go szlag po drodze trafił, a jest pan Oskierko, pan Kowalski, dwóch panów Skrzetuskich...

– Jakich Skrzetuskich? – zakrzyknął Rzędzian. – Zali jeden z nich nie pan Skrzetuski z Burca?

– Tego nie wiem skąd – odparł Butrym – jeno wiem, że to jest pan Skrzetuski zbarańczyk.

– Rety! to mój pan!

Tu spostrzegł Rzędzian, jak dziwnie brzmi taki okrzyk w ustach pana starosty, i dodał:

– Mój pan kum, chciałem rzec.

Tak mówiąc, nie zmyślał pan starosta, bo istotnie pierwszego syna Skrzetuskiego, Jaremkę, do chrztu trzymał w drugą parę.

Tymczasem Kmicicowi, siedzącemu w ciemnym kącie izby, myśli jedna za drugą poczęły się cisnąć do głowy. Naprzód zburzyła się w nim dusza na widok groźnego szaraka i ręka mimo woli chwyciła za szablę. Wiedział bowiem Kmicic, że to głównie Józwa przyczynił się do rozsiekania kompanionów i jego samego najzaciętszym był wrogiem. Dawny pan Kmicic kazałby go w tej chwili porwać i końmi włóczyć, lecz dzisiejszy pan Babinicz przemógł się. Owszem, niepokój go ogarnął na myśl, że jeżeli szlachta go pozna, mogą stąd wypaść rozmaite dla

dalszej podróży i całego przedsięwzięcia niebezpieczeństwa... Postanowił więc nie dać się poznać i coraz głębiej zasuwał się w cień; wreszcie oparł się łokciami o stół i wzięwszy głowę w dłonie, począł udawać, że drzemie.

Lecz jednocześnie szepnął do siedzącego obok Soroki:

– Ruszaj do stajni, niech konie będą w pogotowiu. Jedziemy na noc!

Soroka wstał i wyszedł.

Kmicic udawał dalej, że drzemie. Rozmaite wspomnienia poczęły mu cisnąć się do głowy. Ludzie ci przypomnieli mu Laudę, Wodokty i tę przeszłość krótką, która jak sen minęła. Gdy przed chwilą Józwa rzekł, iż należą do chorągwi dawniej billewiczowskiej, to panu Andrzejowi aż serce zatrzęsło się w piersi na samo miano. I przyszło mu na myśl, że taki był właśnie wieczór, tak samo na kominie palił się ogień, gdy on jakoby ze śniegiem spadł niespodzianie do Wodoktów i po raz pierwszy ujrzał w czeladnej Oleńkę między prądkami.

Widział teraz przez zamknięte powieki, tak jakby na jawie, tę pannę jasną, spokojną – wspominał wszystko, co zaszło, jako ona chciała mu być aniołem stróżem, w dobrem go umocnić, od złego zasłonić, prostą, zacną drogę pokazać. Gdyby jej był słuchał, gdyby jej był słuchał!... Toż ona wiedziała, co czynić, po jakiej stronie stanąć; wiedziała, gdzie cnota, uczciwość, obowiązek – i po prostu wzięłaby go za rękę i poprowadziła, gdyby był chciał jej słuchać.

Tu miłość podniecona rozpamiętywaniem tak wezbrała w

sercu pana Andrzeja, że gotów byłby wszystką krew wytoczyć, byle do nóg tej pannie paść, a w tej chwili gotów byłby porwać w ramiona nawet tego niedźwiedzia laudańskiego, który mu kompanionów wygubił, dlatego tylko że był z tamtych stron, że Billewiczów wspominał, że Oleńkę widywał.

Z zadumy zbudziło go dopiero jego własne nazwisko powtórzone kilkakrotnie przez Józwę Butryma. Dzierżawca z Wąsoszy wypytywał o znajomych, a Józwa opowiadała mu, co zaszło w Kiejdanach od czasu pamiętnej ugody hetmana ze Szwedami – mówił więc o opozycji wojska, o uwięzieniu pułkowników, o zesłaniu ich do Birż i szczęśliwym ocaleniu. Nazwisko Kmicica powtarzało się oczywiście w tych opowiadaniach, pokryte całą zgрозą zdrady i okrucieństwa. O tym, że pan Wołodyjowski, Skrzetuscy i Zagłoba winni byli życie Kmicicowi, nie wiedział Józwa, natomiast tak opowiadał to, co zaszło w Billewiczach:

– Schwycił nasz pułkownik tego zdrajcę w Billewiczach jak lisa w jamie, i zaraz go kazali na śmierć prowadzić; prowadziłem go sam z wielką uciechą, że go ręka boska dosięgła, i coraz tom mu latarką w oczy zaświecił, żeby obaczyć, czy też skruchy nie okaże. Ale nie! Szedł śmieie, nie bacząc, że przed sądem bożym stanie. Taka już natura zatwardziała. A gdym mu doradził, żeby się choć przeżegnał, to mi odrzekł: „Stul głowę, pacholku, nie twoja sprawa!” Postawiliśmy go tedy za wsią, pod gruszą, i już począłem komendę, kiedy pan Zagłoba, który szedł z nami, kazał go obszukać, czyli jakich papierów przy nim nie ma. Jakoż

znalazł się list. Powiada pan Zagłoba: „Poświęć!” – i zaraz do czytania. Ledwie zaczął czytać, kiedy to się nie porwie za głowę: „Jezus Maria! dawaj go na powrót do dwora!” Sam skoczył na konia i pojechał, a my go odprowadzili w tej myśli, że go każą jeszcze przypiec przed śmiercią, żeby języka od niego zasięgnąć. Ale gdzie tam! Puścili zdrajcę wolno. Nie moja głowa wchodzić w to, co tam wyczytali, ale ja bym go nie był puścił.

– Cóż w tych listach było? – pytał dzierżawca z Wąsoszy.

– Nie wiem, co było; miarkuję tylko, że musieli być jeszcze różni oficyjerowie w rękach księcia wojewody, których zaraz by kazał rozstrzelać, gdyby mu Kmicica rozstrzelali. A przy tym, może się nasz pułkownik i łez panny Billewiczówny ulitował, bo podobno przez ręce leciała, że ledwie mogli jej docucić... A wszelako... nie śmiem ja mówić, ale źle się stało, bo co ten człowiek złego naczynił, tego by się sam Lucyfer nie powstydział. Cała Litwa na niego płacze, a co wdów, co sierót, co ubóstwa na niego narzeka, Bogu tylko wiadomo! Kto jego zgładzi, będzie miał zasługę w niebiesiech⁶⁶ i przed ludźmi, jakoby psa wściekłego zabił!

Tu rozmowa przeszła znowu na pana Wołodyjowskiego, na panów Skrzetuskich, na chorągwie stojące na Podlasiu.

– O wiwendę⁶⁷ ciężko – mówił Butrym – bo dobra księcia hetmana do szczeru już wypłukane, ani człeku, ani koniowi na ząb w nich nie znaleźć, a co jest szlachty, to uboga, po

⁶⁶ w niebiesiech (daw.) – dziś popr. forma Ms. lm: w niebiosach. [przypis edytorski]

⁶⁷ wiwenda (daw., z łac.) – żywność, prowiant. [przypis edytorski]

zaściankach, jako u nas na Żmudzi, siedząca. Postanowili tedy pułkownicy, żeby się po sto koni rozdzielić, i co miłą albo co dwie od siebie stać. Ale jak przyjdzie zima, nie wiem, co będzie.

Kmicic, który słuchał dotąd cierpliwie, póki o nim była mowa – poruszył się teraz i już usta otworzył, by ze swego ciemnego kąta powiedzieć:

– To was hetman tak podzielonych pojedynczo ręką wybierze jako raki z saka.

Lecz w tej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Soroka, którego Kmicic posłał był, by konie do drogi gotowano. Światło z komina padało wprost na srogą twarz wachmistrza; Józwa Butrym spojrzał na niego, popatrzył długą chwilę, po czym zwrócił się do Rzędziana i rzekł:

– Czy to waszej wielmożności człowiek?... Ja jego skądści znam!

– Nie – odparł Rzędzian – to szlachta, która z końmi na jarmarki jedzie.

– A dokąd jedziecie? – pytał Józwa.

– Do Soboty – odparł stary Kiemlicz.

– Gdzie to jest?

– Niedaleko Piątku.

Józwa również, jak poprzednio Kmicic, poczytał za żart niewczesny tę odpowiedź i rzekł, namarszczywszy brwi:

– Odpowiadaj, kiedy pytają!

– Jakim prawem pytasz?

– Mogę ci się i z tego wywieść: bo mnie na podjazd wystali,

bym obaczył, czy podejrzanych ludzi w okolicy nie masz. Jakoż widzi mi się, że są, którzy nie chcą powiedzieć, dokąd jadą!

Kmicic obawiając się, żeby jaka zwada z tej rozmowy nie wynikła, rzekł, nie ruszając się z ciemnego kąta:

– Nie sierz się, mości żołnierzu, bo Piątek i Sobota są takie miasta, jako i inne, w których się jarmarki jesienne na konie odbywają. Nie wierzysz, to się pana starosty spytaj, który musi o nich wiedzieć.

– Jakże! – rzekł Rzędzian.

Na to Butrym:

– Kiedy tak, to co innego. Ale po co wam do onych miast jechać? Możecie i w Szczuczynie koni zbyć, bo nam siła⁶⁸ nie staje⁶⁹, a te, cośmy w Pilwiszkach zagarnęli, na nic, bo wszystko odsednione.

– Każdy tam jedzie, gdzie mu lepiej, a my swoją drogę znamy – odpowiedział Kmicic.

– Nie wiem, gdzie waści lepiej, ale nam nie lepiej, byś Szwedom koni doprowadzał i z językiem do nich jeździł.

– Dziwne mi to – rzekł dzierżawca z Wąsoszy. – Ci ludzie na Szwedów wymyślają, a jakoś im pilno ku nim się przebrać?

Tu zwrócił się ku Kmicicowi:

– A waćpan też mi nie bardzo do koniuchy podobny, bo i pierścień zacny na ręku widziałem, którego by się niejeden pan nie powstydził...

⁶⁸ *siła* (daw.) – wiele, dużo. [przypis edytorski]

⁶⁹ *nie staje* (daw.) – brakuje. [przypis edytorski]

– Jeśli się waszmości tak udał, to go ode mnie kup, bo ja dwie orty za niego w Łęgu zapłacił – odpowiedział Kmicic.

– Dwie orty?... To chyba nie szczerzy, ale przednio udany... Pokaż waść!

– Weź, wasza mość!

– A sam to się nie możesz ruszyć?... Ja mam chodzić?

– Bom się okrutnie strudził.

– Ej, bratku! rzekłby kto, że oblicze chcesz ukryć!

Słyszac to, Józwa nie rzekł ani słowa, jeno zbliżył się do komina, wyciągnął palącą się głównię i trzymając ją wysoko nad głową, poszedł wprost do Kmicica i zaświecił mu w oczy.

Kmicic podniósł się w jednej chwili na całą wysokość i przez jedno mgnienie powieki patrzyli sobie oko w oko – nagle głównia wypadła z rąk Józwy, rozsypując tysiące skier po drodze.

– Jezus Maria!! – zakrzyknął Butrym – to Kmicic!...

– Jam jest! – odrzekł pan Andrzej, widząc, że nie ma dłużej sposobu ukryć się.

Lecz Józwa zaczął krzyczeć na żołnierzy, którzy zostali przed sienią:

– Bywaj! bywaj! trzymaj!

Po czym zwrócił się do pana Andrzeja:

– Tyżeś to, piekielniku, zdrajco?! Tyżeś to, diable wcielony?!

Raz się wymknąłeś z moich rąk, a teraz do Szwedów w przebraniu dążysz? Tyżeś to, Judaszu, kacie męża i niewiasty? Mam cię!

To rzekłszy, chwycił za kark pana Andrzeja, a pan Andrzej

chwycił jego; lecz poprzednio już dwaj młodzi Kiemlicze, Kosma i Damian, podnieśli się z ławy, sięgając rozczochranymi głowami aż do pułapu, i Kosma spytał:

– Ociec, prać?

– Prać! – odrzekł stary Kiemlicz, dobywając szablę.

Wtem drzwi pękły i żołnierze Józwy zwalili się do izby; ale tuż za nimi, prawie na ich karkach, wjechała czeladź Kiemliczów.

Józwa chwycił za kark lewą ręką pana Andrzeja, a w prawej trzymał już goły rapier, czyniąc nim wokoło siebie wicher i błyskawice. Lecz pan Andrzej, choć tak olbrzymiej siły nie posiadał, chwycił go także jakby kleszczami za gardziel. Józwie oczy wylazły na wierzch, rękojeścią swego rapiera chciał strzaskać Kmicicową rękę i nie zdążył, bo go wpierw Kmicic głównią swej szabli w czuprynę gruchnął. Palce Józwy, trzymające kark przeciwnika, otworzyły się od razu, a sam zachwiał się i w tył przeważył pod ciosem. Kmicic popchnął go jeszcze, by mieć do cięcia pole, i całym rozmachem przez pysk szablą go chlastnął. Józwa padł na wznak, jak dąb, czaszką uderzywszy o podłogę.

– Bij! – krzyknął Kmicic, w którym od razu rozbudził się dawny zabijaka.

Lecz nie potrzebował zachęcać, bo w izbie gotowało się jak w garnku. Dwaj młodzi Kiemlicze siekli szablami, a czasem bodli łbami jak dwa byki, kładąc za każdym uderzeniem człeka na ziemię; tuż za nimi następował stary, przykucając co chwila aż do ziemi, przymrużając oczy i przesuwając co chwila sztych szabli

pod ramionami synów.

Lecz Soroka, przywykły do bitew po karczmach i w ciasnocie, szerzył najwięcej zniszczenia. Przypierał on tak z bliska przeciwników, że ostrzem nie mogli go dosięgnąć, i wystrzelivszy uprzednio w tłum pistolety, tłukł teraz po głowach ich rękojeściami, miażdżąc nosy, wybijając zęby i oczy. Czeladź Kiemliczów i dwaj Kmicicowi żołnierze szli w pomoc panom.

Zawierucha przewaliła się od stołu w drugi koniec izby. Laudańscy bronili się z wściekłością, lecz od chwili, w której Kmicic, obaliwszy Józwę, skoczył w ukrop i zaraz rozciągnął drugiego Butryma, zwycięstwo poczęło się przechylać na jego stronę.

Rzędzianowa czeladź wpadła również do izby z szablami i szturmakami⁷⁰, ale choć Rzędzian krzyczał: „Bij!” – nie wiedziała, co czynić, nie mogąc przeciwników rozeznąć, bo laudańscy nie nosili żadnych mundurów. Toteż w zamieszaniu obrywało się starościńskim parobkom od jednych i od drugich.

Rzędzian trzymał się ostrożnie poza walką, pragnąc rozeznąć Kmicica i wskazać go do strzału, ale przy słabym świetle łuczywa Kmicic ustawicznie ginął mu z oczu; to zjawiał się znów jak diabeł czerwony, to znów ginął w pomroce.

Opór ze strony laudańskiej słabł z każdą chwilą, bo odjął im serce upadek Józwy i straszliwe imię Kmicica. Lecz walczyli z zaciętością. Tymczasem karczmarz przesunął się cicho wedle

⁷⁰ *szturmak* – tu: broń palna z rozszerzoną u wylotu lufą używana w XVII i XVIII w. [przypis edytorski]

walczących z wiadrem wody w rękę i chlupnął na ogień. W izbie nastąpiła ciemność zupełna; walczący zbili się w kupę tak ciasną, że jeno pięściami mogli się grzmocić; przez chwilę krzyki ustały, słyszeć było tylko zdyszane oddechy i bezładny tupot butów. Wtem przez drzwi wywalone uskoczyli naprzód Rzędzianowi, za nimi laudańscy, za nimi Kmicicowi.

Rozpoczął się pościg w sieni, w pokrzywach przed sienią i w szopie. Rozległo się kilka strzałów, następnie wrzaski i kwik koni. Zawrzała bitwa przy Rzędzianowych wozach, pod które jego czeladź się schroniła, laudańscy szukali również pod nimi uciezki, i wówczas to właśnie parobcy, biorąc ich za napastników, dali kilkakroć do nich ognia.

– Poddajcie się! – krzyczał stary Kiemlicz, zapuszczając ostrze swej szabli między szprychy woza i bodąc na oślep ukrytych pod nim ludzi.

– Stój! poddaję się! – odpowiedziało kilka głosów.

I wnet czeladź z Wąsoszy poczęła wyrzucać spod wozu szable i szturmaki, następnie samych wyciągali za łeb młodzi Kiemlicze, aż stary zakrzyknął:

– Do wozów! Brać, co w ręce wpadnie! Żywo! żywo! do wozów!

Młodzi nie dali sobie trzeci raz rozkazu powtórzyć i rzucili się do odpinania opony, spod której łuby Rzędzianowe ukazywały wypukłe boki. Już poczęli i łuby wyrzucać, gdy nagle zabrzmiał głos Kmicica:

– Stój!

I Kmicic, popierając ręką rozkaz, począł ich płazować krwawą szablą.

Kosma i Damian uskoczyli pośpiesznie na bok.

– Wasza miłość!... nie można? – pytał pokornie stary.

– Wara! – krzyknął Kmicic. – Szukaj mi starosty!

Kopnęli się tedy w mig Kosma i Damian, a za nimi ojciec, i po kwadransie ukazali się znowu, prowadząc Rzędziana, który ujrawszy Kmicica, skłonił się nisko i rzekł:

– Z przeproszeniem waszej miłości, krzywda mi się tu dzieje, bo ja z nikim wojny nie szukał, a że znajomych jadę odwiedzić, to wolno każdemu...

Kmicic, wsparty na szabli, oddychał ciężko i milczał, więc Rzędzian mówił dalej:

– Ja tam ni Szwedom, ni księciu hetmanowi żadnej krzywdy nie uczynił, jenom do pana Wołodyjowskiego jechał, bo stary mój znajomy i na Rusi my razem wojowali... A po co mnie guza szukać?! Nie byłem w Kiejdanach i nic mi do tego, co tam było... Ja patrzę, bym skórę całą wywiózł i żeby to, co mi Bóg dał, nie przepadło... Bom tego też nie ukradł, ale w pocie czoła zarobił... Nic mnie do całej tej sprawy! Niech mnie wasza wielmożność pozwoli wolno jechać...

Kmicic oddychał ciężko, patrząc wciąż jakby z roztargnieniem na Rzędziana.

– Proszę pokornie waszej wielmożności! – zaczął znów starosta. – Wasza wielmożność widziała, że ja tych ludzi nie znał i przyjacielem im nie byłem. Napadli na waszą miłość, to mają

za swoje, ale za co ja mam cierpieć, za co moje ma przepadać? Com ja zawinił? Jeżeli nie może inaczej być, to ja żołnierzom waszej wielmożności wykupię się, choć mnie, ubogiego człeka, na wiele nie stać... Po talarze im dam, żeby im fatyga na darmo nie wyszła... Dam i po dwa... a wasza wielmożność przyjmie też ode mnie...

– Zakryć te wozy! – krzyknął nagle Kmicic – a waszeć bierz rannych i jedź do diabła!

– Dziękuję pokornie jegomości – rzekł pan dzierżawca z Wąsoszy.

Wtem zbliżył się stary Kiemlicz, wysuwając naprzód dolną wargę z resztkami zębów i jęcząc:

– Wasza miłość... to nasze... Zwierciadło sprawiedliwości⁷¹... to nasze...

Lecz Kmicic spojrzał na niego tak, że stary skurczył się aż do ziemi i nie śmiał wymówić ni słowa.

Czeladź Rzędzianowa rzuciła się konie co ducha do wozów zakładać, Kmicic zaś zwrócił się znów do pana starosty:

– Bierz tych wszystkich rannych i zabitych, którzy się znajdują, odwieź ich panu Wołodyjowskiemu i powiedz mu ode mnie, że mu nie wróg, a może i lepszy przyjaciel, niż myśli... Ale go chciał minąć, bo nie teraz jeszcze pora, abyśmy się spotkali. Może później przyjdzie ten czas, ale dziś ani on by nie uwierzył, ani ja nie miałbym go czym przekonać... Może później...

⁷¹ *Zwierciadło sprawiedliwości* – jedno z określeń Matki Boskiej w litanii. [przypis edytorski]

Uważaj waćpan! Powiedz mu, że ci ludzie mnie napadli i że musiałem się bronić.

– Po sprawiedliwości tak i było – rzekł Rzędzian.

– Czekaj... Powiedz jeszcze panu Wołodyjowskiemu, żeby się kupy trzymali, że Radziwiłł, niech jeno się jazdy od Pontusa doczeka, to wnet ruszy na nich. Może już jest w drodze. Obaj z księciem koniuszym i elektorem praktykują, i blisko granicy niebezpiecznie stać. A przede wszystkim niech się kupy trzymają, bo poginą marnie. Wojewoda witebski chce się na Podlasie przedrzeć... Niech mu idą naprzeciw, aby w razie przeszkody dać pomoc.

– Wszystko powiem, jakoby mi za to płacono.

– Choć to Kmicic mówi, choć Kmicic ostrzega, niechże mu wierzą, niech się poradzą z innymi pułkownikami i zastanowią, że w kupie będą mocniejsi. Powtarzam, że hetman już w drodze, a ja panu Wołodyjowskiemu nie wróg.

– Żeby ja to miał jaki znak od waszej miłości, to by lepiej jeszcze było – rzekł Rzędzian.

– Po co ci znaku?

– Bo i pan Wołodyjowski zaraz by lepiej w szczerłość afektu waszej miłości uwierzył i tak by pomyślał, że musi być coś w tym, jeśli znak przysyła.

– To masz ten sygnet – rzekł Kmicic – chociaż znaków po mnie nie brak na łbach u tych ludzi, których panu Wołodyjowskiemu odwieziesz.

To rzekłszy, zdjął pierścień z palca. Rzędzian zaś przyjął go

skwapliwie i rzekł:

– Dziękuję pokornie jegomości.

W godzinę później Rzędzian wraz ze swymi wozami, z czeladzią, trochę jeno poturbowaną, jechał spokojnie ku Szczuczynowi, odwożąc trzech zabitych i resztę rannych, między którymi Józwę Butryma z przeciętą twarzą i rozbitą głową. Jadąc, spoglądał na pierścień, którego kamień cudnie błyszczał przy księżycu, i rozmyślał o tym dziwnym i strasznym człowieku, który tyle złego sprawiwszy konfederatom, a tyle dobrego Szwedom i Radziwiłłowi, chciał jednak widocznie ratować konfederatów od ostatniej zguby.

„Bo to, co radził, to szczerze – mówił do siebie Rzędzian. – Kupy zawsze się lepiej trzymać. Ale czemu ostrzega? Chyba z afektu dla pana Wołodyjowskiego, że go to zdrowiem w Billewiczach udarował. Chyba z afektu! Ba, aleć księciu hetmanowi na złe może wyjść ten afekt. Dziwny to człek. Radziwiłłowi służy, a naszym ludziom życzy... I do Szwedów jedzie... Tego ja nie rozumiem...”

Po chwili zaś dodał:

„Hojny pan... Jeno źle mu w drogę włożyć.”

Równie ciężko i równie bezskutecznie jak Rzędzian łamał sobie głowę stary Kiemlicz, pragnąc znaleźć odpowiedź na pytanie: komu pan Kmicic służy?

„Do króla jedzie, a konfederatów bije, którzy właśnie przy królu stoją. Co to jest? I Szwedom nie ufa, bo się kryje... Co z nami będzie?”

Tu, nie mogąc dojść do żadnej konkluzji, zwrócił się ze złości ku synom:

– Szelmy! Bez błogosławieństwa pozdychacie! A nie mogliście choć tamtych pobitych obmacać?

– Balim się! – odpowiedzieli Kosma i Damian.

Jeden Soroka był zadowolony i cłapał wesoło tuż za swym pułkownikiem.

„Już nas zły urok minął – myślał – skorośmy tamtych pobili. Ciekaw jestem, kogo teraz będziemy bili?”

I było mu to wszystko jedno, również jak i to, gdzie jechał.

Do Kmicica nikt nie śmiał przystąpić ani pytać go o cokolwiek, bo młody pułkownik jechał chmurny jak noc. I gryzł się strasznie, że tych ludzi musiał pobić, obok których rad by w szeregu jak najprędzej stać. Lecz gdyby nawet poddał się i pozwolił odprowadzić do pana Wołodyjowskiego, co by pomyślał pan Wołodyjowski, gdyby się dowiedział, że schwytano go przebierającego się pod zmienioną postać ku Szwedom i z glejtami do szwedzkich komendantów.

„Stare grzechy mnie ścigają i prześladują... – mówił sobie Kmicic. – Ucieknę jak najdalej, a Ty, Boże, mnie prowadź...”

I począł się modlić żarliwie i opędzać sumieniu, które powtarzało mu:

„Znów trupy za tobą, i nie szwedzkie...”

„Boże, bądź miłościw!... – odpowiadał Kmicic – jadę do pana mego, tam mi się służba rozpocznie...”

Rozdział V

Rzędzian nie miał zamiaru zostawać na noc w „Pokrzyku”, bo z Wąsoszy do Szczuczyna było niedaleko – pragnął więc tylko dać wytchnienie koniom, zwłaszcza tym, które wozy ładowne ciągnęły. Gdy więc Kmicic pozwolił mu jechać dalej, nie tracił Rzędzian czasu i w godzinę później wjeżdżał już do Szczuczyna późną nocą i opowiedziawszy się strażom, roztrasował się w rynku, bo domy były przez żołnierzy pozajmowane, którzy i tak nie wszyscy mogli się pomieścić. Ów Szczuczyn uchodził za miasto, ale nim nie był rzeczywiście, nie miał albowiem jeszcze ani wałów, ani ratusza, ani sądów, ani kolegium pijarskiego, które dopiero za czasów króla Jana III powstało, a domów szczupło i więcej chałup niż domów, które dlatego tylko miastem się zwały, że w kwadrat były pobudowane, tworząc rynek, niewiele zresztą mniej błotnisty od stawu, nad którym mieścina leżała.

Przespawszy się pod ciepłą wilczurą, doczekał Rzędzian ranka i zaraz udał się do pana Wołodyjowskiego, który, nie widziawszy go od wieków, przyjął radośnie i zaraz poprowadził do kwatery panów Skrzetuskich i pana Zagłoby. Rozpłakał się aż Rzędzian na widok dawnego pana, któremu tyle lat służąc wiernie, tyle przygód razem z nim przeżył i fortuny się w końcu dorobił. Nie wstydząc się więc dawnej służby, począł po rękach pana Jana całować i powtarzać z rozrzewnieniem:

– Mój jegomość... mój jegomość... W jakich to czasach my się znów spotykamy!...

Jęli tedy razem wszyscy na czasy narzekać – wreszcie pan Zagłoba rzekł:

– Ale ty, Rzędzian, zawsze u fortuny za pazuchą siedzisz i jako widzę, na pana wyszedłeś. Pamiętasz, azalim⁷² ci nie prorokował, że jeżeli cię nie powieszą, to będzie z ciebie pociecha!... Cóż się teraz z tobą dzieje?

– Mój jegomość, za co mnie mieli wieszać, kiedy ja ani przeciw Bogu, ani przeciw prawu nic nie uczynił. Służyłem wiernie, a jeżeli kogo zdradził, to chyba nieprzyjaciół, co sobie jeszcze za zasługę poczytuję. A żem tu i owdzie jakiego hultaja fortelem starł, jako to z rebelizantów albo onę czarownicę – pamięta jegomość? – to też nie grzech, a choćby był grzech, to jegomoścín, nie mój, bom ja się właśnie od jegomości fortelów wyuczył.

– O, nie może być!... Patrzajcie go! – rzekł pan Zagłoba. – Jeżeli chcesz, bym ja za twoje grzechy po śmierci wył, to mi za życia fructa ich oddaj. Samże używasz onych wszystkich bogactw, któreś między Kozakami zebrał, i samegoć za to w piekle na skwarki przetopią!

– Bóg łaskaw, mój jegomość, chociaż to jest nieprawda, żebym sam używał, bo ja naprzód złych sąsiadów ze szczeniem sprocosowałem i rodzicieli opatrzyłem, którzy teraz spokojnie

⁷² *azali* (daw.) – czyż, czy. [przypis edytorski]

w Rzędzianach siedzą, żadnej dyferencji⁷³ już nie mając, bo Jaworscy z torbami poszli, a ja się opodał dorabiam, jak mogę.

– To nie mieszkasz już w Rzędzianach? – pytał pan Jan Skrzetuski.

– W Rzędzianach rodzicie po dawnemu żywią, a ja mieszkam w Wąsoszy i nie mogę się skarżyć, bo Bóg mi błogosławił. Ale jakem usłyszał, że waszmościowie w Szczuczynie jesteście, jużem nie mógł dosiedzieć, bom sobie pomyślał: widać czas się znowu ruszyć! Ma być wojna, to niech będzie!

– Przyznajże się – rzekł Zagłoba – że cię Szwedzi z Wąsoszy wystraszyli...

– Szwedów jeszcze w ziemi widzkiej nie masz, chyba podjazdkę małe zachodzą, i to ostrożnie, bo chłopstwo na nich okrutnie zawzięte.

– To mi dobrą nowinę przynosisz – rzekł Wołodyjowski – gdyż ja wczoraj umyślnie podjazd wysłałem, aby języka o Szwedach zasięgnąć, bom nie wiedział, czy można bezpiecznie w Szczuczynie popasać. Pewnie cię ten podjazd tu przyprowadził?

– Ten podjazd? Mnie? To ja jego przyprowadził, a raczej przywiózł, bo tam i jednego człowieka między tymi ludźmi nie masz, który by o własnej mocy na koniu mógł usiedzieć!

– Jakże to?... Co zaś prawisz?... Cóż się stało? – pytał Wołodyjowski.

– Bo ich okrutnie pobito – objaśnił Rzędzian.

⁷³ *dyferencja* (z łac.) – różnica zdań, spór. [przypis edytorski]

– Kto ich pobił?

– Pan Kmicic.

Panowie Skrzetuscy i Zagłoba aż porwali się z ław, pytając jeden przez drugiego:

– Pan Kmicic? A co by on tu robił?... Czyliby sam książę hetman już tu przyciągnął? Nuże! Powiadaj wraz, co się stało?

Lecz pan Wołodyjowski wypadł tymczasem z izby, chcąc widać naocznie sprawdzić rozmiary klęski i ludzi obejrzyć; więc Rzędzian rzekł:

– A po co mam opowiadać, lepiej poczekać, aż pan Wołodyjowski wróci, bo to najwięcej jego sprawa, a szkoda gęby dwa razy jedno powtarzać.

– Widziałeś Kmicica na własne oczy? – pytał pan Zagłoba.

– Jako jegomości widzę.

– I gadałeś z nim?

– Jakżem nie miał gadać, kiedy my się w „Pokrzyku”, niedaleko stąd, zjechali, ja koniom wypoczywałem, a on na nocleg stał. Mało godzinę gadaliśmy, bo nie było co innego robić. Ja narzekałem na Szwedów, a on też narzekał...

– Na Szwedów? On także narzekał? – pytał Skrzetuski.

– Jak na diabłów, choć między nich jechał.

– Siła⁷⁴ było wojska z nim?

– Żadnego z nim wojska nie było, ino czeladzi kilku, prawda, że zbrojnych i z takimi mordami, że już chyba i

⁷⁴ *siła* (daw.) – ile; wiele, dużo. [przypis edytorski]

ci, którzy świętych młodzianków za Herodowym ordynansem⁷⁵ wycinali⁷⁶, sroższych i szpetniejszych nie mieli. Powiadał mi się chodaczkowym⁷⁷ szlachcicem i mówił, że z końmi na jarmarki jedzie. Ale choć koni mieli kilkanaście w tabunku, przecie mi się to nie wydało, bo to i osoba inna, i fantazja nie taka jak u koniuchów, i pierścień zacny na rękę widziałem... Ten właśnie.

Tu błysnął Rzędzian przed oczy słuchaczom kosztownym kamieniem, a pan Zagłoba uderzył się po pole i zakrzyknął:

– Już go od niego wycygań! Po tym jednym poznałbym cię, Rzędzian, na końcu świata!

– Z przeproszeniem jegomości, nie cygańłem, bom też szlachcic do równości się z każdym poczuwający, nie Cygan, chociaż dzierzawami chodzę, póki Bóg nie da osiąść na swoim. A ten pierścień dał mi pan Kmicic na znak, że to, co mówił, to prawda, a ja zaraz waszmościom słowa jego wiernie powtórzę, bo widzi mi się, że tu o skóry nasze chodzi.

– Jak to? – pytał Zagłoba.

Wtem wszedł pan Wołodujowski, cały wzburzony i od gniewu błądy, czapkę o stół rzucił i zawołał:

– To przechodzi imaginację! Trzech ludzi zabitych, Józwa

⁷⁵ *ordynans* (z łac., daw.) – rozkaz. [przypis edytorski]

⁷⁶ *ci, którzy świętych młodzianków za Herodowym ordynansem wycinali* – wg Biblii, po usłyszeniu prorocтва Trzech Króli, że narodził się nowy król żydowski, król Herod kazał swoim żołnierzom zabić wszystkich małych chłopców; Maria i Józef uratowali wówczas nowonarodzonego Jezusa Chrystusa dzięki anielskiemu ostrzeżeniu i ucieczce do Egiptu. [przypis edytorski]

⁷⁷ *szlachcic chodaczkowy* – ubogi, prosty szlachcic. [przypis edytorski]

Butrym usieczony, ledwie tchnie!

– Józwa Butrym?... Toż to człowiek niedźwiedziej siły! – rzekł zdumiony Zagłoba.

– Jego w moich oczach sam pan Kmicic rozciągnął – wtrącił Rzędzian.

– A dość mi tego pana Kmicica! – mówił w uniesieniu Wołodyjowski – gdzie się tylko ten człowiek pokaże, trupy za sobą jak mór zostawuje. Dość tego! Kwit za kwit, gardło za gardło... Ale teraz nowy rachunek... Ludzi mi napsuł, dobrych pachółków napadł... To mu się do pierwszego widzenia zakarbuje...

– Juźci, co prawda to nie on ich napadł, tylko oni jego, bo on w najciemniejszy kąt się zaszył, aby go nie poznali – rzekł Rzędzian.

– A ty, zamiast coś miał moim pomagać, to jeszcze za nim świadczysz! – rzekł z gniewem pan Wołodyjowski.

– Ja po sprawiedliwości... A co do pomocy, chcieli moi pomagać, jeno niezręcznie im było, bo w tumultcie nie wiedzieli, kogo bić, kogo oszczędzić, i samym się przez to dostało. Żem z duszą i łubami uszedł, to jeno przez pana Kmicica wyrozumiałość, bo posłuchajcie, waszmościowie, jak co się przytrafiło.

Tu Rzędzian począł opisywać szczegółowo bitkę w „Pokrzyku”, niczego nie opuścił, a gdy wreszcie powiedział i to, co mu Kmicic powiedzieć rozkazał, zdumieli się okrutnie towarzysze.

– Onże sam to mówił? – pytał Zagłoba.

– Sam – odrzekł Rzędzian. – „Ja (powiada) panu Wołodujowskiemu ani konfederatom nie wróg, choć inaczej myślą. Później to się pokaże, a tymczasem niech się kupy, na miły Bóg, trzymają, bo ich wojewoda wileński jako raki ze saka wybierze.”

– I powiedział, że wojewoda już w pochodzie? – pytał Jan Skrzetuski.

– Mówił jeno, że tylko na posiłki szwedzkie czeka i że zaraz na Podlasie ruszy.

– Co waćpanowie o tym wszystkim myślicie? – pytał Wołodujowski, spoglądając na towarzyszków⁷⁸.

– Zdziwiająca rzecz! – odpowiedział Zagłoba. – Albo ten człowiek Radziwiłła zdradza, albo nam jakąś zasadzkę gotuje. Ale jaką? Radzi się kupy trzymać, co może za szkoda stąd dla nas wyniknąć?

– Że głodem zniszczę – odrzekł Wołodujowski. – Właśnie mam wiadomość, że i Żeromski, i Kotowski, i Lipnicki mają rozdzielić chorągwie po kilkadziesiąt koni i po całym województwie rozłożyć, bo w kupie nie mogą się wyżywić.

– A jeśli Radziwiłł istotnie nadejdzie? – pytał Stanisław Skrzetuski – to kto mu się wówczas oprze?

Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, bo rzeczywiście było jasnym jak słońce, że gdyby hetman wielki litewski nadciągnął i zastał siły konfederackie rozproszone, tedyby

⁷⁸ towarzyszków – dziś popr. forma B. Im: towarzyszy. [przypis edytorski]

poznosił je z największą łatwością.

– Zadziwiająca rzecz! – powtórzył Zagłoba.

I po chwili milczenia mówił dalej:

– Wszelako Kmicic okazał już, że nam szczerze życzliwy. Pomyślałbym, że może Radziwiłła porzucił... Ale w takim razie nie przemykałby się w przebraniu, i to dokąd? – do Szwedów?

Tu zwrócił się do Rzędziana:

– Wszakże ci mówił, że na Warszawę jedzie?

– Tak jest! – rzekł Rzędzian.

– No, to tam już moc szwedzka.

– Ba! Już o tej godzinie musiał Szwedów napotkać, jeżeli całą noc jechał – odpowiedział Rzędzian.

– Widzieliście kiedy takiego człowieka? – pytał Zagłoba, poglądając na towarzyszków⁷⁹.

– Że w nim jest zło z dobrym pomieszane jak plewy z ziarnem, to pewna – rzekł Jan Skrzetuski – ale żeby w tej radzie, jaką nam teraz daje, była jakowa zdrada, temu wprost neguję. Nie wiem, dokąd jedzie, dlaczego się w przebraniu przemyka, i próżno bym głowę nad tym łamał, bo to jakowaś tajemnica... Ale radzi dobrze, ostrzega szczerze, na to przysięgnę, jak również i na to, że jedyny to dla nas ratunek tej rady usłuchać. Kto wie, czy mu znów zdrowia i życia nie zawdzięczamy.

– Dla Boga! – zakrzyknął pan Wołodyjowski – jakże Radziwiłł ma tu przyjść, kiedy mu na drodze stoją

⁷⁹ towarzyszków – dziś popr. forma B. lm: towarzyszy. [przypis edytorski]

Zołtareńkowi⁸⁰ i piechota Chowańskiego⁸¹. Co innego my! Jedna chorągiew się prześliznie, a i to w Pilwiskach musieliśmy sobie szablami drogę otwierać. Co innego Kmicic, który w kilku ludzi się przemykał, ale księżę hetman jak przejdzie z całym wojskiem? Chyba tamtych wprzód zniesie...

Jeszcze nie skończył mówić pan Wołodyjowski, gdy drzwi się otworzyły i wszedł pacholek służbowy.

– Poślaniec z listem do pana pułkownika – rzekł.

– Dawaj go sam! – odrzekł Wołodyjowski.

Pacholek wyszedł i po chwili wrócił z listem. Pan Michał prędko złamał pieczęć i począł czytać:

„Czegom wczoraj nie dopowiedział dzierżawcy z Wąsoszy, to dziś dopisuję. Hetman i sam wojska ma na was dosyć, ale umyślnie na posiłki szwedzkie czeka, aby pod powagą króla szwedzkiego na was iść. Bo gdyby go Septentrionowie⁸² wówczas zaczepili, tedyby musieli i na Szwedów uderzyć, a to by znaczyło wojnę z królem szwedzkim. Czego oni nie będą śmieli uczynić, nie mając rozkazów, bo się Szweda boją i odpowiedzialności za

⁸⁰ *Zołtareńkowi* – wojska Iwana Zołotarenki (zm. 1655), hetmana kozackiego, stronnika Rosjan, szwagra Bohdana Chmielnickiego; Zołotarenko brał udział w zdobyciu Wilna (1654) i wielu innych miast, a zginął podczas oblężenia Bychowa. [przypis edytorski]

⁸¹ *Chowański, Iwan Andriejewicz* (zm. 1682) – rosyjski wojskowy, bojar i wojewoda, jeden z dowódców w wojnie polsko-rosyjskiej (1654–1667). [przypis edytorski]

⁸² *Septentrionowie* (z łac. *septentrio*, *septentrionis*: wielka niedźwiedzica, północ) – ludzie z północy; omowne określenie Rosjan, o wojnie z którymi Sienkiewicz nie mógł w 1884 r. pisać wprost ze względu na cenzurę carską. [przypis edytorski]

rozpoczęcie wojny na się nie wezmą. Poznali się już na tym, że Radziwiłł wszędy umyślnie Szwedów im chce nadstawiać; niechby choć jednego ustrzelili albo usiekli, zaraz by wojna była. Sami teraz Septentrionowie nie wiedzą, co czynić, gdy Litwa Szwedom poddana; stoją więc w miejscu, czekając jeno, co będzie, i dalej nie wojując. Dla tych przyczyn i Radziwiłła nie powstrzymają ani mu wstrętu nie uczynią, który prosto na was pójdzie i będzie po kolei znosił, jeżeli się w kupę nie zbierzecie. Na Boga! uczynicie to i pilno wojewodę witebskiego do się zapraszajcie, bo i jemu teraz do was przez Septentrionów łatwiej, dopóki jako ogłupieli stoją. Chciałem was przestrzec pod innym nazwiskiem, byście łatwiej uwierzyli, ale że się już wydało, od kogo wiadomość, tedy swoje podpisuję. Zguba, jeśli nie uwierzycie, bo i ja już nie ten, co byłem, a da Bóg całkiem inaczej jeszcze o mnie usłyszycie. – Kmicic.”

– Chciałeś wiedzieć, jak Radziwiłł przyjdzie do nas, ot, masz odpowiedź! – rzekł Jan Skrzetuski.

– Prawda jest... Dobre racje daje! – odpowiedział Wołodyjowski.

– Co to, dobre? święte racje! – zawołał Zagłoba. – Tu nie może być wątpliwości. Jam się pierwszy na tym człowieku poznał i choć nie ma przekleństwa, którego by nad jego głową nie miotano, ja wam powiadam, że jeszcze go będziem błogosławić. U mnie dość na człeka spojrzeć, żeby wiedzieć, co wart. A pamiętacie, jako mi do serca przypadł w Kiejdanach? Sam on też nas kocha, jako ludzi rycerskich, a gdy moje nazwisko pierwszy

raz usłyszał, to mnie mało nie udusił z admiracji⁸³ i przeze mnie wszystkich was ocalił.

– Jegomość to się nic nie zmienił – zauważył Rzędzian – czegoż by to pan Kmicic miał więcej jegomości od mego pana albo od pana Wołodyjowskiego admirować?

– Głupiś! – odpowiedział Zagłoba. – Na tobie od razu się poznał, i jeżeli cię zowie dzierzawcą, nie kpem z Wąsoszy, to jeno przez politykę⁸⁴!

– To może i jegomości przez politykę admirował? – odparł Rzędzian.

– Obacz, jak chleb bodzie; ożeń się, panie dzierzawco, a będziesz jeszcze lepiej bódł.... Ja w tym!

– Wszystko to dobre – rzekł Wołodyjowski – ale jeśli on tak szczerze nam życzy, to czemu sam do nas nie przyjechał, zamiast się jako wilk koło nas przemykać i ludzi nam kąsać?

– Nie twoja głowa, panie Michale – odpowiedział Zagłoba. – Co my uradzimy, to ty rób, a źle na tym nie wyjdiesz. Żeby twój dowcip wart był twojej szabli, to byś już hetmanem wielkim na miejscu pana Rewery Potockiego⁸⁵ był. A po co Kmicic miał tu przyjeżdżać?... Czy nie po to, żebyś mu tak samo nie wierzył,

⁸³ *admiracja* (z łac.) – podziw, uwielbienie. [przypis edytorski]

⁸⁴ *polityka* (z łac.) – uprzejmość, dobre obyczaje. [przypis edytorski]

⁸⁵ *Rewera Potocki* – Stanisław Potocki herbu Pilawa, zwany Rewera (1579–1667), hetman wielki koronny, wojewoda krakowski, kijowski, podolski i bractawski, uczestnik wielu wojen, uratował króla Jana II Kazimierza pod Zbarażem; przydomek Rewera pochodzi od jego ulubionego powiedzonka *re vera* (łac.: w rzeczy samej, zaprawdę). [przypis edytorski]

jak pismu jego nie wierzysz, z czego by zaraz i do wielkiej kłótni dojść mogło, bo to zadzierzysty kawaler? A dajmy, żebyś ty uwierzył, to co by rzekli inni pułkownicy, jako Kotowski, Żeromski albo Lipnicki?... Co by rzekli twoi ludzie laudańscy? Czyby go nie usiekli, gdybyś tylko głowę odwrócił?

– Ojciec ma rację – rzekł Jan Skrzetuski – on tu nie mógł przyjechać.

– To czego do Szwedów jedzie? – powtórzył uparty pan Michał.

– Diabeł go wie, czy do Szwedów, diabeł wie, co w tę szaloną pałkę mogło strzelić! Nic nam do tego, my oto z ostrzeżenia korzystajmy, jeżeli głowy chcemy unieść.

– Tu nie ma się co i namyślać – rzekł Stanisław Skrzetuski.

– Trzeba co prędzej zawiadomić Kotowskiego, Żeromskiego, Lipnickiego i tego drugiego Kmicica – mówił Jan Skrzetuski. – Wyślij do nich, Michale, co prędzej wieści, ale nie pisz im, kto ostrzega, bo z pewnością by nie uwierzyli.

– My jedni będziemy wiedzieli, czyja zasługa, i w swoim czasie nie omieszkamy jej promulgować⁸⁶! – zakrzyknął Zagłoba. – Dalej, żywo, Michale!

– A sami pod Białystok ruszymy, wszystkim tam zbór naznaczywszy. Dałby Bóg wojewodę witebskiego jak najprędzej! – rzekł Jan.

⁸⁶ *promulgować* (z łac. *promulgo, promulgare*: wyjawiam, obwieszczam) – ogłosić.
[przypis edytorski]

– Z Białegostoku trzeba będzie do niego deputatów⁸⁷ od wojska wysłać. Da Bóg, staniemy do oczu panu hetmanowi litewskiemu – mówił Zagłoba – w równej albo i lepszej sile. Nam się na niego nie porywać, ale pan wojewoda witebski to co innego. A zacnyż to pan! a cnotliwy! Nie masz takiego drugiego w Rzeczypospolitej!

– Jegomość znasz pana Sapiehę? – pytał Stanisław Skrzetuski.

– Czy znam? Znałem go pachołkiem, nie większym od mojej szabli. Ale już był jako anioł.

– Toż on teraz nie tylko majątności, nie tylko srebra i klejnoty, ale ponoś i skuwki na rzedzikach⁸⁸ na pieniądze przetopił, byle jak najwięcej wojska przeciw nieprzyjaciołom ojczyzny zaciągnąć – rzekł pan Wołodyjowski.

– Dzięki Bogu, że choć taki jeden jest – odrzekł Stanisław – bo pamiętacie, jakeśmy to i Radziwiłłowi ufali?

– Bluźnisz waść! – krzyknął Zagłoba. – Wojewoda witebski! ba! ba! Niech żyje wojewoda witebski!... A ty, Michale, do ekspedycji! żywo do ekspedycji! Niechże tu piskorze w tym błocie szczuczyńskim zostają, a my pójdziemy do Białegostoku, gdzie może i innych ryb dostaniem... Chały też tam bardzo przednie Żydzi na szabas wypiekają. No! przynajmniej wojna się rozpocznie. Bo mi już tęskno... A kiedy Radziwiłłem przetrącimy, to się i do Szwedów weźmiem. Pokazaliśmy im już,

⁸⁷ *deputat* (z łac.) – przedstawiciel, wysłannik. [przypis edytorski]

⁸⁸ *skuwki na rzedzikach* – elementy końskiej uprzęży, wykonane ze srebra. [przypis edytorski]

co umiemy!... Do ekspedycji, Michale, bo *periculum in mora*⁸⁹.

– A ja pójdę podnieść na nogi chorągiew! – rzekł pan Jan.

I w godzinę później kilkunastu posłańców wylatywało, co koń wyskoczy, ku Podlasiowi, a za nimi wkrótce ruszyła cała chorągiew laudańska. Starszyzna jechała na przedzie, naradzając się i dyskutując, a żołnierzy prowadził pan Roch Kowalski, namiestnik. Szli na Osowiec i Goniądz, prostując sobie drogę ku Białemustokowi, gdzie się innych konfederackich chorągwi spodziewali.

⁸⁹ *periculum in mora* (łac.: niebezpieczeństwo w zwłoce) – niebezpiecznie jest zwlekać. [przypis edytorski]

Rozdział VI

Listy pana Wołodyjowskiego donoszące o pochodzie Radziwiłła znalazły posłuch u wszystkich pułkowników rozproszonych po całym województwie podlaskim. Niektórzy już byli porozdzielali chorągwie na mniejsze oddziały, aby tym łatwiej przezimować, inni pozwolili rozjechać się towarzystwu po domach prywatnych, tak że pod znakami zaledwie po kilkunastu towarzyszków⁹⁰ i po kilkudziesięciu pocztowych⁹¹ zostało. Pułkownicy pozwolili na to po części z obawy przed głodem, a po części dla trudności utrzymania w należytej dyscyplinie chorągwi, które raz wypowiedziawszy właściwej władzy posłuszeństwo, skłonne teraz były do opozycji i względem swych przywódców z lada powodu. Gdyby był znalazł się dowódca należytej powagi i od razu poprowadził je do boju przeciw któremukolwiek z dwóch nieprzyjaciół albo nawet przeciw Radziwiłłowi, karność pozostałaby zapewne niewzruszoną; ale zepsuła się w próżnowaniu na Podlasiu, gdzie czas schodził na ostrzeliwaniu jeno radziwiłłowskich zameczków, na rabunku dóbr księcia wojewody i na paktowaniu z księciem Bogusławem. W tych warunkach żołnierz przyuczał się tylko do swawoli i uciskania spokojnych mieszkańców

⁹⁰ *towarzysz* – rycerz, szlachcic, służący w wojsku z własnym wyposażeniem i poczem; *towarzyszów* – dziś popr. forma G. lm: towarzyszy. [przypis edytorski]

⁹¹ *pocztowy* – członek pocztu, sługa. [przypis edytorski]

województwa. Niektórzy żołnierze, zwłaszcza pocztowi i czeladź, zbiegłszy spod chorągwi, potworzyli kupy swawolne i trudnili się rozbojem na gościńcach. I tak owe wojsko, które nie połączywszy się z żadnym nieprzyjacielem, było jedyną nadzieją króla i patriotów, marniało z dniem każdym. Podział chorągwi na drobne oddziały dopełnił rozprężenia. Prawda, że w kupie trudno było się wyżywić, ale jednak może i umyślnie przesadzano obawy głodu, bo przecie była to jesień, a zbiory udały się szczęśliwie – zwłaszcza że żaden nieprzyjaciół nie zniszczył poprzednio ogniem i mieczem województwa. Zniszczyły je poniekąd właśnie rabunki konfederackich żołnierzy, tak jak samych żołnierzy zniszczyła bezczynność.

Albowiem rzeczy tak się złożyły dziwnie, iż nieprzyjaciół zostawił w spokoju te chorągwie. Szwedzi, zalewając kraj od zachodu i ciągnąc na południe, nie doszli jeszcze do tego kąta, jaki między województwem mazowieckim a Litwą tworzyło Podlasie – z drugiej zaś strony zastępy Chowańskiego⁹², Trubeckiego⁹³ i Srebrnego stały w pozajmowanych przez się

⁹² Chowański, Iwan Andriejewicz (zm. 1682) – rosyjski wojskowy, bojar i wojewoda, jeden z dowódców w wojnie polsko-rosyjskiej (1654–1667), o której Sienkiewicz nie mógł w 1884 r. pisać wprost ze względu na cenzurę carską; kariera Chowańskiego zaniepokoiła w końcu dwór carski do tego stopnia, że został ogłoszony buntownikiem i ścięty wraz z synem, co stało się powodem buntu wojskowego, a w XIX w. tematem opery Modesta Musorgskiego *Chowańszczyzna*. [przypis edytorski]

⁹³ Trubecki, Aleksiej Nikitycz herbu Pogoń Litewska (ok. 1600–1680) – ostatni książę Księstwa Trubeckiego w granicach Rzeczypospolitej Obojga Narodów (1634–1645) i później w granicach Rosji (1660–1672), ojciec chrzestny cara Piotra I, w czasie wojny

okolicach beczynnienie, wahając się, a raczej same nie wiedząc, co począć. Na Rusi Buturlin⁹⁴ z Chmielnickim⁹⁵ rozpuszczali po dawnemu zagony i właśnie w tych czasach porazili pod Gródkiem garść wojska, której przywodził hetman wielki koronny, pan Potocki⁹⁶. Ale Litwa była pod protektoratem szwedzkim. Pustoszyć i zajmować ją dalej znaczyło to samo, jak słusznie zauważył w liście swym Kmicic, co wypowiadać wojnę strasliwym i wzbudzającym powszechną w świecie trwogę Szwedom. „Była tedy chwila folgi od Septentrionów⁹⁷” – i niektórzy doświadczeni ludzie przepowiadali nawet, że wkrótce zwrócą się oni, jako sprzymierzeńcy Jana Kazimierza i Rzeczypospolitej, przeciw królowi szwedzkiemu, którego

polsko-rosyjskiej dowodził południową grupą wojska carskiego, do historii przeszła tzw. rzeź Trubeckiego w Mścislawiu. [przypis edytorski]

⁹⁴ *Buturlin, Wasilij Wasiljewicz* (zm. 1656) – rosyjski bojar, dyplomata i wojskowy, w czasie ugody perejaśławskiej w 1654 przyjął przysięgę od starszyny kozackiej na wierność państwu moskiewskiemu, na początku wojny polsko-rosyjskiej 1654-1667 wraz z Bohdanem Chmielnickim dowodził połączonymi wojskami rosyjsko-ukraińskimi. [przypis edytorski]

⁹⁵ *Chmielnicki, Bohdan Zenobi* (1595–1657) – ukraiński bohater narodowy, hetman Kozaków zaporoskich, organizator powstania przeciwko polskiej władzy w latach 1648–1654. [przypis edytorski]

⁹⁶ *Potocki, Stanisław herbu Pilawa*, zwany Rewera (1579–1667) – hetman wielki koronny, wojewoda krakowski, kijowski, podolski i bractawski, uczestnik wielu wojen, uratował króla Jana II Kazimierza pod Zbarażem; przydomek Rewera pochodzi od jego ulubionego powiedzonka *re vera* (łac.: w rzeczy samej, zaprawdę). [przypis edytorski]

⁹⁷ *Septentrionowie* (z łac. *septentrio, septentrionis*: wielka niedźwiedzica, północ) – ludzie z północy; kolejne omowne określenie Rosjan, o wojnie z którymi Sienkiewicz nie mógł w 1884 r. pisać wprost ze względu na cenzurę carską. [przypis edytorski]

potęgą, gdyby panem całej Rzeczypospolitej został, nie miałyby równej w Europie.

Nie zaczęłaś tedy Chowański ni Podlasia, ni skonfederowanych chorągwi; a one wzajem, pozbawione wodza, rozproszone, nie zaczęły i nie były w sile zacząć kogokolwiek lub przedsięwziąć coś ważniejszego nad rabunek dóbr radziwiłłowskich. Natomiast marniały. Jednakże listy pana Wołodyjowskiego o grożącym pochodzie Radziwiłła rozbudziły pułkowników z uśpiania i bezczynności. Poczęto ogarniać chorągwie, rozpisywać awizy⁹⁸ wzywające rozproszonych żołnierzy pod znaki i grożące karami tym, którzy by się nie stawili. Pierwszy Żeromski, najpoważniejszy między pułkownikami i którego chorągiew w najlepszym była stanie, ruszył nie omieszkując pod Białystok; za nim przybył w tygodniu Jakub Kmicic, prawda, że tylko w sto dwadzieścia ludzi – po czym zaczęli się ściągać żołnierze Kotowskiego i Lipnickiego, to pojedynczo, to gromadkami; szła także na ochotnika i drobna szlachta z okolicznych zaścianków, jako Zięcinkowie, Świderscy, Jaworscy, Rzędzianowie, Mazowieccy; przybywali wolentariusze nawet z województwa lubelskiego, jako Karwowsy i Turowie, od czasu do czasu przybywał i zamożniejszy szlachcic z jakim takim poczem sług dobrze zbrojnych. Wysłano deputatów⁹⁹ od chorągwi do egzakcyj¹⁰⁰,

⁹⁸ awizy (z fr. *avis*: zdanie, ostrzeżenie, doniesienie) – pisemne zawiadomienia. [przypis edytorski]

⁹⁹ *deputat* (z łac.) – wysłannik, przedstawiciel. [przypis edytorski]

którzy pieniądze i żywność za kwitami mieli wybierać – słowem, ruch zapanował wszędy, zawrzały przygotowania wojenne i gdy pan Wołodyjowski ze swą laudańską chorągwią nadciągnął, stało już kilka tysięcy ludzi pod bronią, którym tylko przywódcy brakowało.

Wszystko to było i dość bezładne, i dość niesforne, ale ani tak bezładne, ani tak niesforne, jak owa szlachta wielkopolska, która przed kilku miesiącami miała pod Ujściem Szwedom przeprawy bronić; albowiem owi Podlasianie, Lublinianie i Litwa byli to ludzie z wojną obyci, i nie było nawet między tymi ochotnikami ani jednego, prócz wyrostków, który by prochu nie wachał i z „tabakiery Gradywa”¹⁰¹ nie zażywał”. Każdy w swoim życiu czynił to przeciw Kozakom, to przeciw Turkom, to przeciw Tatarom; byli tacy, którzy jeszcze szwedzkie wojny pamiętali. Nad wszystkimi zaś górował doświadczeniem wojennym i wymową pan Zagłoba i rad się znalazł w tym zbiegowisku żołnierskim, w którym o suchym gardle nie radzono.

Gasił więc powagą najpoważniejszych pułkowników. Laudańscy ludzie opowiadali, że gdyby nie on, tedyby Wołodyjowski, Skrzetuscy, Mirski i Oskierko zginęli z rąk radziwiłłowskich, bo już ich na stracenie do Birż wieziono. On sam zasług swych nie ukrywał i sprawiedliwość sobie zupełną

¹⁰⁰ *egzakcja* (z łac. *exactio*: pobór, nadzór) – ściąganie podatku na wojsko. [przypis edytorski]

¹⁰¹ *Gradyw* (mit. rzym., z łac. *gradivus*: kroczący na przedzie) – przydomek Marsa, boga wojny. [przypis edytorski]

oddawał, aby wszyscy wiedzieli, kogo mają przed sobą.

– Nie lubię się chwalić – mówił – ani gadać o tym, czego nie było, bo u mnie prawda grunt, co może i mój siostrzan¹⁰² poświadczyć.

Tu zwracał się do pana Rocha Kowalskiego, który występował wówczas zza pleców pana Zagłoby i mówił dobitnym, stentorowym¹⁰³ głosem:

– Wuj... nie... łże!...

I sapiąc, toczył oczyma po obecnych, jakby szukając zuchwalca, który by mu śmiał zaprzeczyć.

Ale nikt nigdy nie przeczył, więc pan Zagłoba poczynął opowiadać o swych dawnych przewagach: jako jeszcze za życia pana Koniecpolskiego¹⁰⁴ przyczynił się dwukrotnie do zwycięstwa nad Gustawem Adolfem, jak potem Chmielnickiego splantował¹⁰⁵, co pod Zbarażem¹⁰⁶ dokazywał, jako księżę Jeremi na jego radach we wszystkim polegał i jako mu prowadzenie wycieczek powierzał...

¹⁰² *siostrzan* – siostrzeniec. [przypis edytorski]

¹⁰³ *stentorowy głos* – głos gromki, donośny jak głos Stentora, herolda opisanego w *Iliadzie*. [przypis edytorski]

¹⁰⁴ *Koniecpolski, Stanisław* (1591–1646) – hetman wielki koronny w latach 1632–1646, kasztelan krakowski, uznawany za jednego z najwybitniejszych polskich wodzów. [przypis edytorski]

¹⁰⁵ *splantować* – wyrównać grunt; tu: zrównać z ziemią, pokonać. [przypis edytorski]

¹⁰⁶ *Zbaraż* – miasto w zachodniej części Ukrainy, ok. 20 km na pñ. wschód od Tarnopola; w obronie Zbaraża (1649) przed Kozakami Chmielnickiego i Tatarami brały udział wojska polskie pod komendą trzech regimentarzy i księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. [przypis edytorski]

– A po każdej wycieczce – mówił – gdyśmy na pięć albo na dziesięć tysięcy hultajstwa napsuli, to Chmielnicki aż łbem z desperacji w ścianę trykał i powtarzał: „Nikt inny tego nie uczynił, tylko ten diabeł Zagłoba!”, a kiedy już do paktów zborowskich przyszło, to chan sam jako dziwo mnie oglądał i o konterfekt upraszał, bo chciał go sułtanowi w prezencie posłać.

– Takich nam dziś trzeba więcej niż kiedy! – powtarzali słuchacze.

A gdy wielu i bez tego o nadzwyczajnych czynach pana Zagłoby słyszało, o których wieści po całej Rzeczypospolitej chodziły, gdy i świeże wypadki w Kiejdanach, jako to: uwolnienie pułkowników i bitwa klewańska ze Szwedami, potwierdzały dawną opinię męża, sława jego rosła coraz bardziej, i chodził w niej pan Zagłoba jak w słońcu, wszystkim na oczach, nad innych promienisty i jasny.

– Gdyby takich tysiąc było w Rzeczypospolitej, nie przyszyłoby do tego, co się zdarzyło! – powtarzano w obozie.

– Dziękujmy Bogu, że choć jednego mamy między sobą!

– Onże pierwszy Radziwiłła zdrajcą zakrzyknął.

– I zacnych ludzi z jego rąk wyrwał, i po drodze Szwedów pod Klewanami tak poraził, że i świadek klęski nie uszedł.

– Pierwsze zwycięstwo on odniósł!

– Da Bóg i nieostatnie!

Pułkownicy, jako Żeromski, Kotowski, Jakub Kmicic i Lipnicki, patrzyli także na Zagłobę z wielkim szacunkiem. Wydzierano go sobie z rąk do rąk i zasięgano jego

rady we wszystkim, podziwiając roztropność, prawie męstwu wyrównywającą.

A właśnie radzono teraz nad ważną sprawą. Wysłano wprawdzie deputatów do wojewody witebskiego, by przyjeżdżał objąć dowództwo, ale ponieważ nikt dobrze nie wiedział, gdzie w tej chwili pan wojewoda się znajduje, deputaci więc pojechali i jakby w wodę wpadli. Były wieści, że ich Zołtareńkowe podjazdy ogarnęły, które zapuszczały się pod Wołkowysk, rabując na własną rękę.

Postanowili tedy pułkownicy pod Białymstokiem obrać tymczasowo regimentarza¹⁰⁷, który by aż do przyjazdu pana Sapiehy rząd nad wszystkimi sprawował. Nie potrzeba mówić, że z wyjątkiem pana Wołodyjowskiego, każdy pułkownik o sobie myślał.

Rozpoczęły się zabiegi i kaptowania. Wojsko oświadczyło, że chce mieć udział w wyborach, i to nie przez deputatów, ale w kole generalnym, które wnet w tym celu złożono.

Wołodyjowski, po naradzie ze swymi towarzyszami, polecał mocno pana Żeromskiego, który był człowiek cnotliwy, poważny, a przy tym imponował wojsku samą urodą i senatorską brodą w pas. Żołnierz przy tym był biegły i doświadczony. Sam przez wdzięczność polecał pana Wołodyjowskiego, ale Kotowski, Lipnicki i Jakub Kmicic opierali się temu, twierdząc, że nie można najmłodszego wiekiem wybierać, bo regimentarz

¹⁰⁷ *regimentarz* – zastępca hetmana; tymczasowy dowódca; określenie używane w XVII–XVIII w. [przypis edytorski]

musi i przed obywatelstwem największą reprezentować powagę.

– A któż tu najstarszy? – zapytały liczne głosy.

– Wuj najstarszy! – zakrzyknął nagle pan Roch Kowalski tak gromkim głosem, że aż wszyscy zwrócili głowy w jego stronę.

– Szkoda tylko, że chorągwi nie ma – rzekł Jachowicz, namiestnik Żeromskiego.

Lecz inni poczęli wołać:

– To i co z tego?! Czy to nam niewola pułkownika koniecznie obierać?... Zali¹⁰⁸ to nie w mocy naszej? Zali nie *in liberis suffragiis*¹⁰⁹? Toż królem wolno każdego szlachcica obrać, nie dopiero regimentarzem...

Wtem pan Lipnicki, jako niechętny był dla Żeromskiego i nie chciał, wszelkimi sposobami, jego wyboru dopuścić, zabrał głos:

– Jako żywo! wolno waszmościom głosować, jak się podoba! A nie obierzecie pułkownika, to się i lepiej stanie, bo nie będzie nikomu krzywdy ani inwidi¹¹⁰.

Wtedy powstał hałas straszliwy. Liczne głosy wołały: „Do wotów! do wotów!” – inni zaś: „Kto tu od pana Zagłoby sławniejszy? Kto większy rycerz? Kto żołnierz doświadczeńszy? Pana Zagłobę prosimy... Niech żyje pan Zagłoba! Niech żyje regimentarz!”

– Niech żyje! niech żyje! – wrzeszczało coraz więcej gardzieli.

¹⁰⁸ *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

¹⁰⁹ *in liberis suffragiis* (łac.) – w wolnych wyborach. [przypis edytorski]

¹¹⁰ *inwidia* (z łac.) – zazdrość, zawiść. [przypis edytorski]

- Na szable opornych!... – krzyczeli znowu burzliwsi.
- Nie ma opornych! *unanimitate*¹¹¹! – odpowiadały tłumy.
- Niech żyje! On Gustawa Adolfa poraził! On Chmielnickiemu sadła za skórę nalał!
- I pułkowników samych ratował!
- I Szwedów pod Klewanami poraził!
- *Vivat*¹¹²! *vivat*! Zagłoba *dux*¹¹³! *Vivat! vivat!*

I tłumy poczęły podrzucać czapki, biegać po obozie i szukać pana Zagłoby.

On zaś zdumiał się i zmieszał w pierwszej chwili, bo o godność nie zabiegał, chciał jej dla Skrzetuskiego i takiego obrotu rzeczy się nie spodziewał.

Toteż gdy kilkutysięczny tłum począł wykrzykiwać jego nazwisko, tchu mu zabrakło i zaczerwienił się jak burak.

Wtem opadli go towarzysze; ale w uniesieniu wszystko tłumaczyli sobie na dobre, bo widząc jego zmieszanie, poczęli wołać:

– Patrzcie! jako panna się zapłonił! Modestia¹¹⁴ męstwu w nim równa! Niech żyje i niech nas do wiktorii prowadzi!

Tymczasem nadeszli i pułkownicy, radzi nieradzi, winszując godności, a niektórzy może i radzi byli, że współzawodników minęła. Pan Wołodyjowski tylko wąsikami coś ruszał, nie mniej

¹¹¹ *unanimitate* (łac.) – jednomyślnie, jednogłośnie. [przypis edytorski]

¹¹² *vivat* (łac.) – niech żyje. [przypis edytorski]

¹¹³ *dux* (łac.) – wódz. [przypis edytorski]

¹¹⁴ *modestia* (łac.) – skromność. [przypis edytorski]

od pana Zagłoby zdumiony, a Rzędzian, otworzywszy oczy i usta, patrzył z niedowierzaniem, ale już i z szacunkiem na pana Zagłobę, który z wolna do siebie przychodził, a po chwili wziął się w boki i głowę do góry zadarł, przyjmując z odpowiednią godnością powagą życzenia.

Winszował pierwszy Żeromski od pułkowników, a potem od wojska przemówił bardzo wymownie towarzysz z chorągwi Kotowskiego, pan Żymirski, cytując maksymy różnych mędrców.

Zagłoba słuchał, głową kiwał; wreszcie, gdy mówca skończył, pan regimentarz przemówił w następujące słowa:

– Mości panowie! Choćby kto w niezbrodzonym chciał prawdziwą utopić zasługę oceanie albo niebotycznymi przysypać ją Karpatami, przecie ona, jakoby oleju przyrodzenie¹¹⁵ mając, na wierzch wypłynie, spod ziemi się wydobędzie, ażeby do oczu ludzkich powiedzieć: „Jam jest, która się światła nie wzdragam, sądu nie lękam, nagrody czekam.” Ale że jako drogi kamień w złoto, tak cnota w modestię powinna być oprawiona, przeto pytam was, mości panowie, stojąc tu przed wami: Zalim się ze swymi zasługami nie krył? Zalim się przed wami chwalił? Zalim o tę godność, którąście mnie ozdobili, tentował¹¹⁶? Wyście to sami zasług mych dopatrzyli, bom ja i teraz jeszcze je negować gotów i powiedzieć wam: są tu lepsi ode mnie, jako pan Żeromski, pan Kotowski, pan Lipnicki, pan Kmicic,

¹¹⁵ przyrodzenie (daw.) – natura, charakter, właściwości. [przypis edytorski]

¹¹⁶ tentować (z łac.) – zabiegać, starać się. [przypis edytorski]

pan Oskierko, pan Skrzetuski, pan Wołodyjowski, tak wielcy kawalerowie, jakimi sama starożytność chlubić by się mogła... Przecz¹¹⁷ mnie, a nie którego z nich, obraliście wodzem? Jeszcze czas... Zdejmcie mi tę godność z barków, a zaciejszego w ten płaszczy przyozdobcie!

– Nie może być! nie może być! – zaryczały setne i tysięczne głosy.

– Nie może być! – powtórzyli pułkownicy, uradowani z publicznej pochwały, a chcący zarazem przed wojskiem swoją skromność okazać.

– Widzę i ja, że nie może być inaczej! – odrzekł Zagłoba – niech się tedy woła waszmościów spełni. Dziękuję z serca, panowie bracia, i tak tuszę, że da Bóg, nie zawiedziecie się w tej ufności, którąście we mnie położyli. Jako wy przy mnie, tak i ja do gardła stać przy was przyrzekam, a czyli wiktoryę, czyli zgubę *fata*¹¹⁸ nam niezbadane przyniosą, sama śmierć nas nie rozłączy, bo i po śmierci sławą się dzielić będziemy!

Okrutne uniesienie zapanowało w zebraniu. Jedni do szabel się imali, drudzy łyzy poczęli ronić; panu Zagłobie pot kroplami osiadł na łysinie, ale zapał w nim wzrastał.

– Przy królu naszym prawowitym, przy naszym elekcie i przy miłej ojczyźnie stać będziem! – zakrzyknął – dla nich żyć! dla nich umierać! Mości panowie! jako ta ojczyzna ojczyzną, nigdy takowe klęski na nią nie spadły. Zdraycy otworzyli wrota i nie

¹¹⁷ *przech* (daw.) – dlaczego. [przypis edytorski]

¹¹⁸ *fatum* (łac.) – los; tu M. Im *fata*. [przypis edytorski]

masz już pięćdziesiąt ziem, kromie tego województwa, w której by nie grasował nieprzyjaciół. W was ojczyzny nadzieja, a we mnie wasza, na was i na mnie cała Rzeczpospolita ma oczy obrócone! Ukażmyż jej, że niepróżno ręce wyciąga. Jak wy ode mnie męstwa i wiary, tak ja od was karność żądam i posłuszeństwa, a gdy będziemy zgodni, gdy przykładem naszym otworzymy oczy tym, których nieprzyjaciół uwiódł – tedy pół Rzeczypospolitej do nas się zleci! Kto ma Boga i wiarę w sercu, ten przy nas stanie, moce niebieskie nas wesprą, i któż nam wówczas sprostą?!

– Tak będzie! Dla Boga, tak będzie! Salomon mówi!... Bić! bić! – wołały grzmiące głosy.

A pan Zagłoba ręce ku północy wyciągnął i począł krzyczeć:

– Przychodź teraz, Radziwille! przychodź, panie hetmanie! panie heretyku! lucyperowy wojewodo! Czekamy cię nie w rozproszeniu, ale w kupie, nie w dyskordii¹¹⁹, ale w zgodzie, nie z papierami, paktami, ale z mieczami w ręku! Czeką cię tu wojsko cnotliwe i ja, regimentarz. Dalej! wychodź! dawaj Zagłobie pole! Wezwij czartów na pomoc i próbujmy się!... Wychodź!

Tu zwrócił się znów do wojska i krzyczał dalej, aż się w całym obozie rozległo:

– Dla Boga, mości panowie! Proroctwa mnie wspierają! Zgody jeno, a pobijemy tych szelmów, pludrów, pończoszników, rybojadów i innych wszarzy, brodafianów, kozuszników, co w lato saniami jeżdżą!... Damy im pieprzu, aż pięty pogubią, umykając. Bijże tych psuśratów, kto żyw! Bij, kto w Boga

¹¹⁹ dyskordia (z łac.) – niezgoda, skłócenie. [przypis edytorski]

wierzy, komu cnota i ojczyzna miła!

Kilka tysięcy szabel zabłysło naraz. Tłumy otoczyły pana Zagłobę, cisnąc się, depcąc, popychając i wrzeszcząc:

– Prowadź! prowadź!

– Jutro poprowadzę! Gotować się! – krzyknął w zapale Zagłoba.

Wybór ów odbył się rano, a po południu odbywał się przegląd wojska. Stały więc chorągwie na choroszczańskich błoniach, jedna przy drugiej w wielkim porządku, z pułkownikami i chorążymi na czele, a przed pułkami jeździł regimentarz, pod buńczukiem¹²⁰, z pozłocistą buławą w rękę i czaplim piórem przy czapce. Rzekłbyś: hetman urodzony! I tak przeglądał kolejno chorągwie, jak pasterz przegląda trzodę, a żołnierzom aż serca przybywało na widok tej wspaniałej postaci. Każdy pułkownik wyjeżdżał kolejno ku niemu, a on z każdym pogadał, coś pochwalił, coś zganił, i nawet ci z przywódców, którzy z początku nieradzi byli z wyboru, musieli przyznać w duchu, że z nowego regimentarza żołnierz bardzo materii wojskowych świadom, dla którego przywództwo nie nowina.

Jeden tylko pan Wołodyjowski dziwnie jakoś wąsikami ruszał, gdy nowy regimentarz poklepał go na przeglądzie wobec innych pułkowników po ramieniu i rzekł:

– Panie Michale, kontent jestem z ciebie, bo chorągiew tak porządna, jako żadna nie jest. Wytrwaj jeno tak dalej, a możesz

¹²⁰ *buńczuk* – drzewce zakończone kulą lub grotem, ozdobione końskim włosiem, symbol władzy wojskowej. [przypis edytorski]

być pewien, że cię nie zapomnę!

– Dalibóg – szepnął pan Wołodyjowski Skrzetuskiemu, wracając z przeglądu – co by mi mógł innego prawdziwy hetman powiedzieć?

Tegoż samego dnia rozesłał pan Zagłoba podjazdy w te strony, w które było trzeba, i w te, w które nie było potrzeby. Gdy wróciły nazajutrz rano, wysłuchał pilnie wszystkich doniesień, po czym udał się do kwatery pana Wołodyjowskiego, który mieszkał razem ze Skrzetuskimi.

– Przy wojsku muszę powagę zachowywać – rzekł łaskawie – ale gdyśmy sami, możemy w dawnej konfidencji¹²¹ zostawać... Tum przyjaciel, nie zwierzchnik! Waszą radą też nie pogardzę, choć własny rozum mam, gdyż wiem, żeście ludzie doświadczeni jak mało żołnierzy w całej Rzeczypospolitej.

Przywitali go więc po dawnemu i wprędce „konfidencja” zapanowała zupełna, jeden tylko Rzędzian nie śmiał być z nim jak dawniej i na samym brzeżku ławy siedział.

– Co ojciec myślisz robić? – zapytał Jan Skrzetuski.

– Przede wszystkim porządek i dyscyplinę utrzymać i żołnierzy zająć, żeby próżnowaniem nie sparcieli. Widziałem ja to dobrze, panie Michale, żeś jako sysun mamrotał, gdym te podjazdy na cztery strony świata wysyłał, ale ja musiałem to uczynić, by ludzi do służby wdrożyć, bo znacznie pole zalegli. To raz, a po wtóre: czego nam brak? Nie ludzi, bo znalazło i nalezie ich dosyć. Ta szlachta, która do Prus uciekła przed

¹²¹ *konfidencja* (z łac.) – zaufanie, zażyłość. [przypis edytorski]

Szwedami z województwa mazowieckiego, także tu przyjdzie. Ludu i szabel nie zbraknie, jeno wiwendy¹²² nie dość, a bez zapasów żadne wojsko w świecie w polu nie wytrzyma. Owóż mam taką myśl, żeby podjazdom nakazać sprowadzać wszystko, co jeno im w ręce popadnie: bydło, owce, świnie, zboże, siano, i z tego województwa, i z ziemi widzkiej na Mazowszu, która także nie widziała dotąd nieprzyjaciela i wszystkiego ma obfitość.

– Ale to szlachta będzie wniebogłosa krzyczeć – zauważył Skrzetuski – jeżeli się im plon i dobytek zabierze.

– Więcej mi znaczy wojsko niż szlachta. Niech krzyczą! Zresztą, darmo się nie będzie brać, bo każę kwity wydawać, których tyle już nagotowałem przez dzisiejszą noc, że pół Rzeczypospolitej wziąć by można za nie w rekwizycję. Pienędzy nie mam, ale po wojnie i po wypędzeniu Szwedów Rzeczpospolita to zapłaci. Co mi tam gadacie! Szlachcie gorzej, gdy wojsko zgłodniałe zajeżdża i rabuje. Mam też myśl lasy spłądować, bo słyszę, że tam siła¹²³ chłopstwa z dobytkiem puciekało. Niechże to wojsko Duchowi Świętemu dziękuje, że je natchnął do obrania mnie regimentarzem, bo nikt by tu inny sobie tak nie poradził.

– U waszej wielmożności senatorska głowa, to pewno! – rzekł Rzędzian.

– Co? hę? – rzekł Zagłoba, uradowany pochlebstwem – i ciebie, szelmo, w ciemię nie bito. Rychło patrzeć, jak

¹²² *wiwenda* (daw., z łac.) – żywność, prowiant. [przypis edytorski]

¹²³ *siła* (daw.) – wiele, dużo. [przypis edytorski]

namiestnikiem cię uczynię, niech się jeno *vacans*¹²⁴ otworzy.

– Dziękuję pokornie waszej wielmożności... – odpowiedział Rzędzian.

– Ot, moja myśl! – mówił dalej Zagłoba. – Naprzód wiwendy tyle zgromadzić, jakobyśmy mieli obleżenie wytrzymać, potem obóz warowny założymy, a wówczas niech przychodzi Radziwiłł ze Szwedami czy z diabłami. Szelmą jestem, jeżeli tu drugiego Zbaraża nie uczynię!

– Jak mi Bóg miły, tak to grzeczna myśl – zawołał Wołodujowski – jeno skąd dział weźmiemy?

– Pan Kotowski ma dwie haubice, u Kmicica jedna wiwatówka, w Białymstoku są cztery oktawy¹²⁵, które do zamku tykocińskiego miały być wyprawione; bo waćpanowie nie wiecie, że Białystok na utrzymanie zamku tykocińskiego przez pana Wiesiołowskiego jest zapisany, i te armaty jeszcze zeszłego roku z czynszów zakupiono, o czym mi pan Stępalski, gubernator tutejszy, powiedział. Mówi też, że i prochów jest na sto strzałów do każdej. Damy sobie radę, mości panowie, jeno popierajcie mnie z duszy, a i o ciele nie zapominajcie, które by rade napić się czego, bo i pora już po temu.

Wołodujowski kazał przynieść pić i dalej gawędzili przy kielichach.

– Myśleliście, że będziecie mieć malowanego regimentarza –

¹²⁴ *vacans* (łac.) – wolne miejsce, wakat. [przypis edytorski]

¹²⁵ *oktawa* – właściwie oktawa kolubryna, działo średniej wielkości, kalibru do 70 mm. [przypis edytorski]

mówił Zagłoba, siorbając z lekka miód wystały. – *Nunquam*¹²⁶! Nie prosiłem ja o ten fawor¹²⁷, ale kiedyście mnie nim przyozdobili, to i posłuch, i porządek musi być. Wiem ja, co każda godność znaczy, i obaczycie, czy każdej nie dorosnę. Drugi Zbaraż tu urządzę, nic, jeno drugi Zbaraż! Zadławi się dobrze Radziwiłł, zadławia się i Szwedzi, nim mnie przełkną. Albo też chciałbym, by Chowański się o nas pokusił, pochował ja bym go tak, żeby go i na sąd ostateczny nie znaleźli. Niedaleko stoją, niech przyjdą! niech popróbują! Miodu, panie Michale!

Wołodajowski nalał, pan Zagłoba duszkiem wypił, zmarszczył brwi i jakby sobie coś przypominając, rzekł:

– O czym to ja mówiłem? Czego to ja chciałem?... Aha! miodu, panie Michale!

Wołodajowski nalał znowu.

– Powiadają – mówił Zagłoba – że i pan Sapieha lubi w dobrej kompanii pociągnąć. Nie dziw! każdy zacny człowiek to lubi. Zdrajcy tylko, którzy nieszczerze myśli dla ojczyzny żywią, boją się wina, żeby się z praktyk nie wygadać. Radziwiłł brzeziny sok pija, a po śmierci będzie smołę pijał. Tak mi Pan Bóg dopomóż! Zgaduję to snadnie, że się z panem Sapiehą pokochamy, bośmy do siebie podobni, jako jedno ucho końskie do drugiego albo jak para butów. I przy tym on jeden regimentarz, ja drugi, ale już tak tu wszystkie sprawy urządzę, żeby jak on przyjedzie, wszystko było gotowe. Siła rzeczy na

¹²⁶ *nunquam* (łac.) – nigdy. [przypis edytorski]

¹²⁷ *fawor* (z łac.: przychylność, życzliwość) – wyróżnienie. [przypis edytorski]

mojej głowie, ale cóż robić! Nie ma kto w ojczyźnie myśleć, to ty myśl, stary Zagłobo, póki ci pary w nozdrzach. Najgorsza sprawa, że kancelarii nie mam.

– A po co ojcu kancelaria? – pytał Skrzetuski.

– A po co król ma swego kanclerza? A po co przy wojsku musi być pisarz wojskowy? Trzeba będzie i tak posłać do jakiego miasta, żeby mi pieczęć zrobili.

– Pieczęć?... – powtórzył z zachwytem Rzędzian, spoglądając z coraz większym uszanowaniem na pana Zagłobę.

– A co waćpan będziesz pieczętował? – pytał Wołodyjowski.

– W tak poufałej kompanii możesz mi, panie Michale, mówić po dawnemu: „waćpan”... Nie ja będę pieczętował, ale mój kanclerz... To sobie naprzód zakonotujcie!

Tu Zagłoba spojrział z dumą i powagą po obecnych, aż Rzędzian zerwał się z ławy, a pan Stanisław Skrzetuski mruknął:

– *Honores mutant mores*¹²⁸!

– Po co mnie kancelaria? Posłuchajcie jeno – mówił Zagłoba. – Naprzód wiedźcie o tym, że te klęski, które na ojczyznę naszą spadły, według mojego mniemania nie z innej przyczyny przysły, jak z rozpusty, jak ze swawoli i zbytków (miodu, panie Michale!), jak ze zbytków, mówię, które na kształt zarazy nas toczą. Ale w pierwszym rządzie z przyczyny heretyków, coraz śmieiej prawdziwej wierze bluźniących z ujmą dla Przenajświętszej Patronki naszej, która o te bezceństwa w słuszną cholere wpaść mogła...

¹²⁸ *Honores mutant mores* (łac.) – godności zmieniają obyczaje. [przypis edytorski]

– To słusznie mówi! – ozwali się chórem rycerze – dysydenci pierwsi przystali do nieprzyjaciół, a kto wie, czy nie sami ich sprowadzili?!

– *Exemplum*¹²⁹ hetman wielki litewski!

– Lecz że i w tym województwie, gdzie ja jestem regimentarzem, także heretyków nie brak, jako w Tykocinie i w innych miejscach, przeto dla zyskania na początek błogosławieństwa bożego dla naszej imprezy wyda się uniwersał, aby kto w błędach żyje, we trzech dniach z nich się nawrócił, a tym, którzy tego nie uczynią, majątkości mają być na wojsko skonfiskowane.

Rycerze spoglądali na siebie ze zdumieniem. Wiedzieli, że nie zbywa panu Zagłobie na obrotnym rozumie i fortelach, ale nie przypuszczali, aby pan Zagłoba był takim statystą¹³⁰ i tak doskonale umiał sprawy publiczne sądzić.

– I wy się pytacie – rzekł z tryumfem Zagłoba – skąd wezmę pieniędzy na wojsko?... A konfiskaty? a wszystkie dobra radziwiłłowskie, które tym samym przejdą na własność wojska?

– Czy aby będzie prawo po naszej stronie? – wtrącił Wołodjowski.

– Dziś takie czasy, że kto ma szablę, ten ma prawo! A jakie prawo mają Szwedzi i ci wszyscy nieprzyjaciele, którzy w granicach Rzeczypospolitej grasują?

¹²⁹ *exemplum* (łac.) – przykład; tu: przykładem jest. [przypis edytorski]

¹³⁰ *statysta* (daw.) – polityk, mąż stanu, strateg (dziś: osoba niebędąca aktorem, a występująca w filmie lub sztuce teatralnej w roli podrzędnej). [przypis edytorski]

– Prawda jest! – odpowiedział z przekonaniem pan Michał.

– Nie dość na tym! – zawołał, zapalając się, pan Zagłoba. – Drugi uniwersał wyda się do szlachty województwa podlaskiego i do tych ziem w województwach sąsiednich, które jeszcze nie są w nieprzyjacielskim ręku, aby jako na pospolite ruszenie stawały. Szlachta ma czeladź uzbroić, aby nam piechoty nie brakło. Wiem to, że niejeden by rad iść, jeno się za jakim pismem i za jakimś rządem ogląda. Będą tedy mieli i rząd, i uniwersały...

– Waćpan naprawdę tyle masz rozumu, ile kanclerz wielki koronny! – zakrzyknął pan Wołodyjowski.

– Miodu, panie Michale!... Trzecie pismo wysłał się do Chowańskiego¹³¹, by sobie szedł do paralusa¹³², a nie, to go ze wszystkich miast i zamków wykurzymy. Stojąc¹³³ oni teraz wprawdzie na Litwie spokojnie i zamków nie dobywają, ale Kozacy Zołtareńkowi rabują, kupami po tysiącu i dwa jeżdżąc. Niechże ich powstrzyma, bo inaczej będziemy ich znosić¹³⁴.

– Pewnie, że moglibyśmy to robić – rzekł Jan Skrzetuski – wojsko nie zależałoby pola.

– Myślę ja nad tym i właśnie ku Wołkowyskowi dziś nowe podjazdy wysyłam, ale *et haec facienda, et haec non*

¹³¹ Chowański, Iwan Andriejewicz (zm. 1682) – rosyjski wojskowy, bojar i wojewoda, jeden z dowódców w wojnie polsko-rosyjskiej (1654–1667). [przypis edytorski]

¹³² paralusa (daw.) – paraliż; do paralusa: do cholery, do diabła. [przypis edytorski]

¹³³ stojąc – stoją ci. [przypis edytorski]

¹³⁴ znosić – rozbijać, pokonywać. [przypis edytorski]

*omittenda*¹³⁵... Czwarte pismo chcę posłać do naszego elekta, pana dobrego, aby go w smutku pocieszyć, że przecie jeszcze są tacy, którzy go nie opuścili, że są serca i szable na jego skinienie gotowe. Niechże na obczyźnie ma choć tę pociechę nasz ojciec, nasz pan kochany, nasza krew jagiellońska, która tułać się musi... oto... oto...

Tu pan Zagłoba zakrztusił się, bo już miał mocno w głowie, i wreszcie ryknął z żalości nad losem królewskim, a pan Michał zaraz mu zawtórował trochę cieniej, Rzędzian chlipał także albo udawał, że chlipie. Skrzetuscy wsparli głowy na rękach i siedzieli w milczeniu.

Przez chwilę cisza trwała, nagle pan Zagłoba wpadł w złość.

– Co mi tam elektor! – krzyknął. – Kiedy zawarł pakt z miastami pruskimi, niechże występuje w pole przeciw Szwedom, niech nie praktykuje na obie strony, niech uczyni to, co wienny lennik czynić powinien, i w obronie pana swego i dobrodzieja stawia¹³⁶.

– Kto tam zgadnie, czy on się jeszcze za Szwedami nie opowie? – rzekł Stanisław Skrzetuski.

– Za Szwedami się opowie? To ja mu się opowiem! Pruska granica niedaleko, a u mnie kilka tysięcy szabel na zawołanie; Zagłoby w pole nie wywiedzie! Jako mnie tu widzicie, jakom regimentarz nad tym zacnym wojskiem, tak go ogniem i

¹³⁵ *et haec facienda, et haec non omittenda* (łac.) – i to trzeba zrobić, i tamtego nie zaniedbać. [przypis edytorski]

¹³⁶ *stawia* – dziś popr. forma 3 os. lp cz.ter.: staje. [przypis edytorski]

mieczem nawiedzę. Nie ma wiwendy, dobrze! znajdziemy jej dość w pruskich gumnach!

– Matko Boska! – zakrzyknął w uniesieniu Rzędzian. – Wasza wielmożność już i koronowanym głowom zdzierzy.

– Zaraz do niego napiszę: „Mości elektorze! Dość kota ogonem odwracać! Dość wykrętów i mitręgi! Wychodź przeciw Szwedom, a nie, to ja w odwiedziny do Prus przyjadę. Nie może inaczej być...” Inkaustu, piór, papieru! Rzędzian, pojedziesz z pismem!

– Pojadę! – rzekł dzierżawca z Wąsoszy, uradowany nową godnością.

Lecz nim przygotowano panu Zagłobie inkaust, pióra i papier, krzyki wszczęły się przed domem i tłumy żołnierzy zaczerniały przed oknami. Jedni krzyczeli: „*vivat!*” – drudzy hałłakowali po tatarsku. Zagłoba z towarzyszami wyszedł zobaczyć, co się dzieje.

Pokazało się, że prowadzą owe oktawy, o których pan Zagłoba wspominał, a których widok rozradował teraz serca żołnierskie.

Pan Stępalski, gubernator białostocki, przystąpił do pana Zagłoby i przemówił:

– Jaśnie wielmożny regimentarzu! Od czasu jak nieśmiertelnej pamięci pan marszałek Wielkiego Księstwa Litewskiego zapisał dobra białostockie na utrzymanie zamku tykocińskiego, ja, będąc tychże dóbr gubernatorem, wiernie i pocziwie wszelkie czynsze na pożytek tegoż zamku obracałem, czego i rejestrami mogę przed całą Rzeczpospolitą dowieść. Tak

przeszło dwadzieścia lat pracując, opatrywałem on zamek w prochy, działa i spyżę¹³⁷, mając to sobie za święty obowiązek, aby każdy grosz tam szedł, dokąd jaśnie wielmożny marszałek Wielkiego Księstwa Litewskiego iść mu nakazał. Ale gdy w zmiennej losów kolei zamek tykociński został nieprzyjaciół ojczyzny największą w tym województwie podporą, pytałem się Boga i własnego sumienia, zali¹³⁸ mam mu i nadal siły przysparzać, zali nie powinienem tych dostatków i wojennych porządków, z tegorocznego czynszu nagromadzonych, do waszej wielmożności rąk oddać...

– Powinieneś... – przerwał z powagą pan Zagłoba.

– O jedno też jeno proszę, aby wasza wielmożność raczyła wobec całego wojska zaświadczyć i na piśmie mnie pokwitować, jako nic z onych dóbr na własny pożytek nie obróciłem i wszystko w ręce Rzeczypospolitej, godnie tu przez władzę jaśnie wielmożnego regimentarza reprezentowanej, zdałem.

Zagłoba kiwnął głową na znak przyzwolenia i zaraz zaczął przeglądać rejestr.

Pokazało się, że prócz oktav, na strychach spichrzów ukrytych, jest i trzysta muszkietów niemieckich bardzo porządných, dwieście berdyszów¹³⁹ moskiewskich dla piechoty, do obrony murów i wałów, i sześć tysięcy złotych gotowizny.

¹³⁷ *spyża* (daw.) – prowiant, żywność. [przypis edytorski]

¹³⁸ *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

¹³⁹ *berdysz* – szeroki, ciężki topór na bardzo długim drzewcu, używany przez piechotę do kruszenia zbroi. [przypis edytorski]

– Pieniądze między wojsko się rozdzieli – rzekł Zagłoba – a co do muszkietów i berdyszów...

Tu obejrzał się naokoło.

– Panie Oskierko – rzekł – weźmiesz je waść i pieszą chorągiew uformujesz... Jest tu trochę piechoty z radziwiłłowskich zbiegów, a ilu braknie, tylu z młynarzy dobierzesz.

Po czym zwrócił się do wszystkich obecnych:

– Mości panowie! Są pieniądze, są działa, będzie piechota i wiwenda... Takie moje rządy na początek!

– *Vivat!* – krzyknęło wojsko.

– A teraz, mości panowie, wszyscy pacholcy w skok po wsiach po rydle, łopaty i motyki. Obóz warowny założym, Zbaraż drugi! Jenó, towarzysz¹⁴⁰ czy nie towarzysz, niech się nie wstydzi łopaty i do roboty!

To rzekłszy, pan regimentarz udał się do swojej kwatery, przeprowadzony okrzykami wojska.

– Dalibóg, że ten człowiek ma jednak głowę na karku – mówił do Jana Skrzetuskiego Wołodyjowski – i rzeczy zaczynają iść lepszym porządkiem.

– Byle tylko Radziwiłł zaraz nie nadszedł – wtrącił Stanisław Skrzetuski – bo to wódz, jak drugiego nie masz w Rzeczypospolitej, a nasz pan Zagłoba dobry do prowiantowania obozu, ale nie jemu mierzyć się z takim wojennikiem.

¹⁴⁰ towarzysz – rycerz, szlachcic, służący w wojsku z własnym wyposażeniem i pocztą. [przypis edytorski]

– Prawda jest! – odpowiedział Jan – jak przyjdzie co do czego, to go będziem radą wspomagali, bo się na wojnie mniej rozumie. Zresztą, skończy się jego panowanie, niech tylko pan Sapieha nadciągnie.

– Ale przez ten czas siła¹⁴¹ dobrego może zrobić – rzekł pan Wołodajowski.

Jakoż istotnie wojska owe potrzebowały jakiegokolwiek naczelnika, choćby nawet pana Zagłoby, bo od dnia jego wyboru lepszy ład zapanował w obozie. Nazajutrz dzień poczęto sypać wały nad białostockimi stawami. Pan Oskierko, który w cudzoziemskich wojskach służywał i znał się na sztuce sypania obronnych miejsc, kierował całą robotą. Powstał więc w trzech dniach nader silny okop, naprawdę podobien nieco do zbaraskiego, bo boków i tyłu broniły mu błotniste stawy. Widok jego podniósł serca żołnierzy; całe wojsko poczuło, że ma jakowyś grunt pod nogami. Lecz jeszcze bardziej począł się duch krzepić na widok zapasów żywności sprowadzanych przez silne podjazdy. Codziennie wpędzano do okopu woły, owce, świnie, co dzień szły fury wiozące wszelakie ziarno i siano. Niektóre przychodziły aż z ziemi łukowskiej, inne aż z widzkiej. Napływała także coraz liczniej szlachta drobna i większa, albowiem gdy wieść się rozeszła, że jest już rząd, wojsko i regimentarz, więcej też znalazło się w ludziach ufności. Mieszkańcom ciężko było żywić „całą dywizję”, ale po pierwsze, pan Zagłoba o to nie pytał, po wtóre, lepiej było oddać na

¹⁴¹ *siła* (daw.) – wiele, dużo. [przypis edytorski]

wojsko połowę, a reszty w spokoju zażywać, niż być narażonym co chwila na stratę wszystkiego od kup swawolnych¹⁴², które rozmnożyły się były znacznie i grasowały na kształt Tatarów, a które pan Zagłoba nakazał podjazdom ścigać i znosić.

– Jeżeli takim okaże się hetmanem, jakim jest gospodarzem – mówiono o nowym regimentarzu w obozie – tedy Rzeczpospolita nie wie jeszcze, jak wielkiego ma męża.

Sam pan Zagłoba myślał z pewnym niepokojem o przyjsciu Janusza Radziwiłła. Przypominał sobie wszystkie zwycięstwa Radziwiłła, a wówczas postać hetmańska przybierała potworne kształty w wyobraźni nowego regimentarza i w duszy sobie mówił:

„Oj, kto się tam temu smokowi oprze!... Mówiłem, że się mną zadławi, ale on mnie, jako sum kaczkę, połknie.”

I obiecywał sobie pod przysięgą nie wydawać generalnej bitwy Radziwiłłowi.

„Będzie oblężenie – myślał – a to zawsze długo trwa. Można też będzie i traktatów tentować¹⁴³, a przez ten czas pan Sapieha nadejdzie.”

Na wypadek, gdyby nie nadszedł, postanowił sobie pan Zagłoba słuchać we wszystkim Jana Skrzetuskiego, gdyż pamiętał, jak księżę Jeremi cenił wysoko tego oficera i jego zdolności wojskowe.

¹⁴² *kupy swawolne* – oddziały, które odłączyły się od swojej armii. [przypis edytorski]

¹⁴³ *tentować* (z łac.) – próbować. [przypis edytorski]

– Ty, panie Michale – mówił pan Zagłoba do pana Wołodyjowskiego – jenoś do ataku stworzony albo i z podjazdem, chociażby znacznym, można cię wysłać, bo umiesz się sprawić i jako wilk na owce, na nieprzyjaciela wpadniesz; ale gdyby ci całym wojskiem hetmanić kazano, pasz! pasz! sklepu z rozumem nie założysz, bo go na sprzedanie nie posiadasz, a Jan to regimentarska głowa i gdyby mnie nie stało, on jeden mógłby mnie zastąpić.

Tymczasem przychodziły wieści odmienne; raz donoszono, że Radziwiłł już idzie przez Prusy elektorskie, drugi raz, że pobiwszy wojska Chowańskiego, zajął Grodno i stamtąd ciągnie z wielką potęgą; ale byli i tacy, którzy twierdzili, że to nie Radziwiłł, jeno Sapieha poraził Chowańskiego przy pomocy księcia Michała Radziwiłła¹⁴⁴. Podjazdy jednak nie przywoziły żadnych pewnych wieści, prócz tych, że pod Wołkowyskiem stanęła kupa Żółtareńkowych ludzi, wynosząca około dwóch tysięcy wojowników, i miastu zagraża. Okolica cała płonąła już ogniem.

W dzień po podjazdach zaczęli napływać i zbiegowie, którzy potwierdzili wiadomość, donosząc przy tym, że mieszczenie wyprawili posłów do Chowańskiego i Żółtareńki z prośbą o miłosierdzie nad miastem, na co uzyskali od Chowańskiego odpowiedź, że to jest luźna wataha nie mająca z jego wojskiem

¹⁴⁴ *Radziwiłł, Michał Kazimierz herbu Trąby* (1635–1680) – krajczy litewski, później otrzymał także tytuły podczaszego litewskiego, kasztelana i wojewody wileńskiego oraz hetmana polnego litewskiego; szwagier Jana III Sobieskiego, gorliwy katolik, interesował się nauką, a szczególnie alchemią. [przypis edytorski]

nic wspólnego. Co do Zołtareńki, ten dał mieszczanom radę, by się wykupili, lecz oni, jako ubodzy ludzie, po niedawnym pożarze i kilkunastu rabunkach, nie mieli czym.

Błagali więc o miłosierdzie pana regimentarza, aby im na ratunek pospieszył, póki układy o wykup się prowadzą, bo później nie będzie już czasu. Pan Zagłoba wybrał półtora tysiąca ludzi dobrych, między którymi chorągiew laudańską, i przywoławszy Wołodyjowskiego, rzekł mu:

– No, panie Michale, czas pokazać, co umiesz! Pójdiesz pod Wołkowysk i zetrzesz mi tam tych hultajów, którzy miastu nieobronnemu grożą. Nie pierwszyczna ci taka wyprawa i myślę, że za fawor sobie poczytasz, że tobie tę funkcję powierzam.

Tu zwrócił się do innych pułkowników:

– Sam muszę w obozie zostać, bo cała odpowiedzialność na mnie, to raz! A po wtóre, nie przystoi mojej godności na hultajów wyprawy czynić. Niech jeno Radziwiłł nadciągnie, wtedy się w wielkiej wojnie pokaże, kto lepszy, czy pan hetman, czy pan regimentarz.

Wołodyjowski ruszył chętnie, bo się nudził w obozie i tęsknił za krwi rozlewem. Komenderowane chorągwie wychodziły też ochoczo ze śpiewaniem, a regimentarz stał konno na wale i błogosławił odchodzących, żegnając ich krzyżem na drogę. Byli nawet tacy, którzy dziwili się, że pan Zagłoba tak uroczyście ów podjazd wyprawia, ale on pamiętał, że i Żółkiewski, i inni hetmani mieli zwyczaj żegnać idące do boju chorągwie – zresztą, lubił wszystko czynić uroczyście, bo to powagę jego w oczach

żołnierzy podnosiło.

Zaledwie jednak chorągwie znikły we mgle oddalenia, gdy już zaczął się o nie niepokoić.

– Janie! – rzekł – a może by podesłać jeszcze Wołodyjowskiemu z garść ludzi?

– Daj ojciec pokój – odpowiedział Skrzetuski. – Wołodyjowskiemu na taką wyprawę iść, to to samo, co zjeść miskę jajecznicy. Boże miły, toż on całe życie nic innego nie robił.

– Ba! a jeśli go za wielka siła opadnie?... *Nec Hercules contra plures*¹⁴⁵.

– Co tu o takim żołnierzu gadać. Spenetruje on wszystko dobrze, zanim uderzy, a jeśli tam siła za wielka, to urwie, co będzie mógł, i wróci albo sam przyśle o posiłki. Możesz ojciec spać spokojnie.

– Aha! wiedziałem też, kogo wysyłam, ale to ci mówię, że musiał mi ten pan Michał czegoś zadać, taką mam do niego słabość. Prócz nieboszczyka pana Podbiپیęty i ciebie nikogom tak nie miłował... Nie może być inaczej, tylko mi ów chłystek czegoś zadał.

Upłynęło trzy dni.

Do obozu zwożono ciągle prowianty, ochotnicy także nadciągali, ale o panu Michale nie było słyhu. Niepokój Zagłoby wzrastał i mimo przedstawień Skrzetuskiego, że żadną miarą

¹⁴⁵ *nec Hercules contra plures* (łac.) – nawet Herkules na nic przeciw wielu. [przypis edytorski]

nie mógł jeszcze Wołodajowski spod Wołkowyska wrócić, wyprawił pan Zagłoba sto koni petyhorskich¹⁴⁶ Kmicica po wiadomości.

Ale podjazd wyszedł i znowu upłynęło dwa dni bez wieści.

Aż siódmego dnia dopiero o szarym, mglistym zmierzchu pachołcy, wyprawieni po potrawy¹⁴⁷ do Bobrownik, przyjechali bardzo spieszenie na powrót do obozu z doniesieniem, że widzieli jakieś wojsko wychodzące z lasów za Bobrownikami.

– Pan Michał! – zakrzyknął radośnie Zagłoba. Lecz pachołcy przeczyli. Nie pojechali na spotkanie właśnie dlatego, że widzieli jakieś znaki obce, których w wojsku pana Wołodajowskiego nie było. A przy tym siła szła większa. Pachołcy jak to pachołcy, nie umieli jej dokładnie oznaczyć; jedni mówili, że ze trzy tysiące, drudzy, że pięć albo i więcej.

– Wezmę dwadzieścia koni i pojedę na spotkanie – rzekł pan rotmistrz Lipnicki.

Pojechał.

Upłynęła godzina i druga, aż wreszcie dano znać, że zbliża się nie podjazd, ale całe wielkie wojsko.

I nie wiadomo dlaczego, gruchnęło nagle po obozie:

– Radziwiłł idzie!

Wieść ta jakby iskra elektryczna poruszyła i wstrząsnęła cały obóz; żołnierze wypadli na wały, na niektórych twarzach znać było przestach; nie stawano w należyтым porządku; jedna tylko

¹⁴⁶ *konie petyhorskie* – średniozbrojna jazda w wojsku litewskim. [przypis edytorski]

¹⁴⁷ *potraw* – siano z drugich sianokosów. [przypis edytorski]

piechota Oskierki zajęła wskazane miejsca. Natomiast między wolontarzami¹⁴⁸ wszczął się w pierwszej chwili popłoch. Z ust do ust przelatywały najrozmaitsze wieści: „Radziwiłł zniósł ze szczętem Wołodyjowskiego i ten drugi, Kmicicowy, podjazd” – powtarzali jedni. – „Ani świadek klęski nie uszedł” – mówili drudzy. – „A ot teraz pan Lipnicki jakoby pod ziemię się zapadł.” – „Gdzie regimentarz? gdzie regimentarz?”

Wtem przypadli pułkownicy ład czynić, a że prócz niewielu wolontarzy zresztą sam stary żołnierz był w obozie, wnet stanęli w sprawie, czekając, co się okaże.

Pan Zagłoba, gdy go doszedł okrzyk: „Radziwiłł idzie!” – zmieszał się bardzo, ale w pierwszej chwili wierzyć nie chciał. Cóż by się stało z Wołodyjowskim? Czyliby się pozwolił tak ogarnąć, żeby ani jeden człowiek nie przybiegł z ostrzeżeniem? A ów drugi podjazd? A pan Lipnicki?

„Nie może być! – powtarzał sobie pan Zagłoba, obcierając czoło, które pociło mu się obficie. – Ten smok, ten mężobójca, ten lucyfer miałby już z Kiejdan zdążyć? Zali to ostatnia godzina się zbliża?!”

Tymczasem ze wszystkich stron coraz liczniejsze głosy wołały: „Radziwiłł! Radziwiłł!” Pan Zagłoba przestał wątpić. Zerwał się i wpadł do kwatery Skrzetuskiego.

– Janie, ratuj! teraz pora!

– Co się stało? – pytał Skrzetuski.

– Radziwiłł idzie! Na twoją głowę wszystko zdaję, bo o tobie

¹⁴⁸ wolontarz – ochotnik, wolontariusz. [przypis edytorski]

książę Jeremi mówił, żeś wódz urodzony. Ja sam będę doglądał, ale ty radź i prowadź!

– To nie może być Radziwiłł – rzekł Skrzetuski. – Skądże wojsko nadciąga?

– Od Wołkowyska. Mówią, że ogarnęli Wołodyjowskiego i tamten drugi podjazd, który niedawno posłałem.

– Wołodyjowski dałby się ogarnąć? To ojciec jego nie znasz. On to sam wraca, nikt inny.

– Kiedy mówią, że potęga okrutna.

– Chwała Bogu! to, widać, pan Sapieha nadciągnął.

– Na Boga! co mówisz? przecieby dali znać. Lipnicki pojechał naprzeciw...

– Właśnie to dowód, że nie Radziwiłł idzie. Poznali kto, przyłączyli się i razem wracają. Chodźmy! chodźmy!

– Zaraz to mówiłem! – zakrzyknął Zagłoba. – Wszyscy się stropili, a ja pomyślałem: nie może być! Zaraz to pomyślałem! Chodźmy! żywo, Janie! żywo! A tamci się skonfundowali... ha!

Obaj wyszli spiesznie i wstąpiwszy na wały, na których już wojska tkwiły, poczęli iść w podłuż; ale twarz Zagłoby była promienna, przystawał co chwila i wołał, ażeby go wszyscy słyszeli:

– Mości panowie! gości mamy! serca mi nie tracić! Jeśli to Radziwiłł, to ja mu drogę na powrót do Kiejdan pokażę!

– Pokażemy mu! – krzyczało wojsko.

– Stosy na wałach rozpalić! Nie będziem się chowali, niech nas widzą, gotowiśmy! Stosy rozpalić!

Wnet naniesiono dREW i w kwadrans później zapłonął cały obóz, aż niebo zaczerwieniło się jakoby od zorzy. Żołnierze, odwracając się od światła, patrzyli w ciemność, w stronę Bobrownik. Niektórzy wołali, że słyszą już chrzest i tętent.

Wtem w ciemnościach rozległy się z daleka strzały muszkietów. Pan Zagłoba porwał za połę pana Skrzetuskiego.

– Ogień rozpoczynają! – rzekł niespokojnie.

– Na wiwaty – odparł Skrzetuski.

Po strzałach rozległy się okrzyki radosne. Nie było co dłużej wątpić; w minutę później nadbiegło na spienionych koniach kilkunastu jeźdźców wołając:

– Pan Sapieha! pan wojewoda witebski!

Zaledwie to usłyszeli żołnierze, gdy jak wezbrana rzeka płynęli z wałów i biegli naprzeciw, wrzeszcząc tak, że ktoś, co by słyszał z dala te głosy, mógłby mniemać, że to wycinanego w pień miasta wrzaski.

Zagłoba, siadwszy na koń, wyjechał także na czele pułkowników przed wały, przybrany we wszystkie oznaki swej godności: pod buńczukiem, z buławą i czaplim piórem przy czapce.

Po chwili pan wojewoda witebski wjechał w krąg światła na czele swych oficerów, mając i pana Wołodyjowskiego przy boku. Był to człowiek już w wieku poważnym, średniej tuszy, o twarzy niepięknej, ale rozumnej i dobrotliwej. Wąsy miał już siwe, równo nad górną wargą przystrzyżone, i takąż niewielką bródkę, co czyniło go podobnym do cudzoziemca, choć się po polsku

ubierał. Jakkolwiek wielu dziełami wojennymi wsławiony, wyglądał więcej na statystę niż na wojownika; ci, którzy go bliżej znali, mówili też, że w obliczu pana wojewody Minerwa nad Marsem przemaga¹⁴⁹. Ale obok Minerwy i Marsa była w tej twarzy rzadsza w owych czasach ozdoba, to jest uczciwość, która z duszy płynąc, odbijała się w oczach jak światło słońca w wodzie. Na pierwszy rzut oka poznali, że był to mąż zacny i sprawiedliwy.

– My tak czekali jak za ojcem! – wołali żołnierze.

– A tak i przyszedł nasz wódz! – powtarzali z rozczuleniem inni.

– *Vivat! vivat!*

Pan Zagłoba skoczył ku niemu na czele pułkowników, a on konia wstrzymał i począł się kłaniać rysim kołpaczkiem.

– Jaśnie wielmożny wojewodo! – rozpoczął przemowę Zagłoba. – Choćbym starożytnych Rzymian, ba! i samego Cycerona albo, sięgając dawniejszych czasów, słynnego owego Ateńczyka Demostenesa posiadał wymowę, jeszcze bym nie umiał tej radości wypowiedzieć, jaką wezbrały serca nasze na widok dostojnej jaśnie wielmożnego pana osoby. Cieszy się w sercach naszych cała Rzeczpospolita, najmędrszego witając senatora i najlepszego syna, tym większą, bo niespodzianą radością. Oto staliśmy na tych okopach pod bronią nie witać,

¹⁴⁹ *Minerwa nad Marsem przemaga* – mądrość góruje nad walecznością; *Minerwa* (mit. rzym.) – bogini mądrości, odpowiednik gr. Ateny; *Mars* (mit. rzym.) – bóg wojny, odpowiednik gr. Aresa. [przypis edytorski]

ale walczyć gotowi... Nie radosnych słuchać okrzyków, ale spiżowych gromów... Nie łzy wylewać, ale krew naszą!... Gdy zatem stujęczyczna fama rozniosła, że obrońca to ojczyzny, nie zdrajca, nadchodzi, że wojewoda witebski, nie hetman wielki litewski, że Sapieha, nie Radziwiłł...

Lecz panu Sapieże pilno widać było wjechać, bo nagle kiwnął ręką z dobroduszną, choć wielkopańską niedbałością i rzekł:

– Idzie i Radziwiłł. We dwóch dniach już tu będzie!

Pan Zagłoba zmieszał się, bo raz, że mu się wątek mowy przerwał, a po wtóre, iż wieść o Radziwille wielkie na nim uczyniła wrażenie. Stał więc przez chwilę przed panem Sapiehą, nie wiedząc, co dalej mówić; lecz prędko oprzytomniał i wyciągnawszy spieszenie buławę zza pasa, rzekł uroczyście, przypominając sobie, co było pod Zbarażem.

– Mnie wojsko wodzem swym uczyniło, lecz ja w godniejsze ręce ów znak oddaję, aby młodszemu dać przykład, jak *pro publico bono*¹⁵⁰ największych zaszczytów zrzec się należy.

Żołnierze zaczęli pokrzykiwać, lecz pan Sapieha uśmiechnął się tylko i rzekł:

– Panie bracie! aby was tylko Radziwiłł nie posądził, że ze strachu przed nim buławę oddajecie... Byłby rad!

– Już on mnie zna – odparł Zagłoba – i o bojażń nie posądzi, bom go pierwszy w Kiejdanach splantował i innymi przykładem pociągnąłem.

– Kiedy tak, to prowadźcie do obozu – rzekł Sapieha.

¹⁵⁰ *pro publico bono* (łac.) – dla dobra wspólnego. [przypis edytorski]

– Powiadał mi przez drogę Wołodyjowski, żeście przedni gospodarz i że jest u was się czym pożywić, a myśmy strudzeni i głodni.

To rzekłszy, ruszył koniem, a za nim ruszyli inni i wjechali wszyscy do obozu wśród niezmiernej radości. Pan Zagłoba przypomniał sobie, co o panu Sapieżu mówią, że się w ucztach i kielichach kocha, więc postanowił godnie uczcić dzień jego przybycia. Jakoż wystąpił z ucztą tak wspaniałą, jakiej dotąd w obozie nie było. Jedli wszyscy i pili. Przy kielichach opowiadał pan Wołodyjowski, co pod Wołkowyskiem zaszło, jak nagle otoczyły go znacznie większe siły, które zdrajca Zołtareńko na pomoc wysłał, jak już ciężko było, gdy nagle przyjsie pana Sapiehy zmieniło rozpaczliwą obronę w najświetniejsze zwycięstwo.

– Daliśmy im takie *pro memoria*¹⁵¹ – mówił – że odtąd ucha z obozu nie wytkną.

Po czym rozmowa zeszła na Radziwiłła. Pan wojewoda witebski miał bardzo świeże wiadomości i wiedział przez zaufanych ludzi o wszystkim, co się w Kiejdanach stało. Opowiadał więc, że wysłał hetman litewski niejakiego Kmicica z listem do króla szwedzkiego i z prośbą, aby z dwóch stron razem uderzyć na Podlasie.

– Dziw mi to nad dziwy! – zawołał pan Zagłoba – bo gdyby nie ten Kmicic, to do tej pory nie zebralibyśmy się w kupę i mógł nas zjeść Radziwiłł, gdyby był nadszedł, jednego po drugim jako

¹⁵¹ *pro memoria* (łac.: dla pamięci, na pamiątkę) – tu: nauczka. [przypis edytorski]

siedleckie obwarzanki.

– Powiadał mi to wszystko pan Wołodyjowski – odrzekł Sapieha – z czego wnoszę, że ma on chyba do was osobisty afekt. Szkoda, że dla ojczyzny go nie ma. Ale tacy ludzie, którzy nic nad siebie nie widzą, nikomu dobrze nie służą i każdego tak zdradzić gotowi, jako w tym przypadku Kmicic Radziwiłła.

– Jeno między nami nie masz zdrajców i wszyscyśmy do gardła przy jaśnie wielmożnym wojewodzie stać gotowi! – rzekł Żeromski.

– Wierzę, że tu sami zacni żołnierze – odparł wojewoda – i anim się spodziewał, bym tu taki ład i dostatek zastał, za co jegomości panu Zagłobie muszę być wdzięczny.

Pan Zagłoba aż pokraśniał z zadowolenia, bo jakoś mu się dotąd wydawało, że jakkolwiek wojewoda witebski traktuje go łaskawie, przecie nie z takim uznaniem i powagą, jakiej by sobie pan eksregimentarz życzył. Począł więc opowiadać, jak rządził, co uczynił, jakie zapasy zebrał, jak działa sprowadził i piechotę uformował, wreszcie jak obszerną musiał prowadzić korespondencję.

I nie bez chętności wspomniał o listach wysłanych do króla wygnanego, do Chowańskiego i do elektora.

– Po moim liście musi się jegomość elektor jasno opowiedzieć za nami albo przeciw nam – rzekł z dumą.

Ale wojewoda witebski był człek wesoły, może też i podochocił trochę, więc pogładził wąsa, uśmiechnął się złośliwie i rzekł:

– Panie bracie, a do cesarza niemieckiego nie pisaliście?

– Nie! – rzekł zdziwiony Zagłoba.

– A to szkoda! – odrzekł wojewoda – rozmawiałby równy z równym.

Pułkownicy wybuchnęli gromkim śmiechem, lecz pan Zagłoba zaraz okazał, iż jeśli pan wojewoda chciał być kosą, to w nim trafił na kamień.

– Jaśnie wielmożny panie! – rzekł – do elektora mogę pisać, bom i sam, jako szlachcic, elektor i nie tak to dawno jeszcze, jakom dawał głos za Janem Kazimierzem.

– Toś waćpan dobrze wywiódł! – odpowiedział wojewoda witebski.

– Ale z takim potentatem jak cesarz nie koresponduję – mówił dalej pan Zagłoba – żeby o mnie nie powiedział pewnego przysłowia, którem na Litwie słyszał...

– Cóż to za przysłowie?

– „Jakaś głowa kiepska – musi być z Witebska!” – odparł niezmieszany Zagłoba.

Słyszac to, pułkownicy aż złękli się, ale wojewoda witebski przechylił się w tył i wziął się w boki ze śmiechu.

– A to mnie splantował!... Niechże waści uściskam!... Jak będę chciał brodę golić, to języka od waści pożyczę!

Uczta przeciągnęła się do późna w noc; przerwało ją dopiero przybycie kilku szlachty spod Tykocina, którzy przywieźli wieść, że podjazdy Radziwiłła sięgają już tego miasta.

Rozdział VII

Radziwiłł dawno by był uderzył na Podlasie, gdyby nie to, że rozmaite powody zatrzymywały go w Kiejdanach. Naprzód czekał na posiłki szwedzkie, z których przysłaniem Pontus de la Gardie umyślnie zwłóczył. Jakkolwiek jenerała szwedzkiego łączyły węzły pokrewieństwa z samym królem, przecie ani świetnością rodu, ani znaczeniem, ani obszernymi związkami krwi nie mógł sprostać temu magnatowi litewskiemu, a co do fortuny, to jakkolwiek w tej chwili w skarbcu radziwiłłowskim nie było gotowizny, jednakowoż połową dóbr książęcych mogliby się obdzielić wszyscy jenerałowie szwedzcy i jeszcze uważać się za bogatych. Owóż, gdy z kolei losów tak wypadło, że Radziwiłł znalazł się zależnym od Pontusa, nie umiał sobie jenerał odmówić tej satysfakcji, aby owemu panu nie dać uczuć tej zależności i własnej przewagi.

Radziwiłł zaś nie potrzebował posiłków do pobicia konfederatów, bo na to miał i własnych sił dosyć, ale byli mu Szwedzi potrzebni z tych powodów, o których wspominał Kmicic w liście do pana Wołodyjowskiego. Od Podlasia przegradzały Radziwiłła zastępy Chowańskiego¹⁵², które mogły mu bronić drogi; gdyby zaś Radziwiłł szedł z wojskami

¹⁵² Chowański, Iwan Andriejewicz (zm. 1682) – rosyjski wojskowy, bojar i wojewoda, jeden z dowódców w wojnie polsko-rosyjskiej (1654–1667). [przypis edytorski]

szwedzkimi i pod egidą króla szwedzkiego, wówczas wszelki krok nieprzyjacielski ze strony Chowańskiego musiałby być uważany jako wyzwanie Karola Gustawa¹⁵³. Radziwiłł w duszy chciał tego, dlatego niecierpliwie oczekiwał przybycia choćby jednej chorągwi szwedzkiej i zżymając się na Pontusa, mawiał nieraz do swych dworzan:

– Parę lat temu za fawor by sobie poczytywał, gdyby pismo ode mnie otrzymał, i potomkom by je w testamencie przekazał, a dziś zwierchnika maniery przybiera!

Na co pewien szlachcic, gębacz i weredyk znany na całą okolicę, tak raz sobie pozwolił odpowiedzieć:

– Wedle przysłowia, mości książę, jak kto sobie pościele, tak się wyśpi.

Radziwiłł wybuchnął gniewem i do wieży go wtrącić rozkazał, ale na drugi dzień wypuścił i guzem złocistym obdarzył, bo o szlachcicu mówiono, że ma gotowiznę, a książę pieniędzy od niego chciał na skrypt pożyczyć. Szlachcic guz przyjął, ale pieniędzy nie dał.

Posiłki szwedzkie nadeszły wreszcie w liczbie ośmiuset koni, ciężkich rajtarów¹⁵⁴; trzysta piechoty i sto lżejszej jazdy wyekspediował¹⁵⁵ Pontus wprost do tykocińskiego zamku, chcąc

¹⁵³ *Karol X Gustaw Wittelsbach* (1622–1660) – król Szwecji w latach 1654–1660. [przypis edytorski]

¹⁵⁴ *rajtar* – średniozbrojny żołnierz konny, posługujący się w walce głównie bronią palną. [przypis edytorski]

¹⁵⁵ *wyekspediować* (z łac.) – wyprawić, wysłać. [przypis edytorski]

na wszelki przypadek mieć w nim własną załogę.

Wojska Chowańskiego rozstały się przed owymi ludźmi, nie czyniąc im żadnego wstrętu, którzy też dostali się szczęśliwie do Tykocina, bo to działo się wówczas, gdy jeszcze konfederackie chorągwie stały rozproszone po całym Podlasiu i zajmowały się tylko rabunkiem dóbr radziwiłłowskich.

Spodziewano się, że książę, doczekawszy się pożądanых posiłków, ruszy zaraz, ale on jeszcze zwłóczył. Powodem tego były wieści z Podlasia o nieładzie panującym w tym województwie, o braku jedności między konfederatami i nieporozumieniach, jakie wynikły między Kotowskim, Lipnickim i Jakubem Kmicicem.

– Trzeba im dać czas – mówił książę – by się za łby wzięli. Wygryzą się oni sami i ta siła szczególnie bez wojny, a my tymczasem na Chowańskiego uderzymy.

Lecz nagle zaczęły przychodzić przeciwne wiadomości; pułkownicy nie tylko się nie pobili ze sobą, ale zebrali się w jedną kupę pod Białymstokiem. Książę w głowę zachodził, co mogło być powodem takiej odmiany. Nareszcie nazwisko Zagłoby jako regimentarza doszło do uszu książęcych. Dano też znać o założeniu warownego obozu, o prowiantowaniu wojska, o działach wygrzebanych w Białymstoku przez Zagłobę, o wzrastaniu potęgi konfederackiej i o ochotnikach napływających z zewnątrz. Książę Janusz wpadł w taki gniew, że Ganchof, nieustraszony żołnierz, nie śmiał przez dobę zbliżyć się do niego.

Na koniec wyszedł rozkaz do chorągwi, by się gotowały

do drogi. W jeden dzień cała dywizja stanęła gotowa; jeden regiment piechoty niemieckiej, dwa szkockiej, jeden litewskiej; pan Korf prowadził artylerię; Ganchof objął dowództwo jazdy. Prócz dragonii¹⁵⁶ Charłampowej i rajtarów szwedzkich był lekki znak Niewiarowskiego i poważna chorągiew własna książęca, w której namiestnikiem był Ślizień. Była to siła znaczna i złożona z samych weteranów. Z nie większą potęgą książę za czasów pierwszych wojen z Chmielnickim¹⁵⁷ odniósł owe zwycięstwa, które imię jego nieśmiertelną przyozdobiły sławą; z nie większą siłą zbił Półksiężycę, Nebabę¹⁵⁸; rozgromił na głowę pod Łojowem kilkudziesięcioletnią watahę przesławnego Krzeczowskiego, wyciął Mozyrz, Turów, wziął szturmem Kijów i tak przycisnął w stepach Chmielnickiego, że ten w układach musiał szukać ratunku.

Lecz gwiazda tego potężnego wojownika zachodziła widocznie, i sam nie miał dobrych przeczuć. Zapuszczał oczy w przyszłość i nie widział nic jasno. Pójdzie na Podlasie, rozniesie na końskich kopytach buntowników, każe obedrzeć ze skóry nienawistnego Zagłobę – i cóż z tego? Co dalej? Jaka nadejdzie losów odmiana? Czy wówczas uderzy na Chowańskiego, pomści cybichowską klęskę i nowym wawrzynem głowę przyozdobi?

¹⁵⁶ *dragonia* – wojsko walczące pieszo, a poruszające się konno. [przypis edytorski]

¹⁵⁷ *Chmielnicki, Bohdan Zenobi* (1595–1657) – ukraiński bohater narodowy, hetman Kozaków zaporoskich, organizator powstania przeciwko polskiej władzy w latach 1648–1654. [przypis edytorski]

¹⁵⁸ *Nebaba, Martyn* (zm. 1651) – ataman kozacki, jeden z przywódców powstania Chmielnickiego. [przypis edytorski]

Książę mówił tak, ale wątpił, bo właśnie zaczęły już chodzić szeroko słuchy o tym, że północne zastępy¹⁵⁹, bojąc się wzrostu szwedzkiej potęgi, przestaną wojować, a może nawet wejdą w przymierze z Janem Kazimierzem. Sapieha urywał je jeszcze i gromił, gdzie mógł, ale jednocześnie już układał się z nimi. Miał też same plany i pan Gosiewski.

Owóz w razie ustąpienia Chowańskiego zamknęłoby się i to pole działania, znikłaby dla Radziwiłła ostatnia sposobność okazania swej siły; gdyby zaś Jan Kazimierz zdołał zawrzeć przymierze i popchnąć na Szwedów dotychczasowych wrogów, podówczas szczęście mogłoby się przechylić na jego stronę przeciw Szwedom, a tym samym przeciw Radziwiłłowi.

Z Korony dochodziły wprawdzie księcia najpomyślniejsze wieści. Powodzenie Szwedów przechodziło wszelkie nadzieje. Województwa poddawały się jedne za drugimi; w Wielkopolsce panowali jak w Szwecji, w Warszawie rządził Radziejowski¹⁶⁰; Małopolska nie stawiała oporu; Kraków upaść miał lada chwila; król, opuszczony od wojska i szlachty, ze złamaną w sercu ufnością do swego narodu, uszedł na Śląsk, i sam Karol Gustaw dziwił się łatwości, z jaką skruszył ową potęgę, zawsze dotąd w walce ze Szwedami zwycięską.

Ale właśnie w tej łatwości widział Radziwiłł

¹⁵⁹ *północne zastępy* – omowne określenie Rosjan, o wojnie z którymi Sienkiewicz nie mógł w 1884 r. pisać wprost ze względu na cenzurę carską. [przypis edytorski]

¹⁶⁰ *Radziejowski, Hieronim* (1612–1667) – stronnik Szwedów, podkanclerzy, wygnany za spiskowanie przeciwko królowi. [przypis edytorski]

niebezpieczeństwo dla siebie, bo przeczuwał, że zaślepieniem powodzeniem Szwedzi nie będą się z nim liczyli, nie będą uważali na niego, zwłaszcza że nie okazał się tak potężnym i tak władnym na Litwie, jak wszyscy, nie wyjmując i jego samego, myśleli.

Czy tedy król szwedzki odda mu Litwę albo chociaż Białą Ruś?! Zali¹⁶¹ nie będzie wołał jakim wschodnim okrawkiem Rzeczypospolitej zaspokoić raczej wiecznie głodnego sąsiada, aby mieć ręce rozwiązane w reszcie Polski?

To były pytania, które ustawicznie dręczyły duszę księcia Janusza. Dnie i noce trawił w niepokoju. Pomyślał, że i Pontus de la Gardie nie śmiałby go traktować tak dumnie, prawie lekceważąco, gdyby się nie spodziewał, że król potwierdzi takie postępowanie, albo co gorzej, gdyby nie miał gotowych już instrukcyj.

„Póki stoję na czele kilku tysięcy ludzi – myślał Radziwiłł – póty jeszcze będą się na mnie oglądali, ale gdy zbraknie mi pieniędzy i gdy najemne pułki rozbiegną się – co będzie?”

A właśnie intrata¹⁶² z olbrzymich dóbr nie nadeszła; część ich niezmierna, rozproszona po całej Litwie i hen, aż do Polesia kijowskiego, leżała w ruinie; podlaskie zaś wypłukali do cna konfederaci.

Chwilami zdawało się księciu, że upada w przepaść. Ze wszystkich jego robót i knowań mogło mu tylko pozostać miano

¹⁶¹ *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

¹⁶² *intrata* (z łac.) – dochód. [przypis edytorski]

zdrajcy – nic więcej.

Straszyła go też i inna mara – mara śmierci. Co noc prawie ukazywała się ona przed firankami jego łoża i kiwała nań ręką, jakby chciała rzec: Pójdź w ciemność, na drugą stronę nieznanej rzeki...

Gdyby był stał na szczycie sławy, gdyby ową pożądaną tak namiętnie koronę mógł choć na dzień jeden, choć na godzinę włożyć na skronie, byłby przyjął to straszne, milczące widmo nieulekłym okiem. Ale umrzeć i zostawić po sobie niesławę i pogardę ludzką wydawało się dla tego pana, jak sam szatan pysznego, piekłem za życia.

Nieraz też, gdy był samotny albo tylko ze swym astrologiem, w którym ufność największą pokładał, chwycił się za skronie i powtarzał przyduszonym głosem:

– Gorzej! gorzej! gorzej!

W tych warunkach zbierał się do pochodu na Podlasie, gdy mu na dzień przed wymarszem dano znać, że książę Bogusław zjechał z Taurogów.

Na samą wieść o tym książę Janusz, jeszcze nim brata ujrzał, jakoby odżył, bo ów Bogusław przywoził z sobą młodość, ślepą wiarę w przyszłość. W nim miała odrodzić się linia birżańska, dla niego już tylko książę Janusz pracował.

Dowiedziawszy się, że nadciąga, chciał koniecznie jechać naprzeciw, lecz że etykieta nie pozwalała przeciw młodszemu wyjeżdżać, posłał więc po niego złoconą kolasę i całą chorągiew Niewiarowskiego dla asysty, a z szańczyków sypanych przez

Kmicica i z samego zamku kazał walić z móżdziejy, zupełnie tak, jakby na przyjazd króla.

Gdy bracia po ceremonialnym powitaniu zostali wreszcie sam na sam, Janusz chwycił Bogusława w objęcia i począł powtarzać wzruszonym głosem:

– Zaraz mi młodość wróciła! Zaraz i zdrowie wróciło!

Lecz ksiązę Bogusław popatrzył na niego pilnie i rzekł:

– Co waszej książęcej mości jest?

– Nie moścmy się mościami, skoro nas nikt nie słyszy... Co mi jest? Choroba mnie draży, aż zwalę się jak spróchniałe drzewo... Ale mniejsza z tym! Jak się żona moja ma i Maryśka?

– Wyjechały z Taurogów do Tylży. Zdrowe obie, a *Marie* jako pączek różany; cudnaż to będzie róża, gdy rozkwitnie... *Ma foi*¹⁶³! Piękniejszej nogi w świecie nikt nie ma, a kosy do samej ziemi jej spływają...

– Takaż ci się wydała urodziwa? To i dobrze, Bóg cię natchnął, żeś tu wpadł. Lepiej mi na duszy, gdy cię widzę!... Ale co mi *de publicis*¹⁶⁴ przywozisz?... Cóż elektor?

– To wiesz, że zawarł przymierze z miastami pruskimi?

– Wiem.

– Jeno że mu nie bardzo ufają. Gdańsk nie chciał przyjąć jego załogi... Mają Niemcy nos dobry.

– I to wiem. A nie pisałeś do niego? Co o nas myśli?

– O nas?... – powtórzył z roztargnieniem ksiązę Bogusław.

¹⁶³ *ma foi* (fr.) – słowo daję, dalibóg, doprawdy. [przypis edytorski]

¹⁶⁴ *de publicis* (łac.) – o sprawach publicznych. [przypis edytorski]

I jął rzucać oczyma po komnacie, po czym wstał; książę Janusz myślał, że czegoś szuka, ale on pobiegł do zwierciadła stojącego w kącie i odchyliwszy je odpowiednio, począł macać palcem prawej ręki po całej twarzy, wreszcie rzekł:

– Skóra mi trochę przez drogę opierzchła, ale do jutra to przejdzie... Co elektor o nas myśli? Nic... Pisał mi, że o nas nie zapomni.

– Jak to, nie zapomni?

– Mam list ze sobą, to ci go pokażę... Pisze, że co bądź się stanie, on o nas nie zapomni. A ja mu wierzę, bo jego korzyść tak mu nakazuje. Elektor tyle o Rzeczpospolitą dba, ile ja o starą perukę, i chętnie by ją Szwedom oddał, byle mógł Prusy zacapić; ale szwedzka potęga zaczyna go niepokoić, więc rad by na przyszłość mieć gotowego sprzymierzeńca, a będzie go miał, jeśli ty zasiądziesz na tronie litewskim.

– Oby tak się stało!... Nie dla siebie ja tego tronu chcę!

– Całej Litwy nie uda się może na początek wytargować, ale chociaż dobry kawał z Białorusią i Żmudzią.

– A Szwedzi?

– Szwedzi będą się też radzi nami od wschodu przegrodzić.

– Balsam mi wlewasz...

– Balsam! Aha!... Jakiś czarnoksiężnik w Taurogach chciał mi sprzedać balsam, o którym powiadał, że kto się nim wysmaruje, ma być od szabli, szpady i włóczni bezpieczny. Kazałem go zaraz wysmarować i trabantowi¹⁶⁵ pchnąć dzidą,

¹⁶⁵ *trabant* (daw.) – żołnierz straży przybocznej. [przypis edytorski]

wyimainuj¹⁶⁶ sobie... na wylot przeszła!...

Tu książę Bogusław począł się śmiać, ukazując przy tym białe jak kość słoniowa zęby. Ale Januszowi nie w smak była ta rozmowa, więc znowu zaczął *de publicis*.

– Wysłałem listy do króla szwedzkiego i do wielu innych naszych dygnitarzy – rzekł. – Musiałeś i ty odebrać pismo przez Kmicica.

– A czekajże! Toć ja poniekąd w tej sprawie przyjechałem. Co ty o Kmicicu myślisz?

– To gorączka, szalona głowa, człowiek niebezpieczny i wędziłła znieść nie umiejący, ale to jeden z tych rzadkich ludzi, którzy z dobrą wiarą nam służą.

– Pewno – odrzekł Bogusław – mnie się nawet o mało do królestwa niebieskiego nie przysłużył.

– Jak to? – pytał z niepokojem Janusz.

– Mówią, panie bracie, że byle w tobie żółć poruszyć, zaraz cię dusić poczyną. Przyrzeczże mi, że będziesz słuchał cierpliwie i spokojnie, a ja ci opowiem coś o twoim Kmicicu, z czego poznasz go lepiej, niż dotąd poznałeś.

– Dobrze! będę cierpliwy, jeno przystąpię do rzeczy.

– Cud boski mnie z rąk tego wcielonego diabła wydostał – odrzekł książę Bogusław.

I rozpoczął opowiadać o wszystkim, co się w Pilwiskach zdarzyło.

¹⁶⁶ *wyimainować sobie* (z łac. *imagino, imaginare*) – wyobrazić sobie. [przypis edytorski]

Nie mniejszy to był cud, że książę Janusz ataku astmy nie dostał, ale natomiast można było sądzić, że go apopleksja zabije. Trząsł się cały, zębami zgrzytał, palcami oczy zatykał, na koniec począł wołać zachrypłym głosem:

– Tak?!... dobrze!... Zapomniał jeno, że jego koczołka jest w moich rękach...

– Pohamuj się, na miły Bóg, i słuchaj dalej – odrzekł Bogusław. – Spisałem się więc z nim dość po kawalersku i jeśli tej przygody w diariuszu nie zapiszę ani nią się chwalić nie będę, to tylko dlatego, że mi wstyd, iżem się temu gburowi dał tak podejść jak dziecko, ja, o którym Mazarin¹⁶⁷ mówił, że w intrydze i przebiegłości nie mam równego na całym dworze francuskim. Ale mniejsza z tym... Sądziłem owóz z początku, żem tego twego Kmicica zabił, tymczasem mam teraz dowód w rękę, że się wylizał.

– Nic to! znajdziemy go! wykopimy! dostaniem choćby spod ziemi!... A tymczasem ja mu tu boleśniejszy cios zadam, niż gdybym go ze skóry kazał żywcem obedrzeć.

– Żadnego ciosu mu nie zadasz, jeno zdrowiu własnemu zaszkodziś. Słuchaj! Jadąc tutaj, zauważyłem jakiegoś prostaka na srokatym koniu, który ciągle trzymał się nie opodal od mojej kolasy. Zauważyłem właśnie dlatego, że koń był srokaty, i kazałem go wreszcie wołać. – Gdzie jedziesz? – Do Kiejdan.

¹⁶⁷ *Mazarin, Jules* (1602–1661) – właśc. Giulio Raimondo Mazzarini, Włoch, francuski kardynał, pierwszy minister i reformator Francji, którą faktycznie rządził w zastępstwie małoletniego Ludwika XIV. [przypis edytorski]

– Co wiesz? – List do księcia wojewody. – Kazałem sobie ten list oddać, a że arkanów¹⁶⁸ pomiędzy nami nie ma, więc przeczytałem... Masz!

To rzekłszy, podał księciu Januszowi list Kmicica, pisany z lasu w chwili, gdy z Kiemliczami w drogę ruszał.

Książę przebiegł go oczyma, mnąc z wściekłością, wreszcie począł wołać:

– Prawda! na Boga, prawda! On ma moje listy, a tam są rzeczy, o które i król szwedzki nie tylko podejrzenie, ale i śmiertelną urazę powziąć może...

Tu chwyciła go czkawka i atak spodziewany nadszedł. Usta otwały mu się szeroko i chwyciły szybko powietrze, ręce rwały szaty pod gardłem; książę Bogusław, widząc to, zaklaskał w ręce, a gdy służba nadbiegła, rzekł:

– Ratujcie księcia pana, a jak dech odzyska, proście go, by przyszedł do mojej komnaty, ja tymczasem spocznę nieco.

I wyszedł.

W dwie godziny później Janusz, z oczyma nabiegłymi krwią, z obwisłymi powiekami i siną twarzą, zapukał do komnaty Bogusławowej. Bogusław przyjął go, leżąc w łożu z twarzą wysmarowaną migdałowym mlekiem, które miało nadawać skórze miękkość i połysk. Bez peruki na głowie, bez barwiczki na twarzy i z odczernionymi brwiami wyglądał wiele starzej niż w całkowitym stroju, ale książę Janusz nie zwrócił na to uwagi.

– Zastanowiłem się jednak – rzekł – że Kmicic nie może tych

¹⁶⁸ *arkana* (z łac. *arcanum*) – tajemnice, sekrety. [przypis edytorski]

listów opublikować, bo gdyby to uczynił, tym samym by wyrok śmierci na tę dziewczkę napisał. Zrozumiał on to dobrze, że tylko tym sposobem ma mnie w rękę, ale też i ja nie mogę zemsty wyrzucić, i to mnie gryzie, jakobym rozżartego psa w piersi nosił.

– Te listy trzeba będzie jednak koniecznie odzyskać! – rzekł Bogusław.

– Ale *quo modo*¹⁶⁹?

– Musisz naśląć na niego jakiego zręcznego człeka; niech jedzie, niech z nim w przyjaźń wejdzie i przy zdarzonej sposobności listy zachwyci, a samego nożem pchnie. Trzeba nagrodę wielką obiecać...

– Kto się tu tego podejmie?

– Żeby to tak w Paryżu albo choćby i w Niemczech, w jeden dzień znalazłbym ci stu ochotników, ale w tym kraju nawet i tego towaru nie dostanie.

– A trzeba swojego człowieka, bo cudzoziemca będzie się strzegł.

– To zdaj to na mnie, ja może kogo w Prusach wynajdę.

– Ej, żeby to go żywcem schwytać można, a mnie do rąk dostawić! Zapłaciłbym mu za wszystko od razu. Powiadam ci, że zuchwalstwa tego człowieka przechodziły wszelką miarę. Dlatego go wyprawił, bo mną samym potrzasał, bo mi do oczu o byle co jak kot skakał, bo swoją wolę mi tu we wszystkim narzucał... Mało nie sto razy już, już miałem w gębie rozkaz, by go rozstrzelać... Ale nie mogłem, nie mogłem....

¹⁶⁹ *quo modo* (łac.) – jakim sposobem. [przypis edytorski]

– Powiedz mi, czy naprawdę on nam krewny?...

– Kisków naprawdę krewny, a przez Kisków i nasz.

– Swoją drogą to diabeł jest... i niebezpieczny całą gębą przeciwnik!

– On? Mogłeś mu kazać do Carogrodu jechać i sułtana z tronu ściągnąć albo królowi szwedzkiemu brodę oberwać i do Kiejdan ją przywieźć! Co on tu w czasie wojny wyrabiał!

– Tak i patrzy. A przyrzekł nam zemstę do ostatniego oddechu. Szczęściem, dostał ode mnie naukę, że z nami niełatwo. Przyznaj, żem się po radziwiłowskiu z nim obszedł, i gdyby jaki francuski kawaler mógł się podobnym uczynkiem pochwalić, to by o nim łgał po całych dniach, z wyjątkiem godzin snu, obiadu i całowania; bo oni, jak się zejdą, to łżą jeden przez drugiego tak, że aż słońcu wstyd świecić...

– Prawda, żeś go przycisnął, wołałbym jednak, żeby się to nie przygodziło.

– A ja bym wołał, żebyś sobie lepszych zauszników wybierał, mających więcej respektu dla radziwiłowskich kości.

– Te listy! te listy!...

Bracia umilkli na chwilę, po czym Bogusław pierwszy ozwał się:

– Co to za dziewczka?

– Billewiczówna.

– Billewiczówna czy Mieleszkówna, jedna drugiej równa. Uważasz, że mnie rym znaleźć tak łatwo, jak drugiemu splunąć. Ale ja nie o jej nazwisko pytam, jeno czy urodziwa?

– Ja tam na takie rzeczy nie patrzę, ale to pewna, że i królowa polska mogłaby się nie powstydić takiej urody.

– Królowa polska? Maria Ludwika¹⁷⁰? Za czasów Cinq-Marsa¹⁷¹ może i była gładka, a teraz psi na widok baby wyją. Jeżeli twoja Billewiczówna taka, to ją sobie zachowaj... Ale jeżeli naprawdę cudna, to mi ją do Taurogów oddaj, a już tam zemstę na współkę z nią nad Kmicicem obmyślę.

Janusz zamyślił się na chwilę.

– Nie dam ci jej – rzekł wreszcie – bo ty ją siłą zniewolisz, a wówczas Kmicic listy opublikuje.

– Ja miałbym siły używać przeciw jednej waszej dzierlatce? ... Nie chwaląc się, nie z takimi miałem do czynienia, a nie niewoliłem żadnej... Raz tylko, ale to było we Flandrii... Głupia była... Córka złotnika... Nadciągnęli potem piechurowie hiszpańscy i na ich karb to poszło.

– Ty tej dziewczki nie znasz... Z zacnego domu, cnota chodząca, rzekłbyś: mniszka.

– Znamy się i z mniszkami...

¹⁷⁰ *Ludwika Maria Gonzaga de Nevers* (1611–1667) – księżniczka mantuańska, królowa Polski, żona dwóch polskich królów: Władysława IV i Jana II Kazimierza. [przypis edytorski]

¹⁷¹ *Cinq-Mars* – Henri Coiffier de Ruzé, markiz de Cinq-Mars (1620–1642), faworyt Ludwika XIII Burbona, króla Francji, zorganizował spisek przeciwko kardynałowi Richelieu, został ujęty i ścięty. Plotkowano o jego romansie z Marią Ludwiką Gonzagą i o tym, jakoby ich nieślubną córką miała być dama dworu Marii Ludwiki, Maria Kazimiera d'Arquien, późniejsza żona Jana III Sobieskiego. [przypis edytorski]

– A przy tym nienawidzi nas ona, bo to *hic mulier*¹⁷², patriotka... Ona to Kmicica spraktykowała... Nie masz takich wiele między naszymi niewiastami... Rozum zgoła męski... i Jana Kazimierza najżarliwsza partyzantka¹⁷³.

– To mu obrońców przysporzymy...

– Nie może być, bo Kmicic listy opublikuje... Muszę jej strzec jak oka w głowie... do czasu. Potem oddam ci ją albo twoim dragonom, wszystko mi jedno!

– Daję ci więc parol kawalerski, że jej nie będę siłą niewolił, a słowa, które prywatnie daję, zawsze dotrzymuję. W polityce co innego... Wstyd byłoby mi nawet, gdybym sam przez się nie umiał nic wskórać.

– Nie wskórasz.

– To w najgorszym razie wezmę w pysk, a od niewiasty to nie dyshonor... Ty idziesz na Podlasie, co tedy będziesz z nią robił? Ze sobą jej nie weźmiesz, tu nie zostawisz, bo tu przyjdą Szwedzi, a trzeba, żeby *comme otage*¹⁷⁴ dziewczka została zawsze w naszym ręku... Czy nie lepiej, że ją do Taurogów wezmę... a do Kmicica pošlę nie zbója, ale posłańca z pismem, w którym napiszę: oddaj listy, oddam ci dziewczkę.

– Prawda jest! – rzekł książę Janusz – to dobry sposób.

– Jeśli zaś – mówił dalej Bogusław – oddam mu ją niezupełnie

¹⁷² *hic mulier* (łac.: ten kobieta) – mężna, wojownicza kobieta, herod-baba. [przypis edytorski]

¹⁷³ *partyzantka* (daw.) – stronniczka, zwolenniczka. [przypis edytorski]

¹⁷⁴ *comme otage* (fr.) – jako zakładnik. [przypis edytorski]

taką, jaką wziąłem, to będzie i zemsty początek.

– Aleś dał słowo, że gwałtu nie użyjesz?

– Dałem i powtarzam jeszcze, że wstyd by mi było...

– To musisz wziąć i jej stryja, miecznika rosieńskiego, który tu z nią bawi.

– Nie chcę. Szlachcic pewnie waszym obyczajem wiechcie w butach nosi, a ja tego znieść nie mogę.

– Ona sama nie zechce jechać.

– To jeszcze zobaczymy. Zaproś ich dziś na wieczerzę, bym ją obejrzał i uznał, czy warto na ząb brać, a ja tymczasem sposoby na nią obmyślę. Na Boga jeno, nie mów jej tylko o Kmicicowym uczynku, bo to by go w jej oczach podniosło i w wierności dla niego utwierdziło. A przy wieczerzy nie kontruuj mnie w niczym, co bądź bym mówił. Obaczysz moje sposoby i własne młode lata ci się przypomną.

Książę Janusz machnął ręką i wyszedł, a książę Bogusław założył obie ręce pod głowę i począł nad sposobami rozmyślać.

Rozdział VIII

Na wieczerzę, oprócz miecznika rosieńskiego z Oleńką, zaproszono także znaczniejszych oficerów kiejdańskich i kilku dworzan księcia Bogusława. On sam nadszedł tak strojny i wspaniały, że oczy rwał. Peruka jego pozakręcana była w misterne i faliste pukle; twarz delikatnością barwy przypominała mleko i róże; wąsik zdawał się być pelą jedwabną, a oczy gwiazdami. Ubrany był czarno, w kaftan zszywany z pasów materialnych i aksamitnych, u którego rękawy rozcięte spinane były wzdłuż ręki. Naokoło szyi miał wyłożony szeroki kołnierz z najcudniejszych koronek brabanckich wartości nieoszacowanej i takżej mankiety wedle dłoni. Złoty łańcuch spadał mu na piersi, a przez prawe ramię, wzdłuż całego kaftana, szedł aż do lewego biodra pendent od szpady z holenderskiej skóry, ale tak nasiany diamentami, że wyglądał jak smuga mieniącego się światła. Zarówno błyszczała od diamentów i rękojeść szpady, a w kokardach jego trzewików świeciły dwa największe, tak wielkie jak laskowe orzechy. Cała postać wydawała się wyniosłą, a równie szlachetną jak piękną.

W jednej ręce trzymał koronkową chusteczkę, drugą dłonią podtrzymywał zwieszony ówczesną modą na rękojeści kapelusz zdobny we fryzowane czarne pióra strusie, niezmiernie długie.

Wszyscy, nie wyłączając księcia Janusza, patrzyli nań z podziwem i uwielbieniem. Księżu wojewodzie przychodziły na

pamięć młode lata, gdy tak samo gasił wszystkich na dworze francuskim urodą i bogactwem. Lata te były już daleko, ale teraz zdawało się hetmanowi, że odżył w tym świetnym kawalerze, który toż samo nosił nazwisko.

Rozochocił się tedy książę Janusz i przechodząc mimo, dotknął wskazującym palcem piersi brata.

– Łuna od ciebie bije jakby od miesiąca – rzekł. – Czyś nie dla Billewiczówny się tak wystroił?

– Miesiącowi wszędy łatwo się wcisnąć – odparł chętnie Bogusław.

I dalej począł rozmawiać z Ganchofem, przy którym może i umyślnie stanął, ażeby się lepiej wydawać, bo Ganchof był to mąż dziwnie szpetny: twarz miał ciemną i ospą podziobaną, nos krogulczy i zadarte do góry wąsy; wyglądał jak duch ciemności, a Bogusław przy nim jak duch światła.

Wtem weszły damy: pani Korfowa i Oleńka. Bogusław rzucił na nią bystrym wzrokiem i skłoniwszy się naprędce pani Korfowej, już, już przyłożył palce do ust, aby Billewiczównie przestać, wedle kawalerskiej mody, od ust całusa, gdy spostrzegłszy jej urodę wykwinłą a dumną i poważną, w jednej chwili zmienił taktykę. W prawą rękę chwycił kapelusz i podsunąwszy się ku pannie, skłonił się tak nisko, że prawie zgiął się we dwoje, pukle peruki spadły mu po obu stronach ramion, szpada przybrała poziome położenie, a on stał tak, poruszając umyślnie kapeluszem i zamiatając piórami na znak czci posadzkę przed Oleńką. Bardziej dworskiego ukłonu nie mógł oddać

królowej francuskiej. Billewiczówna, która wiedziała o jego przyjeździe, domyśliła się natychmiast, kto przed nią stoi, więc chwyciwszy końcami palców za suknię, oddała mu również dyg głęboki.

Wszyscy podziwiali obojga urodę i układność manier, widną z samego powitania, a niezbyt znaną w Kiejdanach, bo księżna Januszowa więcej kochała się, jako Wołoszka, we wschodnim przepychu niż w dworności, zaś księżniczka była jeszcze małą dziewczyną.

Wtem Bogusław podniósł głowę, strząsnął pukle peruki na plecy i szurgając mocno nogami, podsunął się żywo do Oleńki; jednocześnie rzucił paziowi kapelusz, a jej podał rękę.

– Oczom nie wierzę... i chyba we śnie widzę to, co widzę – mówił, prowadząc ją do stołu – ale powiedz mi, piękna bogini, jakim cudem zesłaś z Olimpu do Kiejdan?

– Choć prostą jestem szlachcianką, nie boginią – odparła Oleńka – nie taka znów prostaczka ze mnie, bym za co innego jak za dworność słowa waszej książęcej mości brać miała.

– Choćbym też chciał być najdworniejszym, zwierciadło twoje powie ci więcej ode mnie.

– Powie nie więcej, ale szczerzej – odrzekła, ściągając wedle ówczesnej mody usta.

– Gdyby w tej komnacie było chociaż jedno, wraz bym cię do niego zaprowadził... Tymczasem przejrzyj się w oczach moich, a poznasz, czyli ich podziw nieszczerzy!

Tu Bogusław przechylił głowę i przed Oleńką zabłysły oczy

jego, wielkie i czarne jak aksamit, a słodkie, przenikliwe i jednocześnie palące. Pod wpływem ich żaru twarz dziewczyny powlokła się purpurowym rumieńcem, spuściła powieki i odsunęła się nieco, bo uczuła, że Bogusław ramieniem przycisnął z lekka do swego boku jej rękę.

Tak przyszli do stołu. On zasiadł przy niej i znać było, że naprawdę jej uroda nadzwyczajne na nim uczyniła wrażenie. Spodziewał się zapewne znaleźć szlachciankę hożą jak łania, śmiejącą się i wrzaskliwą jak sojka, i czerwoną jak kwiat maku, tymczasem znalazł dumną pannę, w której czarnych brwiach widać było nieugiętą wolę, w oczach rozum i powagę, w całej twarzy jasny spokój dziecinny, a tak przy tym szlachetną w postawie, tak wdzięczną i cudną, że na każdym dworze królewskim mogłaby się stać celem hołdów i zabiegów najpierwszych w kraju kawalerów.

Piękność jej niewysłowiona budziła podziw i żądze, ale był w niej zarazem jakiś majestat, który nakładał im wędzidło, tak że mimo woli pomyślał Bogusław: „Za wcześniem przycisnął jej rękę... z taką trzeba polityką¹⁷⁵, nie obcesem!”

Ale tym niemniej postanowił sobie posiąść jej serce i doznawał dzikiej radości na myśl, że przyjdzie chwila, w której ów majestat dziewiczy i owa piękność przeczysta zda się na jego łaskę i niełaskę. Groźna twarz Kmicica stawiała w poprzek tym marzeniom, ale dla zuchwałego młodziana była to tylko jedna więcej podnieta. Pod wpływem tych uczuć rozpromienił się cały,

¹⁷⁵ *polityka* (daw., z łac.) – uprzejmość, dobre obyczaje. [przypis edytorski]

krew poczęła w nim grać jak we wschodnim rumaku, wszystkie jego władze ożywiły się niezwykle i światło tak biło od całej jego postaci jak od jego diamentów.

Rozmowa przy stole stała się ogólną, a raczej zmieniła się w ogólny chór pochwał i pochlebstw dla Bogusława, których świetny kawaler słuchał z uśmiechem, ale bez zbytniego zadowolenia, jako rzeczy zwykłej i codziennej. Mówiono naprzód o jego czynach wojennych i pojedynkach. Nazwiska pokonanych książąt, margrabiów, baronów sypały się jak z rękawa. On sam jeszcze od czasu do czasu dorzucał niedbale jedno więcej. Słuchacze zdumiewali się, księżę Janusz gładził swe długie wąsy z zadowoleniem, a na koniec Ganchof rzekł:

– Choćby fortuna i urodzenie nie stawały na przeszkodzie, nie chciałbym ja waszej książęcej mości w drogę wejść i to mi tylko dziwno, że się jeszcze śmiałkowicie tacy znajdują.

– Co chcesz, panie Ganchof! – rzekł książę. – Są ludzie z żelazną twarzą i żbiczym wzrokiem, których sam widok przestrasza, ale mnie Bóg tego odmówił... Mego oblicza nie ulęknie się nawet panna.

– Jako ćma nie boi się pochodni – odrzekła, wdzięcząc się i krygując, pani Korfowa – póki w niej nie zgorzeje...

Bogusław rozśmiał się, a pani Korfowa mówiła dalej, nie ustając się krygować:

– Panów żołnierzy więcej pojedynki obchodzą, a my, niewiasty, rade byśmy też coś o amorach waszej książęcej mości usłyszeć, o których wieści aż tu nas dochodziły.

– Nieprawdziwe, pani dobrodziejko, nieprawdziwe... Wszystko jeno przez drogę urosło... Swatano mnie, to prawda... Jejmość królowa francuska była tak łaskawa...

– Z księżniczką de Rohan – dorzucił Janusz.

– Z drugą, de la Forse – dodał Bogusław – ale że właśnie sercu ani nawet sam król nie może kochania nakazać, a dostatków, chwała Bogu, nie potrzebujemy we Francji szukać, przeto nie mogło być chleba z tej mąki... Grzeczne to były panny, co prawda, nad imaginację urodziwe, ale przecie są u nas jeszcze urodziwsze... i nie potrzebowałbym z tej komnaty wychodzić, by takie znaleźć...

Tu rzucił długie spojrzenie na Oleńkę, która udając, że nie słyszy, poczęła coś mówić do pana miecznika rosieńskiego, a pani Korfowa znów głos zabrała:

– Nie brak i tu gładkich, nie masz jeno takich, które by waszej książęcej mości fortuną i urodzeniem wyrównać mogły.

– Pozwolisz, jejmość dobrodziejka, że zaneguję – odparł żywo Bogusław – bo, naprzód, nie myślę ja tego, aby szlachcianka polska czymś podlejszym od Rohanówien i od Forsów być miała, po drugie, nie pierwszozna to Radziwiłłom ze szlachciankami się żenić, jako i dzieje liczne podają tego przykłady. Upewniam też jejmość dobrodziejkę, że ta szlachcianka, która Radziwiłłową zostanie, nawet na dworze francuskim przed tamtejszymi księżniczkami krok i prym weźmie.

– Ludzki pan!... – szepnął Oleńce miecznik rosieński.

– Tak ja to zawsze rozumiałem – mówił dalej Bogusław –

choć nieraz wstyd mi za szlachtę polską, gdy ją z zagraniczną porównam, bo nigdy by się tam nie zdarzyło to, co się tu zdarzyło, że wszyscy pana swego opuścili, ba, że dybać na jego zdrowie gotowi. Szlachcic francuski najgorszego uczynku się dopuści, ale pana swego nie zdradzi...

Obecni poczęli spoglądać na siebie i na księcia z zadziwieniem. Książę Janusz zmarszczył się i nasrożył, a Oleńka utkwiała swe niebieskie oczy z wyrazem podziwu i wdzięczności w twarzy Bogusławowej.

– Wybacz wasza książęca mość – rzekł Bogusław, zwracając się do Janusza, który jeszcze ochłonać nie zdołał – wiem, że nie mogłeś inaczej postąpić, że cała Litwa by zginęła, gdybyś był za moją radą poszedł; ale przecie, czcząc cię jako starszego i kochając jak brata, nie przestanę z tobą o Jana Kazimierza się spierać. Jesteśmy między sobą, więc mówię, co myślę: nieopłakany pan, dobry, łaskawy, pobożny, a mnie podwójnie drogi! Toż ja go pierwszy z Polaków odprowadzałem, gdy go z francuskiego więzienia wypuszczono. Dzieckiem jeszcze prawie byłem podówczas, ale tym bardziej nigdy tego nie zapomnę i chętnie bym krew moją oddał, by go przynajmniej od tych zaślonić, którzy praktyki przeciw świętej jego osobie poczynają.

Januszowi, jakkolwiek zrozumiał już grę Bogusławową, wydała się ona jednak zbyt śmiałą i zbyt hazardowną dla tak błałego celu, więc nie ukrywając niezadowolenia, mówił:

– Na Boga! o jakichże zamysłach przeciw zdrowiu naszego eks-króla wasza książęca mość mówisz? Kto je czyni? Gdzie

się takowe *monstrum* w polskim narodzie znaleźć mogło?... To się, jako żywo, od początku świata w Rzeczypospolitej nie przygodziło!

Bogusław zwiesił głowę.

– Nie dawniej jak miesiąc temu – rzekł ze smutkiem w głosie – gdym z Podlasia do Prus elektorskich, do Taurogów jechał, przybył do mnie jeden szlachcic... z zacnego domu... Szlachcic ów, nie znając widać moich prawdziwych dla pana naszego miłościwego afektów, myślał, żem mu wrogiem jako inni. Owóz za znaczną nagrodę obiecywał mi pojechać na Śląsk, porwać Jana Kazimierza i żywego lub umarłego Szwedom wydać...

Wszyscy oniemieli ze zgrozy.

– A gdym z gniewem i abominacją¹⁷⁶ takową propozycję odrzucił – kończył Bogusław – ów człek z miedzianym czołem rzekł mi: „Pojadę do Radziejowskiego¹⁷⁷, ten kupi i od funta złotem mi zapłaci...”

– Nie jestem eks-królowi przyjacielem – rzekł Janusz – ale gdyby mnie kto podobną propozycję uczynił, kazałbym go bez sądu pod murem postawić, a sześciu muszkieterów naprzeciw.

– W pierwszej chwili i ja chciałem tak postąpić – odparł Bogusław – ale rozmowa była na cztery oczy i dopieroż by krzyczano na tyraństwo a na samowolę Radziwiłłów! Nastraszyłem go jeno, że i Radziejowski, i król szwedzki, ba,

¹⁷⁶ *abominacja* (z łac.) – wstręt, odraza, obrzydzenie. [przypis edytorski]

¹⁷⁷ *Radziejowski, Hieronim* (1612–1667) – stronnik Szwedów, podkanclerzy, wygnany za spiskowanie przeciwko królowi. [przypis edytorski]

sam Chmielnicki nawet, pewnie by go za to gardłem skarał; słowem, doprowadziłem owego zbrodniarza do tego, że się zamysłu wyrzekł.

– Nic to, nie trzeba go było żywym puszczać, bo najmniej pała był wart! – zawołał Korf.

Bogusław zwrócił się nagle do Janusza.

– Mam też nadzieję, że go kara nie minie, i pierwszy wnoszę, by zwykłą śmiercią nie zginął, a wasza książęca mość sam jeden możesz go ukarać, bo to twój dworzanin i twój pułkownik...

– Na Boga! mój dworzanin?... Mój pułkownik? Co za jeden?! ... Kto?... Mów wasza książęca mość!

– Zwie się Kmicic! – rzekł Bogusław.

– Kmicic?!... – powtórzyli wszyscy w przerażeniu.

– To nieprawda! – krzyknęła nagle Billewiczówna, wstając z krzesła z iskrzącymi oczyma i falującą piersią.

Nastało głucho milczenie. Jedni nie ochłonęli jeszcze po strasznej Bogusławowej nowinie, drudzy zdumieli się nad zuchwalstwem tej panny, która śmiała młodemu księciu fałsz w oczy zadać; miecznik rosieński począł bełkotać: „Oleńka! Oleńka!” – a Bogusław przyoblekł twarz w smutek i rzekł bez gniewu:

– Jeśli to krewny lub narzeczony waćpanny, to boleję, żem tę nowinę powiedział, ale wyrzuc go z serca, bo niewart on ciebie, panienko...

Ona stała chwilę jeszcze w bólu, w płomieniach i przerażeniu; lecz z wolna oblicze jej stygło, aż stało się zimne i blade; opuściła

się na powrót na krzesło i rzekła:

– Przebacz wasza książęca mość... Niesłuszniem przeczyła...

Do tego człowieka wszystko podobne...

– Niechże mnie Bóg ukarze, jeżeli co innego czuję prócz litości – odpowiedział łagodnie książę Bogusław.

– To był narzeczony tej panny – rzekł książę Janusz – i sam ich swatałem. Człek był młody, gorączka, nabroił siła¹⁷⁸... Ratowałem go przed prawem, bo żołnierz dobry. Wiedziałem, że warchoł to był i będzie... Ale żeby szlachcic do podobnego bezceństwa był zdolny, tegom się nawet po nim nie spodziewałem.

– To zły był człowiek, dawno to wiedziałem! – rzekł Ganchof.

– I nie ostrzegłeś mnie? Czemu to? – spytał tonem wymówki Janusz.

– Bom się bał, że wasza książęca mość o inwidię¹⁷⁹ mnie posadzi, gdyż on wszędy miał pierwszy krok przede mną.

– *Horribile dictu et auditu*¹⁸⁰ – rzekł Korf.

– Mości panowie – zawołał Bogusław – dajmy temu pokój! Jeśli wam ciężko tego słuchać, cóż dopiero pannie Billewiczównie.

– Wasza książęca mość raczy nie zważać na mnie – rzekła Oleńka – mogę wszystkiego już wysłuchać.

Ale już i wieczera miała się ku końcowi; podano wodę do umycia rąk, po czym książę Janusz wstał pierwszy i podał rękę

¹⁷⁸ *siła* (daw.) – wiele, dużo. [przypis edytorski]

¹⁷⁹ *inwidia* (łac.) – zazdrość, zawiść. [przypis edytorski]

¹⁸⁰ *Horribile dictu et auditu* (łac.) – okropnie mówić i słuchać. [przypis edytorski]

pani Korfowej, a księżę Bogusław Oleńce.

– Zdrajcę już Bóg pokarał – rzekł do niej – bo kto ciebie stracił, niebo stracił... Nie masz dwóch godzin, jakem cię poznał, wdzięczna panienko, a rad bym cię widzieć wiecznie nie w boleści i we łzach, ale w rozkoszy i szczęściu...

– Dziękuję waszej książęcej mości – odrzekła Oleńka.

Po rozejściu się dam mężczyźni wrócili jeszcze do stołu szukać uciechy w kielichach, które krążyły gęsto. Księżę Bogusław pił na umór, bo był kontent z siebie. Księżę Janusz rozmawiał z panem miecznikiem rosieńskim.

– Ja jutro wyjeżdżam z wojskiem na Podlasie – rzekł mu. Do Kiejdan przyjdzie szwedzka załoga. Bóg wie, kiedy wrócę... Waszmość nie możesz tu z dziewczyną zostawać, bo i dla niej między żołnierstwem nieprzystojnie. Pojedziecie oboje z księciem Bogusławem do Taurogów, gdzie dziewczka przy żonie mojej może we fraucymerze znaleźć pomieszczenie.

– Wasza książęca mość – odparł miecznik rosieński – Bóg nam dał własne kąty, po co nam do obcych krajów jeździć. Wielka to łaska waszej książęcej mości, że o nas pamięta... Ale nie chcąc faworu nadużywać, wolelibyśmy pod własną strzechę powrócić.

Księżę nie mógł wyjaśnić panu miecznikowi wszystkich powodów, dla których za żadną cenę nie chciał wypuszczać z rąk Oleńki, ale część ich powiedział z całą szorstką otwartością magnata.

– Jeśli chcesz to waćpan przyjąć za fawor, to i lepiej... Ale

ja waćpanu powiem, że to i ostrożność. Waćpan tam będziesz zakładnikiem; waćpan mi tam za wszystkich Billewiczów odpowiesz, którzy, wiem to dobrze, nie liczą się do moich przyjaciół i gotowi podnieść Żmudź, gdy odejdę... Dajże im waćpan radę, by tu siedzieli spokojnie i przeciw Szwedom nic nie poczynali, bo głowa twoja i twej synowicy¹⁸¹ za to odpowie.

Na to miecznikowi widocznie zabrakło cierpliwości, bo odrzekł żywo:

– Próżno bym się na moje prawa szlacheckie powoływał. Siła przy waszej książęcej mości, a mnie wszystko jedno, gdzie mam w więzieniu siedzieć; wolę nawet tam niż tu!

– Dość tego! – rzekł groźnie książę.

– Co dość, to dość! – odrzekł miecznik. – Bóg też da, że gwałty się skończą a prawo znów zapanuje. Krótko mówiąc, wasza książęca mość mi nie groź, bo się nie boję.

Bogusław dojrzał widocznie błyskawice gniewu migocące na twarzy Janusza, zbliżył się więc szybko.

– O co idzie? – rzekł, stawając między rozmawiającymi.

– Powiedziałem panu hetmanowi – odparł z rozdrażnieniem miecznik – że wolę więzienie w Taurogach niż w Kiejdanach.

– W Taurogach nie masz więzienia, jest jeno dom mój, w którym waszmość będzie jak u siebie. Wiem, że hetman chce widzieć w waszmości zakładnika, ja widzę tylko miłego gościa.

– Dziękuję waszej książęcej mości – odpowiedział miecznik.

– To ja dziękuję waszmości. Trąćmy się i wypijmy razem,

¹⁸¹ *synowica* (daw.) – bratanica. [przypis edytorski]

bo mówią, że przyjaźń trzeba zaraz podlać, aby nie zwiędła w zarodku.

To rzekłszy, zawiódł Bogusław pana miecznika do stołu i poczęli się trącać a przypijać do siebie często gęsto.

W godzinę później miecznik wracał nieco chwiejnym krokiem do swej izby, powtarzając półgłosem:

– Ludzki pan! Zaczny pan! Uczciwszego z latarnią nie znaleźć... Złoto! złoto szczere... Chętnie krwi bym dla niego utoczył.

Tymczasem bracia zostali sam na sam. Mieli ze sobą jeszcze do pogadania, a przy tym i listy przyszły jakieś, po które wysłali pazia, aby je od Ganchofa przyniósł.

– Oczywiście – rzekł Janusz – nie masz w tym i słowa prawdy, coś o Kmicicu mówił?

– Oczywiście... Sam wiesz najlepiej. Ale co? Przyznaj! Nie miał Mazarin słuszności? Za jednym zachodem zemścić się okrutnie nad wrogiem i uczynić wyłom w tej ślicznej fortecy... Co? Kto to potrafi?... To się nazywa intryga godna pierwszego w świecie dworu! A perłaż to ta Billewiczówna, a wdzięczne to, a wspaniałe, a paniątko, jakoby z krwi książęcej! Myślałem, że ze skóry wyskoczę!

– Pamiętaj, żeś dał słowo... Pamiętaj, że zgubisz nas, jeśli tamten listy opublikuje.

– Co to za brwi! Co za wejrzenie królewskie, aż respekt bierze... Skąd w takiej dziewczce taki nieledwie królewski

majestat?... Widziałem raz w Antwerpii Dianę¹⁸², na gobelinie misternie wyszystą, psami ciekawego Akteona¹⁸³ szczującą... Kubek w kubek ona!

– Bacz, by Kmicic listów nie opublikował, bo nas by wtedy psi na śmierć zagryźli.

– Nieprawda! Ja to Kmicica w Akteona zmienię i na śmierć zaszcuję. Na dwóch polach jużem go zbił na głowę, a przyjdzie między nami jeszcze do sprawy!

Dalszą rozmowę przerwało wejście pazia z listem.

Wojewoda wileński wziął pismo do ręki i przeżegnał. Zawsze tak czynił, by od złych nowin się zabezpieczyć; następnie, zamiast otworzyć, począł je oglądać starannie.

Nagle zmienił się na twarzy.

– Sapiehów klejnot na pieczęci! – zakrzyknął – to od wojewody witebskiego.

– Otwórz prędzej! – rzekł Bogusław.

Hetman otworzył i począł czytać, przerywając od czasu do czasu wykrzykami:

– Idzie na Podlasie!... Pyta, czy nie mam poleceń do Tykocina!... Urąga mi!... Gorzej jeszcze, bo słuchaj, co dalej pisze:

„Chcesz Wasza Ks. Mość wojny domowej, chcesz jeden

¹⁸² *Diana* (mit. rzym.) – bogini łowów, odpowiednik gr. Artemidy. [przypis edytorski]

¹⁸³ *Akteon* (mit. gr.) – myśliwy z Teb, przypadkowo zobaczył Artemidę w kąpieli (w mit. rzym. Diana), za to świętokradztwo został zamieniony w jelenia i rozszarpany przez własne psy. [przypis edytorski]

więcej miecz w łono matki pograżyć? To przybywaj na Podlasie, czekam cię i ufam w Bogu, że pychę twą moimi rękoma ukarze... Ale jeśli masz miłosierdzie nad ojczyzną, jeśli sumienie cię ruszyło, jeśli Wasza Ks. Mość żałujesz dawnych uczynków i poprawę chcesz okazać, tedy pole przed tobą. Miast wojnę domową zaczynać, zwołaj pospolite ruszenie, podnieś chłopstwo i uderz na Szwedów, póki ubezpieczony Pontus niczego się nie spodziewa i żadnej baczności nie okazuje. Od Chowańskiego przeszkody w tym mieć Wasza Ks. Mość nie będziesz, bo mnie słuchy z Moskwy dochodzą, że oni tam sami o wyprawie do Inflant myślą, chociaż trzymają to w tajemnicy. Wreszcie, jeśliby Chowański¹⁸⁴ chciał co przedsięwziąć, to ja utrzymam go na wodzy, i byłem szczerze mógł zaufać, pewnie ze wszystkich sił w ratowaniu ojczyzny Waszej Ks. Mości pomagać będę. Wszystko od Waszej Ks. Mości zależy, bo jeszcze czas nawrócić z drogi i winy zmazać. Wtedy okaże się jawnie, żeś Wasza Ks. Mość nie w widokach osobistych, ale dla odwrócenia ostatniej klęski od Litwy przyjął szwedzką protekcję. Niechże Waszą Książęcą Mość Bóg tak natchnie, o co codziennie Go proszę, choć mnie Wasza Książęcą Mość o inwidię pomawiać raczysz.

P. S. Słyszałem, że oblężenie z Nieświeża zdjęte i że książę Michał¹⁸⁵ z nami się chce połączyć, jak tylko szkody naprawi.

¹⁸⁴ *Chowański, Iwan Andriejewicz* (zm. 1682) – rosyjski wojskowy, bojar i wojewoda, jeden z dowódców w wojnie polsko-rosyjskiej (1654–1667). [przypis edytorski]

¹⁸⁵ *książę Michał* – Michał Kazimierz Radziwiłł herbu Trąby (1635–1680), krajczy litewski, później otrzymał także tytuły podczaszego litewskiego, kasztelana i wojewody

Patrzcie Wasza Ks. Mość, jak zacni z twojej familii czynią, i na ich przykład się zapatruj, a w każdym terminie pomyśl, że masz teraz wóz i przewóz.”

– Słyszałeś? – rzekł, skończywszy czytać, ksiązę Janusz.

– Słyszałem... i co? – odpowiedział Bogusław, patrząc bystro na brata.

– Trzeba by się wszystkiego wyrzec, wszystkiego zaniechać, własną robotę własnymi poszarpać rękoma...

– I z potężnym Karolem Gustawem¹⁸⁶ zdrzyć, a wygnanego Kazimierza za nogi imać, by raczył przebaczyć i do służby na powrót przyjąć... a i pana Sapiechę o instancję¹⁸⁷ prosić...

Twarz Janusza nabrzmiała krwią.

– Uważasz, jak to on do mnie pisze: „Popraw się, a przebaczę ci” – jakby zwierzchnik do podwładnego!

– Inaczej by pisał, gdyby mu sześć tysięcy szabel nad karkiem zawisło.

– Wszelako... – tu zamyślił się posepnie ksiązę Janusz.

– Wszelako co?

– Dla ojczyzny byłby może ratunek tak uczynić, jak Sapieha radzi?

– A dla ciebie? Dla mnie? Dla Radziwiłłów?...

Janusz nic nie odpowiedział, oparł głowę na złożonych

wieńskiego oraz hetmana polnego litewskiego; szwagier Jana III Sobieskiego, gorliwy katolik, interesował się nauką, a szczególnie alchemią. [przypis edytorski]

¹⁸⁶ *Karol X Gustaw Wittelsbach* (1622–1660) – król Szwecji w latach 1654–1660. [przypis edytorski]

¹⁸⁷ *instancja* (daw., z łac.) – wstawiennictwo, poparcie. [przypis edytorski]

pięściach i myślał.

– Niechże tak będzie! – rzekł wreszcie. – Niech się spełni...

– Coś postanowił?

– Jutro ruszam na Podlasie, a za tydzień uderzę na Sapięgę.

– Toś Radziwiłł! – rzekł Bogusław.

I podali sobie ręce.

Po chwili Bogusław udał się na spoczynek. Janusz pozostał sam. Raz i drugi przeszedł ciężkim krokiem przez komnatę, na koniec zaklaskał w ręce.

Paż pokojowiec wszedł do izby.

– Niech astrolog za godzinę przyjdzie do mnie z gotową figurą – rzekł.

Paż wyszedł, a książę znów począł chodzić i odmawiać swe kalwińskie pacierze. Po czym zaczął śpiewać półgłosem psalm, przerywając często, bo mu oddechu brakło, i spoglądając od czasu do czasu przez okno na gwiazdy migocące na firmamencie.

Powoli światła gasły w zamku, ale prócz astrologa i księcia jedna jeszcze istota czuwała w swej komnacie, a mianowicie Oleńka Billewiczówna.

Klęcząc przed swym łóżkiem, spłótła obie ręce na głowie i szeptała z zamkniętymi oczyma:

– Zmiłuj się nad nami... Zmiłuj się nad nami!

Pierwszy raz od czasu wyjazdu Kmicica nie chciała, nie mogła modlić się za niego.

Rozdział IX

Pan Kmicic posiadał wprawdzie glejty radziwiłłowskie do wszystkich kapitanów, komendantów i gubernatorów szwedzkich, aby mu wszędy wolny przejazd dano i wstrętu nie czyniono, lecz nie śmiał z tych glejtów korzystać. Spodziewał się bowiem, że książę Bogusław zaraz z Pilwiszek pchnął na wszystkie strony posłańców z ostrzeżeniem do Szwedów o tym, co się stało, i rozkazem chwytania Kmicica. Dlatego to pan Andrzej i obce nazwisko przyjął, i nawet stan odmienił. Omijając więc Łomżę i Ostrołękę, do których pierwszej ostrzeżenia dojść mogły, pędził swe konie wraz z kompanią ku Przasnyszowi, skąd na Pułtusk pragnął się przebrać do Warszawy.

Nim jednak do Przasnysza doszedł, czynił krąg nad granicą pruską na Wąsosz, Kolno i Myszyniec, dlatego że Kiemlicze, znając dobrze tamtejsze puszcze, byli świadomi przejść leśnych, a prócz tego mieli swe „komitywy” między Kurpiami, od których w nagłym razie mogli się pomocy spodziewać.

Kraj nad granicą był już po większej części zajęty przez Szwedów, którzy jednak, ograniczając się na zajmowaniu miast znaczniejszych, niezbyt śmieie zapuszczali się w drzemiące i niezgłębione lasy, zamieszkałe przez ludność zbrojną, myśliwą, nigdy z lasów się nie wychylającą i tak jeszcze dziką, że właśnie

rok temu królowa Maria Ludwika¹⁸⁸ kazała wznieść kaplicę w Myszyńcu i osadziła w niej jezuitów, którzy mieli uczyć wiary i łagodzić obyczaje puszczańskiego ludu.

– Im dłużej nie napotkamy Szwedów – mówił stary Kiemlicz – tym dla nas lepiej.

– Musimy ich w końcu napotkać – odpowiadał pan Andrzej.

– Kto ich napotka przy większym mieście, temu często boją się krzywdy uczynić, bo jako w mieście jest zawsze jakowyś rząd i jakowyś starszy komendant, do którego można skarżyć. Już ja się o to ludzi rozpytywałem i wiem, że są rozkazy od króla szwedzkiego, zabraniające swawoli i zdzierstwa. Ale mniejsze podjazdy, daleko od oczu komendantów wysyłane, nic na rozkazy nie zważają i spokojnych ludzi łupią.

Płynęli więc lasami, nigdzie Szwedów nie spotykając, nocując po smolarniach i osadach leśnych. Między Kurpiami, chociaż prawie nikt z nich nie widział dotąd Szwedów, chodziły najrozmaitsze wieści o najściu kraju. Mówiono, że przybył lud zza morza, mowy ludzkiej nie rozumiejący, nie wierzący w Chrystusa Pana, Najświętszą Pannę ani we wszystkich świętych i dziwnie drapieżny. Inni prawili o nadzwyczajnym łakomstwie tych nieprzyjaciół na bydło, skóry, orzechy, miód i grzyby suszone, których jeśli im odmawiano, wówczas podpalali puszcę. Niektórzy twierdzili przeciwnie, że to jest naród

¹⁸⁸ *Ludwika Maria Gonzaga de Nevers* (1611–1667) – księżniczka mantuańska, królowa Polski, żona dwóch polskich królów: Władysława IV i Jana II Kazimierza. [przypis edytorski]

wilkołaków, chętnie ludzkim mięsem, a mianowicie mięsem dziewczyn się karmiący.

Pod wpływem tych groźnych wieści, które w największe głębie puszczańskie zaleciały, jęli się Kurpikowie „poczuwać” i zhukiwać po lasach. Ci, którzy wyrabiali potaż¹⁸⁹ i smołę, i ci, którzy zbieraniem chmielu się trudnili, i drwale, i rybitwowie, którzy zastawiali więcierze po zarosłych wybrzeżach Rosogi, i wnicznicy, i myśliwi, i pszczołowody, i bobrownicy zbierali się teraz po znaczniejszych osadach, słuchając opowiadań, udzielając sobie nowin i radząc, jakby nieprzyjaciela, jeśliby się w puszczy pokazał, wyżenąć¹⁹⁰.

Kmicic, jadąc ze swym orszakiem, nieraz spotykał większe i mniejsze kupy tego ludu przybranego w konopne koszule i skóry wilcze, lisie lub niedźwiedzie. Nieraz też zastępowano mu na przesmykach i pasach pytając:

- Kto ty? Czy nie Szwed?
- Nie! – odpowiadał pan Andrzej,
- Niech ciebie¹⁹¹ Bóg broni!

Pan Andrzej przypatrywał się z ciekawością tym ludziom żyjącym ustawicznie w mrokach leśnych, których twarzy nie opalało nigdy odkryte słońce; podziwiał ich wzrost, śmiałość

¹⁸⁹ *potaż* (z hol. *pot*: garnek; *asch*: popiół) – popiół drzewny, złożony głównie z węgla potasu, używany do produkcji mydła, szkła, ceramiki i nawozów, ważny przedmiot eksportu w XVII i XVIII w. [przypis edytorski]

¹⁹⁰ *wyżenąć* (daw.) – wygnać. [przypis edytorski]

¹⁹¹ *ciebie* (reg.) – ciebie (wymowa kurpiowska). [przypis edytorski]

wejżenia, szczerość mowy i wcale niechłopską fantazję.

Kiemlicze, którzy ich znali, zapewniali pana Andrzeja, że nie masz nad nich strzelców w całej Rzeczypospolitej. Jakoż zauważył, że wszyscy mieli dobre niemieckie rusznice, które z Prus za skóry wymieniali. Kazał im też swą sprawność w strzelaniu okazywać i zdumiewał się jej widokiem, a w duszy myślał:

„Gdyby mi przyszło partię zbierać, tu bym przyszedł.”

W Myszyńcu samym znalazł wielkie zgromadzenie. Przeszło stu strzelców trzymało ustawicznie straż przy misji, bo obawiano się, że Szwedzi tu najpierwej się pokażą, zwłaszcza że starosta ostrołęcki kazał wyciąć drogę w lasach, aby księża, w misji osiedli, mogli mieć „do świata przystęp”.

Chmielarze, którzy swój towar dostawiali aż do Przasnysza tamtejszym sławnym piwowarom i z tego powodu uchodzili za ludzi bywałych, opowiadali, że w Łomży, w Ostrołęce i Przasnyszu roi się od Szwedów, którzy tak już tam gospodarują jak w domu i podatki wybierają.

Kmicic jął namawiać Kurpiów, by nie czekając Szwedów w puszczy, uderzyli na Ostrołękę i wojnę rozpoczęli, a sam ofiarował się ich poprowadzić. Wielką też między nimi znalazł ochotę, ale dwaj księża odwiedli ich od tego szalonego czynu, przedstawiając, aby czekali, aż cały kraj się ruszy, i przedwczesnym wystąpieniem nie ściągaliby na się okrutnej zemsty nieprzyjaciela.

Pan Andrzej odjechał, ale żałował straconej sposobności.

Ta mu tylko pociecha została, iż przekonał się, że byle gdziekolwiek prochy wybuchły, to ani Rzeczypospolitej, ani królowi nie zbraknie w tych stronach na obrońcach.

„Jeśli tak jest i gdzie indziej, tedyby można poczynąć” – myślał.

I gorąca jego natura rwała się ku prędkiemu poczynaniu, ale rozsądek mówił: „Kurpie sami Szwedów nie zwojują... Przejedziesz kawał kraju, obaczysz, przyjrzyś się, a potem posłuchasz królewskiego rozkazu.”

Jechał więc dalej. Wyjechawszy z puszczy głębokich na rubieże leśne, w okolicę gęściej osiadłą, ujrzał po wszystkich wioskach ruch nadzwyczajny. Po drogach pełno było szlachty, jadącej w brykach, kałamaszkach¹⁹², kolasach lub konno. Wszystko to zdążało do najbliższych miast i miasteczek, by na ręce komendantów szwedzkich składać przysięgę na wierność nowemu panu. Wydawano im na to świadectwa, które miały osoby i majątności ochraniać. W stolicach ziem i powiatów ogłaszano „kapitulacje”, warujące wolność wyznania i przywileje stanowi szlacheckiemu przysługujące.

Szlachta dążyła z powiną przysięgą nie tyle ochotnie, ile skwapliwie, bo opornym rozmaite groziły kary, a zwłaszcza konfiskaty i rabunki. Mówiono, że tu i owdzie poczęli już Szwedzi, tak jak w Wielkopolsce, wkręcać podejrzanym palce w

¹⁹² *kałamaszka* – odkryty jednokonny pojazd czterokołowy bez resorów, używany na Kresach w XVII i XVIII w. Drewniane koła osadzone były na drewnianej osi, którą smarowano mazią w celu zmniejszenia oporów. [przypis edytorski]

kurki od muszkietów. Powtarzano też z trwogą, że na bogatszych umyślnie rzucano podejrzenia, aby ich złupić.

Wobec tego wszystkiego niebezpiecznie było zostawać na wsi; zamożniejsi więc dążyli do miast, aby siedząc pod bezpośrednim dozorem komendantów szwedzkich, uniknąć posądzenia o praktyki przeciw królowi szwedzkiemu.

Pan Andrzej pilnie nadstawiał ucha na to, co mówiła szlachta, a chociaż nie bardzo chciano z nim rozmawiać, jako z chudopachołkiem, tyle jednak wyrozumiał, że nawet najbliżsi sąsiedzi, znajomi, ba! i przyjaciele nie mówią między sobą o Szwedach i o nowym panowaniu szczerze. Narzekano wprawdzie głośno na „rekwizycje” i rzeczywiście było o co, do każdej bowiem wsi, do każdego miasteczka przychodziły listy komendantów z rozkazem dostawienia wielkich ilości zboża, chleba, soli, bydła, pieniędzy, i często owe rozkazy przechodziły możność, zwłaszcza że gdy wyczerpano jedne zapasy, żądano drugich; kto zaś nie płacił, temu przysyłano egzekucję, która w trójnasób tyle brała.

Ale minęły dawne czasy! Każdy wyciągał się jak mógł, sobie od ust odejmował i dawał, i płacił, narzekając i jęcząc, a w duszy myśląc, że dawniej bywało inaczej. Do czasu pocieszano się wszakże, iż gdy czasy wojenne przeminą, skończą się owe rekwizycje. Obiecywali to i sami Szwedzi mówiąc, że niech jeno król cały kraj opanuje, zaraz po ojcowsku rządzić zacznie.

Szlachcie, która odstąpiła własnego monarchy i ojczyzny, która przedtem, niedawno jeszcze, nazywała tyranem dobrego

Jana Kazimierza, posądzając go, że do *absolutum dominium*¹⁹³ dąży, która sprzeciwiała mu się we wszystkim, protestując na sejmikach i sejmach, a w łaknieniu nowości i przemiany doszła do tego, że niemal bez oporu uznała panem najeźdźcę, byle mieć jakąś odmianę – wstyd było teraz nawet i narzekać. Wszak Karol Gustaw uwolnił ich od tyrana, wszak dobrowolnie opuścili prawego monarchę, wszak mieli ową odmianę, której pożądaną tak silnie.

Dlatego to nawet najpoufalsi nie mówili szczerze pomiędzy sobą, co o owej odmianie myślą, chętnie nakłaniając ucha tym, którzy twierdzili, że i zajazdy, i rekwizycje, i rabunki, i konfiskaty tylko czasowe a konieczne *onera*¹⁹⁴, które wnet przemina, jak się Carolus Gustavus na polskim tronie upewni.

– Ciężko, panie bracie, ciężko – mówił czasem szlachcic do szlachcica – ale tak i powinniśmy być radzi z nowego pana. Potentat to i wojownik wielki; ukróci on Kozaków, Turczyzna pohamuje i Septentrionów¹⁹⁵ od granic odżenie¹⁹⁶, a my ze Szwecją we wspólnie zakwitniemy.

– Choćbyśmy też i nieradzi byli – odpowiadał drugi – co robić przeciw takiej potędze? Z motyką się na słońce nie porwiemy...

¹⁹³ *absolutum dominium* (łac.) – władza absolutna. [przypis edytorski]

¹⁹⁴ *onus, oneris* (łac.) – ciężar, obciążenie; tu M. Im *onera*: ciężary, obciążenia. [przypis edytorski]

¹⁹⁵ *Septentrionowie* (z łac. *septentrio, septentrionis*: wielka niedźwiedzica, północ) – ludzie z północy; kolejne omowne określenie Rosjan, o wojnie z którymi Sienkiewicz nie mógł w 1884 r. pisać wprost ze względu na cenzurę carską. [przypis edytorski]

¹⁹⁶ *odżenie* (daw.) – odegna. [przypis edytorski]

Czasem też powoływano się na świeżą przysięgę. Kmicic burzył się, słuchając podobnych głosów i rozumowań, a raz, gdy pewien szlachcic mówił przy nim w zajeździe, że musi być wierny temu, komu poprzysiągł, pan Andrzej wykrzyknął i rzekł mu:

– Musisz mieć waćpan dwie gęby, jedną od prawdziwych, drugą od fałszywych przysiąg, boś i Janowi Kazimierzowi przysięgał!

Było przy tym wiele i innej szlachty, bo się to zdarzyło już niedaleko od Przasnysza. Usłyszawszy więc słowa Kmicica, poruszyli się wszyscy; na jednych twarzach znać było podziw dla śmiałości pana Andrzeja, inni zapłonili się, wreszcie najpoważniejszy rzekł:

– Nikt tu przysięgi dawnemu królowi nie łamał. Sam on nas uwolnił od niej, gdy z kraju zbiegł, do obrony jego się nie poczuwając.

– Bodaj was zabito! – zakrzyknął Kmicic. – A król Łokietek ile to razy musiał z kraju uchodzić, a przecie wrócił, bo go naród nie odstąpił, gdyż bojaźń boża jeszcze w sercach była! Nie Jan Kazimierz zbiegł, jeno przedawczykowie od niego odbiegli i teraz go kąsają, by własne winy przed Bogiem i ludźmi koloryzować!

– Za śmieie mówisz, młodziku. Skądżeś jest, który nas, tutejszych ludzi, chcesz bojaźni bożej uczyć? Patrz, aby cię Szwedzi nie usłyszeli!

– Kiedyście ciekawi, to wam powiem, żem jest z Prus

Książęcych i do elektora należę... Ale z sarmackiej krwi pochodząc, do życzliwości się ku ojczyźnie poczuwam i wstyd mi za zatwardziałość tego narodu.

Tutaj szlachta, zapomniawszy gniewu, otoczyła go kołem i poczęła wypytywać ciekawie i skwapliwie:

– Toś waćpan z Prus Książęcych?... A nuże, powiadaj, co wiesz! Coże tam elektor? Nie myśli nas ratować z opresji?

– Z jakiej opresji?... Radziście z nowego pana, to nie gadajcie o opresji. Jakaście sobie posłali, tak śpijcie.

– Radziśmy, bo nie możemy inaczej. Z mieczami nam nad karkiem stoją. Ale ty powiadaj tak, jakbyśmy byli nieradzi.

– Dajcie mu się czego napić, niechże mu się język rozwiąże. Mów śmieie, nie masz tu zdrajców między nami.

– Wszyscyście zdrajcy! – huknął pan Andrzej – i nie chcę z wami pić! parobcy szwedzcy!

To rzekłszy, wyszedł z izby, drzwiami trzasnąwszy, a oni pozostali we wstydzie i w zdumieniu; żaden nie chwycił za szablę, żaden nie ruszył za Kmicicem, aby się pomścić za obelgę.

On zaś ruszył wprost do Przasnysza. Na kilkanaście stajań¹⁹⁷ przed miastem ogarnął go patrol szwedzki i wiódł do komendy. Rajtarów¹⁹⁸ było w owym patrolu tylko sześciu i podoficer siódmy, więc Soroka i trzej Kiemlicze poczęli poglądać na nich łakomie jak wilcy na owce, a potem pytali oczyma Kmicica, czy

¹⁹⁷ *stajanie* – jednostka odległości, licząca od ok. 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

¹⁹⁸ *rajtar* – średniozbrojny żołnierz konny, posługujący się w walce głównie bronią palną. [przypis edytorski]

się nie każe koło nich zawinąć.

Pan Andrzej niemałej także doznawał pokusy, zwłaszcza że blisko płynęła Węgierka z brzegami obrosłymi sitowiem; ale się pohamował i pozwolił spokojnie prowadzić do komendy.

Tam opowiedział się komendantowi, kto jest, że z kraju elektorskiego pochodzi i corocznie do Soboty z końmi jeździ. Kiemlicze mieli też świadectwa, w które się w Łęgu, jako w dobrze sobie znajomym mieście, zaopatrzyli; więc komendant, który sam był pruski Niemiec, nie czynił im trudności, wypytywał tylko troskliwie, jakie konie prowadzą, i żądał je widzieć.

A gdy je czeladź Kmicicowa zgodnie z jego żądaniem przypędziła, obejrzał je starannie i rzekł:

– To ja kupię. Innemu zabrałbym i tak, ale żeś z Prus, to cię i nie pokrzywdzę.

Kmicic stropił się nieco; gdyby przyszło do sprzedaży, tym samym upadłby pozór jechania dalej i wypadałoby mu zawrócić do Prus. Podał więc cenę tak wysoką, że niemal dwa razy większą od rzeczywistej wartości koni. Nadspodziewanie, oficer ani się oburzył, ani targował.

– Dobrze – rzekł. – Wegnać konie do szopy, a wam zapłatę wraz wyniosę.

Kiemlicze uradowali się w sercach, lecz pan Andrzej wpadł w gniew i począł kląć. Nie było jednak innej rady, jak zagnać konie. Inaczej padłoby zaraz podejrzenie na sprzedających, że pozornie tylko handlują.

Tymczasem oficer wyszedł na powrót i podał Kmicicowi kawałek zapisanego papieru.

– Co to? – rzekł pan Andrzej.

– Pieniądze albo to samo co pieniądze, bo kwit.

– A gdzie mnie zapłacą?

– W głównej kwaterze.

– A gdzie główna kwatera?

– W Warszawie – odrzekł oficer, uśmiechając się złośliwie.

– My za gotówkę tylko handlujemy... Jakże to? co to?... – począł jęczeć stary Kiemlicz. – Furto niebieska¹⁹⁹!

Lecz Kmicic zwrócił się ku niemu i patrząc nań groźnie, rzekł:

– U mnie słowo pana komendanta tyle co gotowizna, a do Warszawy chętnie pojedziem, bo tam u Ormian towarów znacznych dostać można, za które w Prusach dobrze zapłacą.

Następnie, gdy oficer odszedł, rzekł pan Andrzej na pociechę Kiemliczowi:

– Cicho, szelmo. Te kwity to najlepsze glejty, bo choćby i do Krakowa zajedziem z nimi, skarżąc się, że nam płacić nie chcą. Łatwiej z kamienia ser wycisnąć niż pieniądze ze Szwedów... Ale to mi właśnie na rękę. Pludrak myśli, że nas wywiódł w pole, tymczasem nie wie, jaką przysługę nam oddał... Tobie zaś ja z własnej szkatuły za konie zapłacę, ażebyś uszczerbku nie poniósł.

Stary odetchnął i już tylko ze zwyczaju nie przestawał

¹⁹⁹ *Furto niebieska* – jedno z określeń Matki Boskiej, występujące w litanii; dziś w formie: Bramo niebieska. [przypis edytorski]

narzekać przez czas jakiś:

– Obdarli, zniszczyli, do nędzy przywiedli!

Ale pan Andrzej rad był, widząc drogę przed sobą otwartą, bo to z góry przewidywał, że i w Warszawie mu nie zapłacą, a prawdopodobnie i nigdzie – będzie więc mógł jechać coraz dalej, niby swojej poszukując krzywdy, chociażby do króla szwedzkiego, który pod Krakowem się znajdował, zajęty oblężeniem dawnej stolicy.

Tymczasem postanowił pan Andrzej zostać na noc w Przasnyszu, koniom wypocząć i nie odmieniając swego przybranego nazwiska, porzucić jednak skórę chudopacholską. Zauważył bowiem, że ubogiego koniuchę lekceważą wszyscy i prędzej każdy napadnie, mniej się odpowiedzialności za pokrzywdzenie charłaka obawiając. Trudniej mu też było w tej skórze i do zamożniejszej szlachty mieć przystęp, a stąd trudniej wyrozumieć, co kto myślał.

Przybrał więc szaty stanowi swemu i urodzeniu odpowiednie i poszedł pod wiechy, aby się z bracią szlachtą nagadać. Lecz nie uradowało go to, co słyszał. Po zajazdach i szynkach szlachta piła zdrowie króla szwedzkiego i na szczęście protektora trącała się kielichami ze starszyzną szwedzką, śmiała się z drwin, jakich oficerowie pozwalali sobie z króla Jana Kazimierza i Czarnieckiego.

Tak strach o własną skórę i mienie upodlił ludzi, że wdzięczyli się do najeźdźców, skwapliwie podtrzymując ich dobry humor. Jednakże i owo upodlenie miało swoją granicę.

Szlachta pozwalała drwić z siebie, z króla, z hetmanów, z pana Czarnieckiego²⁰⁰, byle nie z religii, i gdy pewien kapitan szwedzki oświadczył, że taka dobra wiara luterska jak i katolicka, siedzący obok młody pan Grabkowski, nie mogąc znieść bluźnierstwa, uderzył go w skroń obuszkim²⁰¹, sam zaś, korzystając z tumultu, wymknął się z szynkowni i zginął w tłumie.

Zaczęto go ścigać, lecz przyszły wieści, które zwróciły uwagę w inną stronę. Oto kurierowie nadbiegli z doniesieniami, że Kraków się poddał, że pan Czarniecki w niewoli i ostatnia zaporą szwedzkiego panowania zniesiona.

Szlachta oniemiała w pierwszej chwili, lecz Szwedzi poczęli weselić się i wiwatować. W kościele Świętego Ducha, w kościele Bernardynów i w niedawno wzniesionym przez panią Mostowską klasztorze bernardynek kazano bić w dzwony. Piechota i rajtaria wystąpiły na rynek z browarów i postrzygalni w bojowym porządku i nuż dawać ognia z dział i muszkietów. Następnie wytoczono beczki z gorzałką, miodem i piwem dla wojska i mieszczan, porozpalano beczki ze smołą i ucztowano do późnej nocy. Szwedzi powyciągali mieszcanki z domostw, by tańczyć

²⁰⁰ *Czarniecki, Stefan herbu Łodzia* (ok. 1599–1665) – wybitny dowódca wojskowy, oboźny wielki koronny i kasztelan kijowski, starosta kowelski i tykociński, regimentarz, później także wojewoda ruski i kijowski oraz hetman polny koronny; brał udział w walkach ze Szwedami, z Chmielnickim i z Rosjanami; jego nazwisko pojawia się w Hymnie Polski. [przypis edytorski]

²⁰¹ *obuszek* – broń o kształcie zaostrego młotka, o dziobie bardziej zagiętym niż ostrze nadziaka, służąca w bitwie do rozbijania zbroi przeciwnika. [przypis edytorski]

z nimi, weselić się i swawolić. A wśród tłumów rozhukanego żołnierstwa włóczyły się gromady szlachty, która piła wraz z rajtarami i musiała udawać radość z upadku Krakowa i klęski pana Czarnieckiego.

Kmicica obrzydzenie porwało i wcześniej schronił się do swej kwatery na przedmieściu, ale spać nie mógł. Trawiła go gorączka i wątpliwości obsiadły mu duszę, czy nie za późno nawrócił z drogi, gdy już cały kraj był w ręku szwedzkim. Przychodziło mu do głowy, że już wszystko stracone i Rzeczpospolita nigdy nie wydzwignie się z upadku.

„To już nie wojna nieszczęśliwa – myślał sobie – która się utratą prowincji jakowej skończyć może, to zguba zupełna, to cała Rzeczpospolita prowincją szwedzką się staje... Samiśmy się do tego przyczynili, a ja lepiej niż kto inny!”

Ta myśl paliła go, a sumienie gryzło. Sen od niego uciekał... Sam nie wiedział, co ma czynić: jechać dalej, zostać w miejscu czy wracać?... Choćby też kupę zebrał i Szwedów począł podchodzić, będą go ścigać jak rozbójnika, nie jak żołnierza. Zresztą jest już w obcej okolicy, w której go nikt nie zna. Kto do niego przystanie? Zlatywali się do niego nieustraszeni ludzie na Litwie, gdy jako przesławny ich zwoływał, ale tu, choćby kto słyszał o Kmicicu, to go miał za zdrajcę i szwedzkiego przyjaciela, z pewnością zaś nikt nie słyszał o Babiniczu.

Na nic to, na nic i do króla jechać, bo za późno... Na nic i na Podlasie jechać, bo go konfederaci za zdrajcę mają, na nic się na Litwę wracać, bo tam Radziwiłł włada, na nic zostawać, bo

tu roboty nie ma żadnej. Najlepiej by ducha wyzionąć, by na ten świat nie patrzeć i przed zgryzotami uciec!

Lecz na tamtym świecie zali²⁰² będzie lepiej tym, którzy nagrzeszywszy, niczym win swych nie zgładzili i z całym ich ciężarem przed sądem staną? Kmicic rzucał się na swym łożu, jak gdyby na łożu tortur leżał. Podobnie nieznośnych mąk nie przechodził nawet w chacie leśnej Kiemliczów.

Czuł się silnym, zdrowym, przedsiębiorczym, dusza rwała się w nim do tego, by coś poczynić, by działać, a tu wszystkie drogi były zamknięte, choć tłuc głową o ścianę, nie masz wyjścia, nie masz ratunku i nie masz nadziei!

Przemęczywszy się przez noc na łożu, zerwał się do dnia²⁰³, zbudził ludzi i ruszył z nimi przed siebie. Jechał ku Warszawie, ale sam nie wiedział, po co i dlaczego? Byłby na Sicz uciekł z desperacji, gdyby nie to, że czasy się zmieniły i że Chmielnicki²⁰⁴ razem z Buturlinem²⁰⁵ przycisnęli właśnie hetmana wielkiego koronnego²⁰⁶ pod Gródkiem, roznosząc przy tym ogień i

²⁰² *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

²⁰³ *do dnia* (daw., reg.) – nad ranem, o świcie. [przypis edytorski]

²⁰⁴ *Chmielnicki, Bohdan Zenobi* (1595–1657) – ukraiński bohater narodowy, hetman Kozaków zaporoskich, organizator powstania przeciwko polskiej władzy w latach 1648–1654. [przypis edytorski]

²⁰⁵ *Buturlin, Wasilij Wasiljewicz* (zm. 1656) – rosyjski bojar, dyplomata i wojskowy, w czasie ugody perejasławskiej w 1654 przyjął przysięgę od starszyny kozackiej na wierność państwu moskiewskiemu, na początku wojny polsko-rosyjskiej 1654–1667 wraz z Bohdanem Chmielnickim dowodził połączonymi wojskami rosyjsko-ukraińskimi. [przypis edytorski]

²⁰⁶ *hetman wielki koronny* – Stanisław Potocki herbu Pilawa, zwany Rewera (1579–

miecz na południowo-wschodnich krainach Rzeczypospolitej i zapuszczając aż pod Lublin drapieżne swe zagony.

Po drodze do Pułtuska spotykał wszędy pan Andrzej oddziały szwedzkie eskortujące wozy z żywnością, zbożem, chlebami, piwem, i stada wszelkiego rodzaju bydła. Przy stadach i wozach szły gromady chłopów albo drobnej szlachty, płacząc i jęcząc, bo ich z podwodami po kilkanaście mil ciągnano. Szczęśliwy, komu z wozem do domu wrócić pozwolono, co nie zawsze się zdarzało, albowiem po dostawieniu spyży²⁰⁷ pędzili chłopstwo i brać zagonową²⁰⁸ do robót, do poprawiania zamków, budowania szop, magazynów.

Widział też pan Kmicic, że w pobliżu Pułtuska srożej obchodzili się Szwedzi z ludźmi niż w Przasnyszu, i nie mogąc powodów zrozumieć, wypytywał o nie napotykaną po drodze szlachtę.

– Im dalej ku Warszawie waść pojedziesz – odpowiedział jeden z jadących – tym ich sroższymi obaczysz ciemężycielami. Gdzie świeżo przyjdą i jeszcze się nie ubezpieczą, tam są łaskawsi, rozkazy królewskie przeciw ciemężycielom sami

1667), hetman wielki koronny, wojewoda krakowski, kijowski, podolski i bractawski, uczestnik wielu wojen, uratował króla Jana II Kazimierza pod Zbarazem; przydomek Rewera pochodzi od jego ulubionego powiedzonka *re vera* (łac.: w rzeczy samej, zaprawdę). [przypis edytorski]

²⁰⁷ *spyża* (daw.) – prowiant, żywność. [przypis edytorski]

²⁰⁸ *brać zagonowa* – drobna, uboga szlachta, utrzymująca się z własnej pracy na małym kawałku ziemi. [przypis edytorski]

promulgują²⁰⁹ i kapitulację ogłaszają; ale gdzie się już czują pewni i gdzie w pobliżu zamki jakowe obsadzili, tam wnet wszystkie przyrzeczenia łamią, względów żadnych nie zachowują, krzywdzą, obdzierają, rabują, na kościoły, duchownych i na święte panienki nawet ręce podnoszą. Nic to tu jeszcze, ale co się w szczerzej Wielkopolsce dzieje, na to słów w ludzkiej gębie brakuje...

Tu począł opowiadać szlachcic, co działo się w Wielkopolsce, jakich zdzierstw, gwałtów i zabójstw dopuszczał się srogi nieprzyjaciel, jak palce do kurków wkręcano, mękami morzono, ażeby się o pieniądzach wywiedzieć, jak księdza prowincjała Braneckiego w samym Poznaniu zabito, a nad ludem prostym znęcano się tak okropnie, że włosy w czuprynie dębem na samą myśl stawały.

– Przyjdzie do tego wszędzie – mówił szlachcic. – Kara boska... Sąd ostateczny bliski... Coraz gorzej i gorzej, a znikąd poratowania!...

– Dziwne mi to – rzekł Kmicic – bo ja nietutejszy i humorów ludzkich w tych stronach nie znam, że tak waszmościowie znosicie cierpliwie owe uciski, szlachtą i ludźmi rycerskimi będąc?

– Z czymże się porwiemy? – odpowiedział szlachcic – z czym?... W ich rękę zamki, fortece, armaty, prochy, muszkiety,

²⁰⁹ *promulgować* (z łac. *promulgo, promulgare*: wyjawiać, obwieszczać) – ogłosić.
[przypis edytorski]

a nam ptaszniczki²¹⁰ nawet poodejmowano. Była jeszcze nadzieja w panu Czarnieckim, ale gdy on w więzach, a król jegomość na Śląsku, kto o oporze pomyśli?... Ręce są, jeno nie ma nic w rękach i głowy nie ma...

– I nadziei nie ma! – rzekł głucho Kmicic.

Tu przerwali rozmowę, bo nadjechali na oddział szwedzki wiodący wozy, drobną szlachtę i „rekwizycje”. Dziwny to był widok. Wąsaci i brodaci rajtarowie siedzieli na spastych jak byki koniach; każdy²¹¹ wsparty w bok prawą ręką, z kapeluszem na bakier, z dziesiątkami gęsi i kur natroczonych przy kulbace, jechał wśród tumanu pierza. Patrząc na ich wojownicze i dumne twarze, łatwo było poznać, jak im było pańsko, wesoło i bezpiecznie. A bracia²¹² drobna szła piechotą przy wozach, niejeden boso, z głowami pospuszczanymi na piersi, zhukana, trwożliwa, częstokroć biczami do pośpiechu nagłona.

Kmicicowi, gdy to ujrzał, wargi poczęły się trząść jak w febrze i jał powtarzać do owego szlachcica, z którym jechał:

– Oj! ręce swędzą, ręce swędzą, ręce swędzą!

– Cicho waść, na miłosierdzie boże! – odrzekł szlachcic – zgubisz siebie, mnie i dziatki moje!

Nieraz jednak miał pan Andrzej przed sobą jeszcze dziwniejsze widoki. Oto czasem między oddziałami rajtarskimi

²¹⁰ *ptaszniczka* – lekka, małokalibrowa strzelba myśliwska przeznaczona do polowań na siedzące ptactwo; zwana też cieszyńką. [przypis edytorski]

²¹¹ *każden* – dziś popr.: każdy. [przypis edytorski]

²¹² *bracia* – dziś popr.: brać; tj. szlachta. [przypis edytorski]

sposprzegwał idące z nimi mniejsze lub większe gromadki szlachty polskiej, ze zbrojną czeladzią, wesole, śpiewające, pijane, a ze Szwedami i z Niemcami za pan brat.

– Jakże to? – pytał Kmicic – jedną szlachtę prześladują i gnębią, z drugą w komitywę wchodzi? Muszą to być chyba zagorzali sprzedawczykowie owi obywateli, których między żołnierstwem widzę?

– Nie tylko to sprzedawczykowie zagorzali, ale gorzej, bo heretycy – odpowiedział szlachcic. – Ciężsi oni od Szwedów nam katolikom; oni to najwięcej rabują, dwory palą, panny porywają, prywatnych uraz dochodzą. Cały kraj od nich w trwodze, bo całkiem bezkarnie im wszystko uchodzi, i łatwiej u komendantów szwedzkich na Szweda znajdziesz sprawiedliwość niż na swojego heretyka. Każdy komendant, byleś słowo pisał, zaraz ci odpowie: „Nie mam ja go prawa ścigać, bo nie mój człowiek – idźcie do waszych trybunałów.” A jakie tam teraz trybunały, jaka egzekucja, gdy wszystko w szwedzkim ręku? Gdzie Szwed nie trafi, tam heretycy go doprowadzą, a na kościoły i duchownych głównie oni ich *excitant*²¹³. Tak się mszczą na ojczyźnie matce za to, iż gdy w innych chrześcijańskich krajach słusznie za swoje praktyki i bezceństwa byli prześladowani, ona im przytułek zapewniła i wolność ich bluźnierczej wiary...

Tu szlachcic urwał i spojrział niespokojnie na pana Kmicica.

²¹³ *excito, excitare* – podburzać, napuszczać; tu 3 os. lm cz.ter. *excitant*; podburzają. [przypis edytorski]

– Ale waszmość powiadasz się być z Prus Książęcych, toś sam może luter?

– Niech mnie Bóg od tego uchroni – odrzekł pan Andrzej. – Z Prus jestem, ale z rodu od wieków katolickiego, bo my do Prus z Litwy przyszli.

– To chwała Najwyższemu, bom się zląkł. Mój mospanie, *quod attinet*²¹⁴ Litwy, i tam dysydentów nie brak, i naczelnika swego potężnego w Radziwille mają, który tak wielkim zdrajcą się okazał, że chyba z jednym Radziejowskim²¹⁵ w paragon wejść może.

– Bogdaj mu diabli duszę z gardła wyciągnęli, nim Nowy Rok nadejdzie! – krzyknął z zawziętością Kmicic.

– Amen! – odrzekł szlachcic – jeszcze i jego sługom, jego pomocnikom, jego katom, o których aż tu do nas wieści zabiegły, a bez których nie byłby on się ważył na zgubę tej ojczyzny.

Kmicic pobladł i nie odrzekł ani słowa. Nie wypytywał też, nie śmiał pytać, o jakich to pomocnikach, sługach i katach ów szlachcic prawi.

Jadąc wolno, dojechali późnym wieczorem do Pułtuska; tam wezwano Kmicica do biskupiego pałacu, *alias*²¹⁶ zamku, żeby się komendantowi opowiedział.

– Dostawiam konie wojskom jego szwedzkiej miłości – rzekł

²¹⁴ *quod attinet* (łac.) – co dotyczy. [przypis edytorski]

²¹⁵ Radziejowski, Hieronim (1612–1667) – stronnik Szwedów, podkanclerzy, wygnany za spiskowanie przeciwko królowi. [przypis edytorski]

²¹⁶ *alias* (łac.) – inaczej, albo też. [przypis edytorski]

pan Andrzej – i mam kwity, z którymi do Warszawy po pieniądze jadę.

Pułkownik Izrael (tak nazywał się ów komendant) uśmiechnął się pod wąsami i rzekł:

– O, spiesz się waść, spiesz się, a weź z powrotem wóz, abyś miał na czym owe pieniądze odwozić.

– Dziękuję za radę – odrzekł pan Andrzej – i tak rozumiem, że wasza miłość drwi sobie ze mnie... Ale ja po swoje pojedę, choćby mi do samego króla jegomości jechać przyszło!

– Jedź, swego nie daruj! – rzekł Szwed. – Wcale grzeczna kwota ci się należy.

– Przyjdzie taki czas, że mi zapłacicie! – odrzekł, wychodząc, Kmicic.

W samym mieście trafił znów na uroczystości, bo uciecha z powodu wzięcia Krakowa trzy dni trwać miała. Dowiedział się jednak, że w Przasnyszu przesadzono może umyślnie tryumf szwedzki; pan kasztelan kijowski²¹⁷ nie dostał się wcale do niewoli, ale uzyskał prawo wyjścia z wojskiem, bronią i zapalonymi lontami przy działach z miasta. Mówiono, że miał się udać na Śląsk. Niewielka to była pociecha, ale zawsze pociecha.

W Pułtuskus stały znaczne siły, które stamtąd pod wodzą Izraela miały się udać nad granicę pruską, aby nastraszyć

²¹⁷ *kasztelan kijowski* – Stefan Czarniecki herbu Łódzia (ok. 1599–1665), wybitny dowódca wojskowy, oboźny wielki koronny i kasztelan kijowski, starosta kowelski i tykociński, regimentarz, później także wojewoda ruski i kijowski oraz hetman polny koronny; brał udział w walkach ze Szwedami, z Chmielnickim i z Rosjanami; jego nazwisko pojawia się w Hymnie Polski. [przypis edytorski]

elektora, więc ani miasto, ani zamek, lubo²¹⁸ bardzo obszerny, ani przedmieścia, nie mogły pomieścić żołnierzy Tu po raz pierwszy ujrzał też Kmicic wojsko w kościele stojące. We wspaniałej gotyckiej kolegiacie, fundowanej przeszło dwieście lat temu przez biskupa Giżyckiego, stała najemna niemiecka piechota. Wnętrze świątyni płonęło światłem jak w czasie rezurekcji, bo na kamiennej posadzce płonęły porozpalane ognie. Kotły dymiły w ogniskach. Około beczek z piwem kupiło²¹⁹ się obce żołnierstwo, złożone ze starych rabusiów, którzy całe Niemcy katolickie splądrowali i którym zapewne nie pierwszy raz przyszło nocować w kościele. Więc wewnątrz rozlegał się gwar i okrzyki. Zachryple głosy śpiewały obozowe pieśni; słyhać było wrzaski uciechy niewiast, które w owych czasach włóczyły się zwykle za wojskiem.

Kmicic stanął w otwartych drzwiach; przez dymy wśród czerwonych płomieni ujrzał czerwone, porozpalane trunki, wąsate twarze żołdaków siedzących na beczkach i pijących piwo; innych rzucających kości lub grających w karty; innych sprzedających ornaty; innych obejmujących ładacznice poprzybierane w jaskrawe suknie. Wrzaski, śmiechy, brzęk kufli i szczęk muszkietów, echa grzmiące w sklepieniach głużyły go. Głowa mu się zakreśliła, oczy nie chciały wierzyć temu, na co patrzyły, dech zamarł mu w piersi; piekło nie mniej by go przeraziło.

²¹⁸ *lubo* (daw.) – chociaż, mimo że. [przypis edytorski]

²¹⁹ *kupić się* (daw.) – zbierać się, gromadzić się (por. skupiać się). [przypis edytorski]

Wreszcie porwał się za włosy i wybiegł, powtarzając jak w obłąkaniu:

– Boże, ujmij się! Boże, skarż! Boże, ratuj!

Rozdział X

W Warszawie od dawna gospodarowali już Szwedzi. Ponieważ Wittenberg²²⁰, właściwy rządca miasta i przywódca załogi, znajdował się w tej chwili w Krakowie, więc rządy w jego zastępstwie sprawiał Radziejowski²²¹. Nie mniej nad dwa tysiące żołnierza stało we właściwym mieście, objętym wałami, i po jurydykach²²² do wałów przylegających zabudowanych wspaniałymi gmachami kościelnymi i świeckimi. Zamek i miasto nie były zniszczone, bo pan Wessel, starosta makowski, oddał je bez boju, sam zaś wraz z załogą umknął pośpiesznie, obawiając się zemsty osobistego swego nieprzyjaciela Radziejowskiego.

Lecz gdy pan Kmicic zaczął się rozglądać bliżej i dokładniej, ujrzał na wielu domach ślady drapieżnych rąk. Były to domy tych mieszkańców, którzy puciekali z miasta, nie chcąc znosić obcego panowania, lub którzy stawili opór w chwili, gdy Szwedzi wdzierali się na wały.

²²⁰ *Wittenberg* – Arvid (a. Arfuid) Wittenberg von Debern (1606–1657), szwedzki hrabia i feldmarszałek, uczestnik wojny trzydziestoletniej i potopu szwedzkiego. [przypis edytorski]

²²¹ *Radziejowski, Hieronim* (1612–1667) – stronnik Szwedów, podkanclerzy, wygnany za spiskowanie przeciwko królowi. [przypis edytorski]

²²² *jurydyka* a. *jurydyki* (łac. *iuridicus*: prawny) – osada obok miasta królewskiego, rzadziej enklawa na gruntach miejskich, nie podlegająca władzom miejskim i miejskiemu sądownictwu. [przypis edytorski]

Z pałaców pańskich, po jurydykach się wznoszących, te tylko zachowały dawną świetność, których właściciele duszą i ciałem stali przy Szwedach. Stał więc w całej świetności pałac Kazanowskich, bo Radziejowski go chronił, i jego własny, i pana chorążego Koniecpolskiego²²³, i ów, który Władysław IV wystawił, a który potem Kazimirowskim zwano, lecz księże gmachy zrujnowano znacznie; Denhofowy był na wpół zburzony, kanclerski albo tak zwany Ossolińskich przy Reformackiej ulicy zrabowany do szczytu. Przez okna wyglądali najemnicy niemieccy, a owe kosztowne meble, które nieboszczyk kanclerz takim nakładem z Włoch sprowadzał, owe skóry florenckie, gobeliny holenderskie, misterne biurka, perłową macią wykładane, obrazy, statuy brązowe i marmurowe, zegary weneckie i gdańskie, szkła przednie – albo leżały jeszcze w bezładnych stosach na podwórku, albo już spakowane czekały, by je, gdy się pora zdarzy, wysłano Wisłą ku Szwecji. Pilnowały tych kosztowności straż, ale tymczasem niszczały na powietrzu i deszczu.

W wielu innych miejscach mogłeś toż samo ujrzeć, a choć stolica poddała się bez boju, przecie stało już trzydzieści olbrzymich skut²²⁴ na Wiśle, gotowych do wywiezienia łupu.

Miasto wyglądało jakby cudzoziemskie. Na ulicach słysząc

²²³ *chorąży Koniecpolski* – Aleksander Koniecpolski herbu Pobóg (1620–1659), książę, chorąży wielki koronny, magnat i starosta kresowy, uczestnik wojen kozackich, syn hetmana Stanisława Koniecpolskiego. [przypis edytorski]

²²⁴ *szkuta* – krypta, duży płaskodenny statek żaglowy lub wiosłowy, służący do przewożenia dużych ładunków rzeką. [przypis edytorski]

było więcej obcych mów niż polskiej; wszędy spotykałeś żołnierzy szwedzkich, niemieckich, najemników francuskich, angielskich i szkockich, w najrozmaitszych strojach, w kapeluszach, w czółnowych grzebieniastych hełmach, w kaftanach, pancerzach, półpancerzach, w pończochach lub szwedzkich butach z cholewami jak konwie. Wszędy obca pstrocizna, obce stroje, obce twarze, obce pieśni. Nawet konie miały inne kształty od tych, do których oko przywykło.

Nazlatywało się też mnóstwo Ormian o ciemnych twarzach i czarnych włosach, przykrytych kolorowymi jarmułkami²²⁵; ci łup skupywać przybyli.

Ale najbardziej dziwiła niezmierna ilość Cyganów, którzy, nie wiadomo dlaczego, przyciągnęli ze wszystkich stron kraju za Szwedami do stolicy. Szatry ich stały wedle pałacu Ujazdowskiego i po całej jurydyce kapitulnej, tworząc jakoby osobne płócienne miasto w murowanym.

Wśród tych tłumów różnojęzycznych miejscowi mieszkańcy nikli prawie; dla własnego też bezpieczeństwa radzi siedzieli zamknięci w domostwach, mało się pokazując i spiesźnie chodząc po ulicach. Czasem tylko jaka kareta pańska, spiesząca po Krakowskim Przedmieściu ku zamkowi, otoczona hajdukami²²⁶, pajukami²²⁷ lub wojskiem w strojach polskich, przypominała, że to jest polskie miasto.

²²⁵ *jarmułka* (z tur.) – mała okrągła czapeczka, kipa. [przypis edytorski]

²²⁶ *hajduk* (z węg.) – zbrojny służący, lokaj. [przypis edytorski]

²²⁷ *pajuk* (daw.) – członek służby lub straży przybocznej; lokaj. [przypis edytorski]

Tylko w niedziele i święta, gdy dzwony oznajmiały nabożeństwo, tłumy wychodziły z domów i stolica dawny przybierała pozór, chociaż i wówczas przed kościołami stawały płotem szeregi obcych żołdaków, aby przypatrywać się niewiastom, pociągać je za suknie, gdy przechodziły ze spuszczonej oczyma, śmiać się, czasem śpiewać pieśni bezecne przed kościołami, właśnie wówczas gdy w kościołach msze śpiewano.

Wszystko to przemknęło jak majak przed zdziwionymi oczyma pana Andrzeja, ale długo w Warszawie miejsca nie zagrzał, bo nie znając nikogo, nie miał przed kim duszy otworzyć. Nawet z ową szlachtą polską, która bawiła w mieście i zajmowała publiczne gospody, pobudowane od czasu króla Zygmunta III na ulicy Długiej, nie wszedł pan Kmicic w bliższą komitywę. Zaczepiał wprawdzie tego i owego, by się nowin wywiedzieć, ale byli to zagorzali stronnicy szwedzcy, którzy w oczekiwaniu na powrót Karola Gustawa²²⁸ wieszali się przy Radziejowskim i przy szwedzkich oficerach, w nadziei uzyskania starostw, skonfiskowanych majątności prywatnych i kościelnych, i rozmaitych wyderkałów²²⁹. Wart był każdy z nich, by mu w oczy pluć, od czego Kmicic zresztą nie bardzo się wstrzymywał.

O mieszczanach tylko słyszał Kmicic, iż dawnych

²²⁸ *Karol X Gustaw Wittelsbach* (1622–1660) – król Szwecji w latach 1654–1660. [przypis edytorski]

²²⁹ *wyderkał* (daw., z niem. *Wiederkauf*) – forma pobierania zakazanych wówczas przez Kościół odsetek od pożyczki, udzielonej właścicielowi nieruchomości, spłacanych dochodem z tej nieruchomości; tzw. kupno renty. [przypis edytorski]

czasów, pogrążonej ojczyzny i dobrego króla żałują. Szwedzi prześladowali ich srodze, zabierali domy, wyciskali kontrybucje, więzili.

Mówiono też, że cechy miały broń ukrytą, zwłaszcza płatnerze, rzeźnicy, kuśnierze i potężny cech szewiecki²³⁰, że wyglądają ciągle powrotu Jana Kazimierza, nadziei nie tracą i przy łada pomocy z zewnątrz, gotowi by byli na Szwedów uderzyć.

Kmicic słysząc to, uszom nie wierzył i w głowie nie chciało mu się mieścić, żeby ludzie nikczemnego stanu i nikczemnej kondycji więcej mieli okazywać miłości dla ojczyzny i wiary dla prawego pana niż szlachta, która wraz z urodzeniem powinna te sentymenta na świat przynosić.

Ale właśnie szlachta i magnaci stawali przy Szwedach, a lud prosty najwięcej miał chęci do oporu, i nieraz bywały zdarzenia, że gdy Szwedzi zapędzali w celu wzmocnienia Warszawy prostactwo do robót, prostacy woleli znosić chłostę i więzienie, śmierć nawet samą, aniżeli się do utwierdzenia szwedzkiej potęgi przyczyniać.

Za Warszawą wrzało w kraju jak w ulu. Wszystkie drogi, miasta i miasteczka zajęte były przez żołnierstwo, poczty pańskie i szlacheckie, panów i szlachtę Szwedom służącą. Wszystko było zabrane, ogarnięte, podbite, wszystko było tak szwedzkie, jakby ten kraj zawsze był w ich ręku.

Pan Andrzej nie spotykał innych ludzi, tylko albo Szwedów,

²³⁰ *szewiecki* – dziś popr.: *szewski*. [przypis edytorski]

albo stronników szwedzkich, albo ludzi zdesperowanych, obojętnych, którzy do głębi duszy byli przekonani, że już wszystko przepadło. Nikt o oporze nie myślał, spełniano cicho i z pośpiechem takie rozkazy, o których połowę albo i dziesiątą część pełno by w dawniejszych czasach było opozycji i protestacji. Postrach doszedł do tego stopnia, że ci nawet, których krzywdzono, wysławiali głośno łaskawego protektora Rzeczypospolitej.

Dawniej nieraz bywało, że swoich własnych, cywilnych i wojskowych, deputatów do egzakcji²³¹ przyjmował szlachcic z rusznicą i na czele zbrojnej czeladzi – dziś rozpisywano podatki, jakie się Szwedom rozpisać podobało, a szlachta oddawała je tak pokornie, jak owce oddają wełnę postrzygaczom. Zdarzało się nieraz, że jeden i ten sam podatek wybierano dwa razy. Próżno było zasłaniać się kwitami – dobrze jeszcze, jeżeli egzekwujący oficer nie umoczył w winie dawnego kwitu i nie kazał go zjeść okazicielowi. Nic i to! „*Vivat protector!*” – wykrzykiwał szlachcic, a gdy oficer odjechał, kazał co prędzej parobkowi leżeć na dach patrzeć, czy drugi nie nadjeżdża. I gdybyż tylko kończyło się wszystko na kontrybucjach szwedzkich, ale gorsi od nieprzyjaciela byli, tak tu jak i wszędzie, przedawczykowie. Dochodzono dawnych prywat, dawnych uraz, przesypywano kopce²³², zajmowano łąki i lasy, a przyjacielowi szwedzkiemu

²³¹ egzakcja (z łac. *exactio*: pobór, nadzór) – ściąganie podatku na wojsko. [przypis edytorski]

²³² przesypywano kopce – kopce oznaczały granice posiadłości ziemskich. [przypis

wszystko uchodziło płazem. Najgorsi zaś byli dysydenci. Mało tego. Z ludzi nieszczęśliwych, desperatów, swawolników i kosterów²³³ potworzyły się kupy zbrojne. Te napadały chłopów i szlachtę. Pomagali im maruderowie szwedzcy, niemieccy i wszelakiego rodzaju hultajstwo. Kraj zapłonął pożarami; nad miastami ciążyła zbrojna pięść żołnierska, w lasach zbój napadał. O poprawie Rzeczypospolitej, o ratunku, o zrzućeniu jarzma nikt nie myślał... Nadziei nikt nie miał...

Zdarzyło się, że pod Sochaczewem hultajstwo szwedzkie i niemieckie obiegło pana Łuszczewskiego, starostę sochaczewskiego, zaskoczywszy go w prywatnej jego majątności, w Strugach. Ów, wojennego humoru będąc, choć stary, bronił się mocno. Nadjechał właśnie na to pan Kmicic, a że mu już cierpliwość jako wrzód nabrała, gotowy pęknąć z lada powodu, więc pękła właśnie pod Strugami. Pozwolił tedy „prać” Kiemliczom i sam uderzył na szturmujących tak potężnie, że rozbił ich, wysiekl, nikogo nie żywił²³⁴, jeńców nawet potopić kazał. Pan starosta, któremu pomoc jako z nieba spadła, przyjął wybawiciela dziękczynnie i zaraz częstował, a pan Andrzej, widząc przed sobą personata²³⁵ i statystę²³⁶, a przy tym człowieka starej daty, wyznał mu swą nienawiść do Szwedów i jął

edytorski]

²³³ *kostera* (daw.) – ryzykant, hazardzista, szuler, awanturник. [przypis edytorski]

²³⁴ *żywić* – tu: pozostawić przy życiu, darować życie. [przypis edytorski]

²³⁵ *personat* (daw.) – ważna osobistość. [przypis edytorski]

²³⁶ *statysta* (daw.) – polityk, mąż stanu, strateg (dziś: osoba niebędąca aktorem, a występująca w filmie lub sztuce teatralnej w roli podrzędnej). [przypis edytorski]

wypytywać, co też o przyszłych losach Rzeczypospolitej myśli, w tej nadziei, że mu pan starosta wleje jakowyś balsam do duszy.

Lecz pan starosta całkiem odmienne miał na to, co się stało, zapatrywanie i rzekł:

– Mój mości panie! Nie wiem, co bym był waćpanu powiedział, gdybyś mnie był spytał wówczas, kiedy miałem jeszcze rude wąsy i umysł cielesnymi humorami²³⁷ zaćmiony, ale dziś mam wąsy siwe i eksperiencję²³⁸ siedmdziesięciu lat na karku, widzę rzeczy przyszłe, bom grobu bliski, przeto ci powiem, że potęgi szwedzkiej nie tylko my, choćbyśmy się poprawili z błędów naszych, ale cała Europa nie złamie...

– Jakże to być może? Skądże się to wzięło?! – zakrzyknął Kmicic. – Kiedyż to Szwecja taką potęgą była? Zali²³⁹ polskiego narodu nie więcej na świecie, zali nie możemy mieć wojska więcej? Zali to wojsko w męstwie Szwedom kiedykolwiek ustępowało?

– Naszego narodu jest dziesięć razy tyle; dostatków Bóg nam tak przymnożył, że w moim starostwie sochaczewskim więcej się pszenicy rodzi niż w całej Szwecji, a co do męstwa, to ja byłem pod Kircholmem, gdzieśmy w trzy tysiące husarii ośmnaście tysięcy najlepszego szwedzkiego wojska w proch roznieśli.

²³⁷ *humory* – nawiązanie do starożytnej teorii humorów, spisanej przez Hipokratesa, według której zdrowie człowieka zależy od równowagi w organizmie czterech humorów: krwi, śluzu (flegmy), żółci żółtej (cholerycznej) i czarnej (melancholicznej). [przypis edytorski]

²³⁸ *eksperiencja* (łac.) – doświadczenie. [przypis edytorski]

²³⁹ *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

– Ba, jeśli tak – rzekł Kmicic, któremu aż oczy zaświeciły na kircholmskie wspomnienie – jakież są tedy ziemskie przyczyny, dla których byśmy ich i teraz nie mogli pokonać?

– Najpierw to – mówił starzec powolnym głosem – żeśmy zmaleli, a oni urosli, że nas przez nas samych własnymi rękoma naszymi zwojowali, jako poprzednio zwojowali Niemców przez Niemców. Taka wola boża i nie masz potęgi, powtarzam, która by się im dziś oprzeć mogła!

– A jeśli szlachta do upamiętania przyjdzie i wedle pana swego się skupi, jeżeli wszyscy za broń schwycą, co wasza mość radzisz wtedy uczynić i co sam uczynisz?

– Tedy pójdę z innymi, polegnę i każdemu radzę polec, bo potem przyjdą takie czasy, na które lepiej nie patrzeć...

– Nie mogą przyjść gorsze! Jako żywo, nie mogą!... To niepodobieństwo!... – zawołał Kmicic.

– Widzisz waszmość – rzekł pan starosta – przed końcem świata i przed sądem ostatecznym przyjdzie antychryst, i powiedziano jest, że źli wezmą wtedy górę nad sprawiedliwymi, szatani będą po świecie chodzić, wiarę przeciwną prawdziwej opowiadać i do niej ludzi nawracać. Z dopuszczenia bożego zło wszędzie zwycięży, aż do onego momentu, w którym trębacze anielscy otrąbią koniec świata...

Tu pan starosta przechylił się na tył fotelu, na którym siedział, przymknął oczy i mówił dalej cichym, tajemniczym głosem:

– Powiedziano jest, że znaki będą... Znaki na słońcu w postaci ręki i miecza były... Boże, bądź miłościw nam

grzesznym!... Żli biorą górę nad sprawiedliwymi, bo Szwed i jego stronnicy zwyciężają... Wiara prawdziwa upada, bo oto luteranie się podnoszą... Ludzie! zali nie widzicie, że *dies irae*, *dies illa*²⁴⁰ się zbliża... Ja mam lat siedmdziesiąt, nad brzegiem Styksu stoję, przewoźnika i łodzi wyglądam... Ja widzę!...

Tu umilkł pan starosta, a Kmicic począł patrzeć na niego ze strachem, bo racje wydały mu się słuszne, wywody trafne, więc zląkł się sądu i zastanowił się mocno.

Lecz pan starosta na niego nie patrzył, jeno przed siebie, i w końcu rzekł:

– I jakże tu Szwedów zwyciężyć, kiedy to dopuszczenie boże, wola wyraźna, w prorocत्वach odgadnięta i przepowiedziana... Oj, do Częstochowy ludziom, do Częstochowy!...

I znowu pan starosta umilkł.

Słońce zachodziło właśnie, i już tylko bokiem zaglądając do komnaty, łamało się w tęczę na gomółkach²⁴¹ szklanych w ołów oprawnych, i czyniło smugi siedmiobarwne na podłodze. Reszta komnaty była w mroku. Kmicicowi coraz bardziej stawało się straszno i chwilami zdawało mu się, że niech tylko światło ono zginie, a wraz trębacze anielscy ozwą się na sąd.

– O jakich prorocत्वach wasza mość mówisz? – spytał wreszcie starostę, bo milczenie jeszcze wydało mu się

²⁴⁰ *dies irae*, *dies illa* (łac.) – dzień gniewu, ten dzień; pierwsze słowa średniowiecznej sekwencji (uroczystej pieśni) o końcu świata, wchodzącej w skład mszy żałobnej. [przypis edytorski]

²⁴¹ *gomółka* (daw.) – szybka, tafla szklana. [przypis edytorski]

straszniejsze.

Starosta, zamiast odpowiedzieć, zwrócił się ku drzwiom przyległej komnaty i zawołał:

– Oleńka! Oleńka!

– Na Boga! – krzyknął pan Kmicic – kogo waść wołasz?...

W tej chwili wierzył we wszystko, wierzył, że jego Oleńka, cudem z Kiejdan przeniesiona, ukaże się jego oczom.

I zapomniał o wszystkim, wzrok utkwiał we drzwiach i czekał bez tchu w piersi.

– Oleńka! Oleńka! – powtórzył starosta.

Drzwi się otworzyły: weszła nie Billewiczówna, ale panna piękna, szczupła, wysoka, trochę do Oleńki podobna z powagi w twarzy i spokoju rozlanego w obliczu. Była blada, może chora, a może niedawnym napadem przerażona, i szła z oczyma spuszczoneymi, tak jakoś lekko i cicho, jak gdyby ją jaki powiew posuwał.

– To córka moja – rzekł starosta. – Synów w domu nie masz. Są przy panu krakowskim, a z nim razem przy naszym elekcie²⁴² nieszczęsnym.

Po czym zwrócił się do córki:

– Waćpanna podziękuj naprzód temu mężnemu kawalerowi za ratunek, a po wtóre przeczytaj nam proroctwo świętej Brygidy.

Dziewczyna skłoniła się przed panem Andrzejem i wyszła, a po chwili wróciła z drukowanymi świstkami w rękę i stanąwszy

²⁴² *elekt* – nowo wybrany król. [przypis edytorski]

w owym świetle tęczowym, poczęła czytać dźwięcznym i słodkim głosem:

– Proroctwo świętej Brygidy: „Pokażę ci wprzód pięciu królów i państwa ich: Gustaw, syn Eryka, osieł leniwy, ponieważ zaniedbawszy prawe nabożeństwo, przeszedł na fałszywe. Porzuciwszy apostolską wiarę, wprowadził do królestwa augsburskie wyznanie, kładąc skazę za sławę sobie. Patrz Eklezjastę, gdzie o Salomonie powiada, że skaził sławę swoją przez bałwochwalstwo...”

– Słyszysz waść? – spytał starosta, pokazując Kmicicowi wielki palec lewej ręki, inne zaś trzymając gotowe do porachunku.

– Słyszę.

„Eryk, syn Gustawa, wilk, dla nienasyconej chciwości – czytała panna – czym wszystkich ludzi i braterską Janową ściągnął na się nienawiść. Naprzód Jana (podejrzewając go o praktyki z Duńczykiem i Polską) wojną utrapił, a ujawszy go wraz z żoną, przez cztery lata w podziemiu trzymał. Jan wreszcie z więzienia wydobyty i przez odmienność fortuny wspomóżon, zwojowawszy Eryka, wyzuł go z korony i do wiekuistej strącił ciemnicy. Otóż nieprzewidziany wypadek!”

– Uważaj – rzekł starosta. – To już drugi!

Panna czytała dalej:

„Jan, brat Eryka, orzeł wyniosły, trzykrotny zwycięzca nad Erykiem, Duńczykiem i Septentrionem. Syn jego Zygmunt na tron polski obrany, w którego krwi zacność mieszka. Chwała

latorośłom jego!”

– Pojmujesz? – pytał starosta.

– Niech Bóg przysporzy lat Janowi Kazimierzowi! – odrzekł Kmicic.

„Karol, księżę Sudermanii: baran, gdyż jako barany prowadzą trzodę, tak on Szwedów przywiódł ku nieprawości. Tenże miotał się przeciw sprawiedliwości.”

– To już czwarty! – przerwał starosta.

„Piąty Gustaw Adolf²⁴³ – czytała panna – baranek zabity, lecz nie bez skazy, którego krew była przyczyną utrapienia i niezgody.”

– Tak! to Gustaw Adolf – rzekł starosta. – O Krystynie²⁴⁴ nie masz wzmianki, bo tylko sami mężowie są wyliczeni. Czytaj teraz waćpanna zakończenie, które do dzisiejszych czasów akurat się odnosi.

Panna czytała, co następuje:

„Szóstego ci pokażę, któren²⁴⁵ ląd i morze zakłóci i prostych zasmuci... który czas kary mojej w rękę swoim położy. Jeżeli chyżo swego nie doścignie, zbliży się nań sąd mój i pozostawi

²⁴³ *Gustaw II Adolf* (1594–1632) – król Szwecji w latach 1611–1632, uzdolniony dowódca i reformator armii. [przypis edytorski]

²⁴⁴ *Krystyna Szwedzka* (1626–1689) – córka Gustawa Adolfa, ostatnia z rodu Wazów, królowa Szwecji w latach 1632–1654, po przejściu na katolicyzm abdykowała na rzecz Karola Gustawa, potem starała się o elekcję kolejno na tron Neapolu i Polski; była mecenasem nauk i sztuk, uczyła się filozofii od Kartezjusza, pisała listy miłosne do jednej ze swoich dam dworu. [przypis edytorski]

²⁴⁵ *któren* – dziś popr.: który. [przypis edytorski]

państwo w utrapieniu, i stanie się, jako napisano: rokosz sięją, a utrapienie i boleść odmierzą. Nie tylko nawiedzę to królestwo, ale miasta bogate i możne, albowiem przywołano głodnego, który dostatki ich pożre. Nie zabraknie zła wewnętrznego i obfitować będą niezgody. Panować będą głupi, a mędrcy i starce nie podejmą głowy. Cześć i prawda upadną, aż przyjdzie, który gniew mój przebłaga i który duszy swej nie oszczędzi dla miłości prawdy.”

– Masz waść! – rzekł starosta.

– Wszystko się tak sprawdza, że ślepy chybaby wątpił! – odrzekł Kmicic.

– Przeto i Szwedzi nie mogą być zwyciężeni – odrzekł starosta.

– Aż przyjdzie ten, który duszy nie oszczędzi dla miłości prawdy! – zakrzyknął Kmicic. – Nadzieję prorocstwo zostawuje! Więc nie sąd, jeno zbawienie nas czeka!

– Sodoma²⁴⁶ miała być oszczędzona, gdyby w niej dziesięciu sprawiedliwych się znalazło – odrzekł starosta – ale się ich i tyłu nie znalazło. Tak samo nie znajdzie się ów, który duszy nie oszczędzi dla miłości prawdy, i godzina sądu wybije.

²⁴⁶ *Sodoma* (bibl.) – mit. miasto nad Morzem Martwym, które Bóg zniszczył ogniem z nieba, karząc mieszkańców za rozpustę i brak bojaźni bożej. Według Biblii miało się to stać w XIX w. p.n.e. Jedynymi cnotliwymi ludźmi w Sodomie okazali się Lot, bratanek patriarchy Abrahama, i jego rodzina, zostali więc uprzedzeni przez anioła, ale podczas ucieczki żona Lota obejrzała się za siebie i zamieniła się w słup soli. Drugim zniszczonym wówczas miastem była Gomora, stąd dzisiejsze powiedzenie „Sodoma i Gomora”, opisujące chaos moralny lub bałagan. [przypis edytorski]

– Panie starosto, panie starosto, nie może być! – odrzekł Kmicic.

Nim pan starosta odpowiedział, drzwi się otwarły i do izby wszedł niemłody już człowiek, w pancerzu i z muszkietem w ręku.

– Pan Szczebrzycki? – pytał starosta.

– Tak jest – odpowiedział nowo przybyły – słyszałem, iż hultajstwo jaśnie wielmożnego pana obieгло, i na ratunek z czeladzią pospieszam.

– Bez woli bożej włos człowiekowi z głowy nie spadnie – odrzekł starzec. – Już mnie ten kawaler z opresji uwolnił... A waść skąd jedziesz?

– Z Sochaczewa.

– Słyszałeś co nowego?

– Co nowina, to gorsza, jaśnie wielmożny starosto. Nowe nieszczęście...

– Co się stało?

– Województwa: krakowskie, sandomierskie, ruskie, lubelskie, bełskie, wołyńskie i kijowskie poddały się Karolowi Gustawowi. Akt już podpisany i przez posłów, i przez Karola.

Starosta począł kiwać głową, wreszcie zwrócił się do Kmicica:

– Patrz! – rzekł – i ty jeszcze myślisz, że znajdzie się ów, który duszy swej nie oszczędzi dla miłości prawdy?

Kmicic szarpać począł włosy w czuprynie.

– Desperacja! desperacja! – powtarzał w uniesieniu.

A pan Szczebrzycki mówił dalej:

– Prawią też, że te resztki wojska, które przy panu hetmanie Potockim się znajdują, już wypowiadają posłuszeństwo i do Szweda chcą iść. Hetman podobno zdrowia i życia między nimi niepewien, musi uczynić, co zechcą.

– Rokosz sieją, a utrapienie i boleść odmierzają – rzekł starosta.
– Kto chce pokutować za grzechy, temu czas!

Lecz Kmicic nie mógł już słuchać dłużej ani prorocstw, ani nowin; chciał jak najprędzej sięść na koń i na wietrze głowę ochłodzić. Zerwał się więc i począł żegnać starostę.

– A dokąd to tak spieszno? – zapytał go starzec.

– Do Częstochowy, bom też grzesznik!

– Tedy nie zatrzymuję, chociaż rad bym ugościć, ale to sprawa pilniejsza, bo dzień sądu niedaleko.

Kmicic wyszedł, a za nim wyszła panna, chcąc w zastępstwie ojca honory odjeżdżającemu uczynić, bo starosta na nogi już szwankował.

– Ostawaj w dobrym zdrowiu, panienko – rzekł Kmicic – nie wiesz, jakom ci życzliwy!

– Jeśliś mi waćpan życzliwy – odrzekła na to panna – to uczynźe mi jedną przysługę. Waćpan jedziesz do Częstochowy... oto czerwony złoty... weź go, proszę, i oddaj na mszę w kaplicy.

– Na czyją intencję? – spytał Kmicic.

Prorokini spuściła oczy, smutek oblał jej twarz, a jednocześnie słabe rumieńce wybiły na policzki i odrzekła cichym, do szmeru liści podobnym głosem:

– Na intencję Andrzeja, aby go Bóg z grzesznej drogi nawrócił...

Kmicic cofnął się dwa kroki, oczy wytrzeszczył i ze zdumienia przez chwilę nic przemówić nie mógł.

– Na rany Chrystusa! – rzekł wreszcie – co to za dom? Gdzie ja jestem?... Same proroctwa, wróżby i wskazówki... Waćpanna zwiesz się Oleńka i na intencję grzesznego Andrzeja na mszę dajesz?... To nie może być prosty trafunek, to palec boży... to... to... jać oszaleję!... Na Boga, oszaleję!...

– Co waćpanu jest?

Lecz on chwycił ją gwałtownie za ręce i począł nimi potrząsać.

– Prorokuj że mi dalej, mów do końca!... Jeżeli ów Andrzej się nawróci i winy zmaże, zali Oleńka jemu wiary dochowa?... Mów, odpowiadaj, bo nie odjadę bez tego!...

– Co waćpanu jest?

– Zali Oleńka mu wiary dochowa? – powtarzał Kmicic.

Pannie nagle łzy puściły się z oczu.

– Do ostatniego tchnienia, do godziny śmierci! – odrzekła ze łkaniem.

Jeszcze nie dopowiedziała, a już Kmicic grzotnął się jak długi jej do nóg. Chciała uciekać, nie puścił i całując jej stopy, powtarzał:

– Jam także grzeszny Andrzej, który nawrócić się pragnie!... Ja mam także swoją Oleńkę umiłowaną. Niechże twój się nawróci, a moja mi wiary dochowa... Niech słowa twoje

proroctwem będą... Balsam i nadzieję wlałaś mi do duszy
strapionej... Bóg ci zapłać, Bóg zapłać!

Po czym zerwał się, siadł na koń i odjechał.

Rozdział XI

Słowa panny starościanki sochaczewskiej wielką napełniły pana Kmicica otuchą i przez trzy dni nie wychodziły mu z głowy. W dzień na koniu, w nocy na łożu rozmyślał o tym, co się przytrafiło, i zawsze dochodził do wniosku, że nie mógł to być prosty przypadek, ale prędzej wskazówka boża i przepowiednia, że jeśli wytrwa, jeśli z dobrej drogi nie zejdzie, z tej właśnie, którą mu Oleńka ukazała, to dziewczyna mu wiary dochowa i dawnym afektem obdarzy.

„Bo jeśli starościanka – rozmyślał pan Kmicic – dochowuje obserwancji²⁴⁷ swojemu Andrzejowi, który dotąd poprawy nie zaczął, to i dla mnie, mającego szczerą intencję służenia ojczyźnie, cnocie i królowi, nie zagaśła jeszcze nadzieja!”

Lecz z drugiej strony nie brakło panu Andrzejowi i umartwień. Intencję szczerą miał, ale czy nie za późno się z nią wybrał? Czy jeszcze była jakakolwiek droga, jakakolwiek sposobność? Rzeczpospolita z każdym dniem zdawała się być więcej pogrążoną i trudno było zamykać oczu na straszliwą prawdę, że nie masz dla niej ratunku. Niczego sobie więcej nie życzył Kmicic, jak poczynąć jakowąś robotę, lecz ludzi chętnych nie widział. Coraz nowe postacie, coraz nowe twarze przewijały się przed nim w czasie podróży, ale ich widok, słuchanie ich

²⁴⁷ *obserwancja* (z łac.) – szacunek, poważanie; tu: wierność. [przypis edytorski]

rozmów i dyskusyj odbierało tylko resztę nadziei.

Jedni duszą i ciałem przeszli do szwedzkiego obozu, szukając w nim własnej prywaty; ci pili, hulali i weselili się jak na stypie, topiąc w kielichach i rozpuście wstyd i szlachecki honor.

Drudzy rozprawiali w niepojętym zaślepieniu o potęgę, jaką utworzy Rzeczpospolita w połączeniu ze Szwecją, pod berłem pierwszego w świecie wojownika, i tacy byli najniebezpieczniejsi, bo przekonani szczerze, że *orbis terrarum*²⁴⁸ musi przed takim aliansem²⁴⁹ uchylić głowy.

Trzeci, jak pan starosta sochaczewski, ludzie zacni i ojczyźnie życzliwi, badali znaki na ziemi i niebie, powtarzali proroctwa i dopatrując woli bożej we wszystkim, co się działo, i nieugiętego przeznaczenia, dochodzili do wniosku, że nie masz nadziei, że nie masz ratunku, że koniec świata się zbliża – więc byłoby szaleństwem o ziemskim wybawieniu, nie o niebieskim zbawieniu myśleć.

Inni na koniec kryli się po lasach lub z życiem uchodzili za granicę.

Tak więc spotykał pan Kmicic jeno wyuzdanych, zepsutych, szalonych albo trwożliwych, albo zdesperowanych; nie spotykał ufających.

A tymczasem fortuna szwedzka rosła. Wieść, że resztki wojska buntują się, zmawiają, grożą hetmanom i chcą przejść do Szwedów, nabierała z każdym dniem pewności. Pogłoska, że pan

²⁴⁸ *orbis terrarum* (łac.) – krąg ziemi, cały świat. [przypis edytorski]

²⁴⁹ *aliants* (z fr. *alliance*) – związek, sojusz. [przypis edytorski]

chorąży Koniecpolski²⁵⁰ ze swoją dywizją poddał się Karolowi Gustawowi²⁵¹, jak grom rozgrzmiała po wszystkich krańcach Rzeczypospolitej i wypędziła resztę wiary z serc, bo przecie pan Koniecpolski był to zbaraski rycerz. Za nim poszli pan starosta jaworowski²⁵² i ksiązę Dymitr Wiśniowiecki²⁵³, którego nie powstrzymało nieśmiertelną sławą okryte nazwisko.

Poczęto już wątpić i o panu marszałku Lubomirskim²⁵⁴. Ci, którzy go dobrze znali, twierdzili, że ambicja rozum w nim i miłość do ojczyzny przewyższa, że dotąd stał przy królu, bo mu pochlebiało, że oczy wszystkich były zwrócone, iż go jedni i drudzy ciągnęli, zapraszali, iż mu wmawiano, że losy ojczyzny trzyma w ręku. Lecz wobec szczęścia szwedzkiego począł się

²⁵⁰ *chorąży Koniecpolski* – Aleksander Koniecpolski herbu Pobóg (1620–1659), ksiązę, chorąży wielki koronny, magnat i starosta kresowy, uczestnik wojen kozackich, syn hetmana Stanisława Koniecpolskiego. [przypis edytorski]

²⁵¹ *Karol X Gustaw Wittelsbach* (1622–1660) – król Szwecji w latach 1654–1660. [przypis edytorski]

²⁵² *starosta jaworowski* – Marek Sobieski herbu Janina (1628–1652), polski magnat, starosta jaworowski i krasnostawski, rotmistrz wojsk koronnych, starszy brat Jana III Sobieskiego, po bitwie pod Batohem (1652) dostał się do niewoli i został ścięty na rozkaz Chmielnickiego. [przypis edytorski]

²⁵³ *Wiśniowiecki, Dymitr Jerzy herbu Korybut* (1631–1682) – ksiązę, krewny i wychowanek Jeremiego Wiśniowieckiego (1612–1651), w późniejszych latach wybitny polityk, hetman wielki koronny, wojewoda i kasztelan krakowski, wojewoda bełski, starosta wielu ziem na Ukrainie. [przypis edytorski]

²⁵⁴ *Lubomirski, Jerzy Sebastian herbu Szreniawa bez Krzyża* (1616–1667) – marszałek wielki koronny, później hetman polny koronny i starosta spiski; w latach 60. przywódca rokoszu, który ograniczył absolutystyczne dążenia Jana Kazimierza; zmarł na wygnaniu. [przypis edytorski]

wahać, ociągać i coraz wyraźniej dawał, gwoźli własnej dumie, uczuć nieszczęsnemu Janowi Kazimierzowi, iż może go zbawić albo ostatecznie pogрузić.

Król tułacz siedział w Głogowej i z garści wiernych, którzy los jego dzielili, coraz ktoś go opuszczał i do Szwedów przechodził. Tak słabi łamają się w dniach niedoli, nawet tacy, którym pierwszy poryw serca uczciwą i ciernistą drogą iść każe. Karol Gustaw przyjmował ich z otwartymi rękoma, nagradzał, obietnicami obsypywał, resztę wiernych kusił i przeciągał, coraz szerzej panowanie roztaczał; sama fortuna usuwała mu sprzed nóg wszelkie przeszkody, polskimi siłami Polskę podbijał, bez boju zwyciężał.

Szeregi wojewodów, kasztelanów, urzędników koronnych i litewskich, całe tłumy zbrojnej szlachty, całe chorągwie niezrównanej jazdy polskiej stały w jego obozie, patrząc w oczy nowego pana, gotowe na jego skinienie.

Resztki wojsk koronnych coraz natarczywiej wołały na swego hetmana: „Idź, skłoń siwą głowę przed majestatem Karola... Idź, bo chcemy do Szwedów należeć!”

– Do Szwedów! do Szwedów!

I na poparcie słów błyskało tysiące szabel.

Jednocześnie zaś wojna paliła się ciągle na wschodzie. Straszliwy Chmielnicki²⁵⁵ Lwów znowu obległ, a zastępy jego

²⁵⁵ *Chmielnicki, Bohdan Zenobi* (1595–1657) – ukraiński bohater narodowy, hetman Kozaków zaporoskich, organizator powstania przeciwko polskiej władzy w latach 1648–1654. [przypis edytorski]

sprzymierzeńców, przepływając wedle niezdobytych murów Zamościa, rozlewały się po całym województwie lubelskim, samego Lublina sięgając.

Litwa była w rękach szwedzkich i Chowańskiego²⁵⁶. Radziwiłł rozpoczął wojnę na Podlasiu; elektor zwłóczył i lada chwila mógł ostatni cios konającej Rzeczypospolitej zadać, tymczasem w Prusach Królewskich się umacniał.

Poselstwa ze wszech stron dążyły do króla szwedzkiego, winszując mu szczęśliwego podboju.

Zbliżała się zima, liście spadały z drzew, stada kruków, wron i kawek, opuściwszy lasy, unosiły się nad wsiami i miastami Rzeczypospolitej.

Za Piotrkowem wjechał znów Kmicic w oddziały szwedzkie, które zajmowały wszystkie trakty i gościńce. Niektóre, po zdobyciu Krakowa, maszerowały ku Warszawie, mówiono bowiem, że Karol Gustaw, odebrawszy hołd od południowych i wschodnich województw i podpisawszy „kapitulację”, czeka tylko jeszcze na poddanie się owych resztek wojska stojących pod panem Potockim i Lanckorońskim, po czym zaraz do Prus ruszy i dlatego wojska naprzód wysyła. Panu Andrzejowi nie tamowano nigdzie drogi, bo w ogóle szlachta nie wzbudzała

²⁵⁶ *Chowański, Iwan Andriejewicz* (zm. 1682) – rosyjski wojskowy, bojar i wojewoda, jeden z dowódców w wojnie polsko-rosyjskiej (1654–1667), o której Sienkiewicz nie mógł w 1884 r. pisać wprost ze względu na cenzurę carską; kariera Chowańskiego zaniepokoiła w końcu dwór carski do tego stopnia, że został ogłoszony buntownikiem i ścięty wraz z synem, co stało się powodem buntu wojskowego, a w XIX w. tematem opery Modesta Musorgskiego *Chowańszczyzna*. [przypis edytorski]

podejrzeń i mnóstwo zbrojnych pocztów ciągnęło razem ze Szwedami; inni jechali do Krakowa to pokłonić się nowemu panu, to uzyskać od niego cokolwiek, nikogo więc nie pytano ani o glejty²⁵⁷

²⁵⁷ *glejt* (z niem. *Geleit*: konwój) – przepustka, list żelazny, dokument zezwalający na przejazd. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.